Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 26 (1474) ROK XXIX 28 CZERWCA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

- Ryszard Nakonieczny – „Krajobraz po bogach"
- Jolanta Wrońska – „Alpinista"
- Agatha Christie – „Król trefl"

Foto: Grzegorz Gałasiński

Na oświacie nie wolno oszczędzać

Mierzymy w XXI wiek. Chcemy wkroczyć w nowy wiek razem z innymi, nie chcemy więc się w ogonie postępu. Musimy więc doganiać innych, gdyż mamy spore i różnorodne opóźnienia. Dotyczy to również sposobu kształcenia i wychowywania. W Uchwale IX Zjazdu PZPR zapisano, że „rozwój oświaty i wychowania jest nieodzownym czynnikiem postępu społecznego oraz gospodarczego. Bez nowoczesnego, socjalistycznego systemu edukacji narodowej niemożliwy jest harmonijny rozwój naszego społeczeństwa i szybkie przezwyciężanie skutków społeczno-ekonomicznych i moralnych obecnego kryzysu". Stwierdzenia te są nadal aktualne, ale celem staje się już nie przezwyciężanie skutków kryzysu, a przygotowanie przyszłych realizatorów perspektywicznego programu rozwoju Polski. Stąd w „Tezach Komitetu Centralnego PZPR na X Zjazd partii" stwierdzenia wybiegające dalej w przyszłość „Na obecnym etapie budownictwa socjalistycznego przed szkolnictwem polskim stają jakościowo nowe zadania wynikające z potrzeby kształcenia i wychowania młodzieży zgodnie z humanistycznymi wartościami socjalizmu i wymaganiami cywilizacyjnymi rewolucji naukowo-technicznej".

Trudne to i skomplikowane zadania, tym bardziej, że polska szkoła ma do rozwiązania wiele istotnych problemów, bez rozwiązania których realizacja szczytnych celów może być niemożliwa. Jak te sprawy widzą delegaci na X Zjazd PZPR, nauczyciele, którzy będą przecież współautorami programu rozwoju Polski. Do rozmowy o trudnych sprawach oświaty zaprosiliśmy delegatów: **HALINĘ SUSKIEWICZ** — dyrektorkę XVIII Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi i **KRZYSZTOFA JAKUBCA** — nauczyciela w XXIX Liceum Ogólnokształcącym w Łodzi, członka Prezydium Rady Chorągwi Łódzkiej ZHP.

Redakcję reprezentowali: **EDMUND LEWANDOWSKI i BOGDA MADEJ.**

H. SUSKIEWICZ: — Problemów jest rzeczywiście dużo i są one trudne i skomplikowane.

ODGŁOSY: — Ale który z nich można uznać za najważniejszy, kluczowy?

K. JAKUBIEC: — Tego nie da się tak ująć. Przynajmniej trzy sprawy są najważniejsze: baza szkolnictwa, wyposażenie szkół i przygotowanie kadry. Ale one wiążą się wzajemnie, splatają.

H. SUSKIEWICZ: — Powstają nowe osiedla i to jest konieczne, ale w tych nowych osiedlach brakuje szkół i to już jest źle. A tu jeszcze zbliża się kolejny wyż demograficzny. W kraju będzie potrzeba około 20 tysięcy pomieszczeń lekcyjnych. Skąd je wziąć? Jeśli tego na czas nie zapewnimy, sytuacja będzie dramatyczna.

K. JAKUBIEC: — Już dziś dzieci idą do szkoły zmęczone.

H. SUSKIEWICZ: — A jak mają być nie zmęczone, gdy szkoły pracują na dwie zmiany. Dziecko na przykład do godziny 15.00 przebywa w świetlicy, a później idzie na lekcje. W takich warunkach trudno mówić o właściwym nauczaniu i wychowaniu.

ODGŁOSY: — Ludzie widząc przykłady złego zachowania lub braku wiadomości często wołają: czego oni ich tam w tej szkole uczą? Jak oni ich w tej szkole wychowują?

H. SUSKIEWICZ: — Ale nikt nie pyta, czego ucza i jak wychowują w domu? A przecież mówiło się kiedyś o jednolitym froncie wychowawczym. Zostało z tego piękne hasło. Rzeczywistość natomiast jest taka, że coraz trudniej dziś o kulturę bycia i my w szkole musimy uczyć młodzież tego, co powinna wynieść z domu. I to rzeczy niekiedy wręcz podstawowych. Na przykład mówienia: „dzień dobry", „dziękuję", wyjmowania rąk z kieszeni, gdy się z kimś rozmawia, mówienia: „przepraszam". Jeszcze kilka lat temu nikomu nie przyszłoby do głowy, że trzeba będzie takich prostych rzeczy uczyć w liceum. A przecież jeśli młody człowiek nie nauczy się tego w domu, nie pozna tam podstawowych pojęć o Polsce to całe wychowanie patriotyczne nie ma większego sensu, bo jego skutki będą minimalne, a być może żadne.

K. JAKUBIEC: — A bywa i tak, że w liceum musimy uczyć młodzież, że gdy grają hymn państwowy, to trzeba stanąć na baczność.

ODGŁOSY: — Dlaczego tak się dzieje, co jest tego przyczyną?

K. JAKUBIEC: — Przyczyn — jak zwykle — bywa kilka. Mnie nie dziwi na przykład to, że musimy to robić w liceum. U nas po prostu jest mniej uczniów niż w szkole podstawowej i prędzej możemy zwrócić na to uwagę. No, ale przed szkołą podstawową jest dom i przedszkole.

H. SUSKIEWICZ: — Rodzice opiekują się dziećmi przede wszystkim materialnie. Mają często — z różnych powodów — mały z nimi kontakt. Szeroko rozumiane środowisko nie czuje się odpowiedzialne za wychowanie. Wszyscy patrzą na szkołę, a cóż szkoła. Często jest bezradna wobec wielu negatywnych zjawisk.

Na przykład w naszej szkole nie ma możliwości palenia tytoniu. I młodzież się temu podporządkowuje. Czy to znaczy, że w ogóle nie pali? Nie sądzę. Ale w każdym razie nie w szkole. To już coś. W domu jednak młodzież ma okazję stykania się z alkoholem. Cóż wobec takiego przykładu mogą zrobić nasze pogadanki o szkodli-

3

„Ojcze, skoro jestem złamany,
nie jestem przywódcą
w tym nudnym świecie,
ni świętym dla cierpiących,
ani śpiewakiem, ani muzykiem,
ani przyjacielem dla moich przyjaciół,
pozostała mi tylko zachłanność
wżerająca się w każdą minutę,
która nie nadeszła
z szaleńczym triumfem.
Pokaż mi teraz drogę, tej nocy,
bym kochał i był kochany
w namiętności nie do odrzucenia
mimo Twych nauk.
Daj mi ją i pozwól mi być przez chwilę
pośród tej nędznej i otępiającej marności
szczęśliwym zwierzęciem".

Skoro jesteś złamany, nie jesteś przywódcą w tym nudnym świecie, ni świętym dla cierpiących..., skoro masz szesnaście, siedemnaście, dziewiętnaście lat i dźwigasz swój coraz to cięższy kamień, swoje świdrujące pytanie „co dalej?", skoro dopada cię zachłanność wżerająca się w każdą minutę, a życie robi wykład o wyższości szmalu, że prawda, przyjaźń, sprawiedliwość to zwyczajne gówno, że lepiej mieć niż być, a ty zaczynasz w to wszystko wierzyć, jeszcze chwila a uwierzysz na dobre, albo wylądujesz w psychiatryku, albo zaćpasz się na śmierć, żeby tego nie słyszeć, albo zalejesz się w trupa, żeby tego nie widzieć, albo staniesz na krawędzi dachu, bo nie chcesz pośród tej nędznej i otępiającej marności być szczęśliwym zwierzęciem, bo masz jeszcze bijące serce, bo chcesz inaczej, ale nie wiesz jak — rozejrzyj się.

„Zwalić by można się z nóg
Co rusz,
Co krok.
Co noc,
To szloch
I rozpacz.
Ale czy warto?
Może nie warto?
Chyba nie warto...
Raczej nie warto.
Nie, nie — nie warto".

Narodziny Czystych Serc

ROMAN KUBIAK

Tu, obok rodzi się Ruch Czystych Serc, alert młodych ludzi, którzy czegoś chcą, którzy rzucają na szalę najcenniejsze, co w nich jest: wrażliwość, których coś jeszcze mocno boli: powszechna drętwota, wszechobecny cynizm, nieme okrucieństwo, zaćpane szkoły i ulice, zapijaczone domy, ból innych ludzi. Czyste Serca chcą być razem, żeby nie dać się, żeby nie stracić nadziei, robić coś wcale nie dla siebie — dla czegoś tak dziś taniego jak idea. Bo lepiej być niepoprawnym idealistą z gorącym sercem, niż pustym skórzanym workiem na dwóch nogach do produkowania mamony, sobie podobnych następców, do produkowania nawozu. Wystarczy powiedzieć „Chcę!". Bez fanfar, bez sztandarów, brzuchatych przewodniczących, bez przymusu. Chcesz pogadać nie o chlebie, to przyjdź. Chcesz komuś pomóc, ot, tak po prostu, to powiedz że chcesz, jesteś potrzebny w domu dziecka, w Monarze. Chcesz?

Czyste Serca proponują: *„Nie pal"* — to na początek.

Bądź człowiekiem wolnym, przeżywaj barwy i blaski takimi jakimi są, powąchaj kwiaty. Bądź silny. Człowiek spętany nałogiem jest słaby, zależny, otępiały, przegrodzony od drugiego człowieka ścianą chłodnego dymu. Zrób coś, żeby papieros nie był czymś zastępczym, czymś zamiast — zamiast uśmiechu, spaceru, normalnej złości i normalnego płaczu. Ersatzem.

Czyste Serca proponują: *„Nie palcie w szkołach"*. Wy uczniowie i wy nauczyciele. Może zamiast na papierosa znajdziecie czas na to, by normalnie szczerze porozmawiać o życiu. Nie o frazesach, kiju i marchewce, wielkich słowach, co za drzwiami klasy nic już nie znaczą.

A potem Czyste Serca chcą dotrzeć do setek tysięcy też młodych ludzi, którym gdyby nie podać ręki, odpłyną na zawsze: w świątek narkotycznych iluzji, alkoholowego zapomnienia, śmierci. Bo Czyste Serca CHCĄ — póki starczy sił.

„Idź dokąd poszli tamci — do ciemnego kresu
po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę
idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch
ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo
bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny
w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy"

Kotański powiedział: *„Chwyćmy się za ręce"*. Nikt nie zapytał, po co? A dlaczego nie — a dlaczego robi się poezję. Chwycili się za ręce. Żywy łańcuch Czystych Serc oplótł Warszawę, przez ulicę placu, przez rzekę. Żywy, niesamowity łańcuch, aż na moment zamarło życie

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1911. B-2.

Przegląd prasy

Krakowskie „Zdanie" specjalizuje się w wywiadach, których formułę najlepiej określa jego nadtytuł: *„Trzech na jednego"*. Polega to na tym, że klasyczny wywiad, jeden pyta, drugi odpowiada, zastąpioną rozmową, w której trzech przepytuje jednego. Taki rodzaj rozmowy daje możliwość wydobycia od rozmówcy większej ilości informacji, a także szerszą interpretację omawianych faktów. To, co jednemu może nie przyjść do głowy, lub co może on przepuścić, trzej nie przepuszczą. W myśl zasady: co trzy głowy to nie jedna. Nie ma co zazdrościć przepytywanemu, gdy się takich trzech do niego dobierze. W „ZDANIU" nr 5 z maja 1986 roku trzej: Edward Chudziński, Włodzimierz Tydzewski i Andrzej Urbańczyk

DOBRALI SIĘ DO PROFESORA HIERONIMA KUBIAKA

Rozmowa nosi tytuł: *„Łatwiej być profesorem niż politykiem"*. I jest bardzo ciekawa, gdyż dotyczy nie tylko tego, co to znaczy być politykiem, ale i tego jak doszło do tego, że socjolog Hieronim Kubiak został politykiem i co z tego wynikło — również dla niego.

Rozmówcy postawili tezę, że Hieronim Kubiak, jako polityk pojawił się w *„okresie wydarzeń lat 1980—81..."*. Ale Hieronim Kubiak nie zgodził się z takim ujęciem sprawy i wyjaśnił:

„Moje życie polityczne zaczęło się od wyboru legitymacji partyjnej w 1953 roku po śmierci Stalina. Trzy lata później, podczas zebrania partyjnego w Uniwersytecie Jagiellońskim, po lekturze referatu Chruszczowa na XX Zjeździe, z naiwnością swoistą dla okresu pierwszej komunii, pytałem starszych towarzyszy: Wiedzieliście co się dzieje? I zgadzaliście się na to? Wizja tego zebrania jest dla mnie jednym z najważniejszych kontrolnych układów odniesienia. Przeraża mnie myśl, że mogę stanąć kiedyś wobec podobnego pytania i nie będę umiał na nie odpowiedzieć. Dlatego tamto uznaję za początek obecności polityki w moim życiu".

Hieronim Kubiak ukończył rusycystykę, był działaczem ZSP po 1956 roku, kiedy ta organizacja studencka miała bujny okres swojej pracy i przyczyniła się do wychowania wielu późniejszych polityków, działaczy kultury, ludzi nauki, działaczy gospodarczych. Hieronim Kubiak był nauczycielem języka rosyjskiego, ukończył socjologię, pracował w Komitecie Krakowskim PZPR, został profesorem, był delegatem na IX Zjazd PZPR, podczas którego wybrano go członkiem KC, członkiem Biura Politycznego KC i sekretarzem KC PZPR. Sekretarzem był do jesieni 1982 roku. Członkiem Biura KC PZPR do X Zjazdu PZPR. Był dyrektorem Instytutu Badań Polonijnych w Uniwersytecie Jagiellońskim.

W 1971 roku został powołany do zespołu doradców wicepremiera Wincentego Kraśki. Funkcję tę pełnił do połowy 1972 roku, miał był doradcą I sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka, ale zrezygnował z niego. Wrócił do pracy naukowej, ale gdy w lipcu 1980 roku nadeszły wieści z Lublina...

„...a potem z Gdańska, nie mogłem być bierny. Pragnąłem, aby nie było więcej krwi. To był główny, zasadniczy motyw. Bo wiedziałem, że jej nie musiało być aż tyle w poprzednich kryzysach. I miałem ogromną nadzieję, że można się jeszcze porozumieć. Sądziłem, że droga do porozumienia prowadzi nie przez chwilowe uspokojenie nastrojów, lecz przez zdecydowaną i wyraźną zarazem wolę usuwania przyczyn konfliktu".

Tak znalazł się znów w centrum życia politycznego. Został politykiem. Co to jednak znaczy

BYĆ POLITYKIEM

A warto przy tym pamiętać, że Hieronim Kubiak jest socjologiem, ma zatem niezbędną wiedzę teoretyczną, jest specjalistą od nauk społecznych. Czy wiedza ta była mu pomocna w pracy?

„Coraz częściej — powiedział Hieronim Kubiak — *dochodzę do takiej konkluzji na temat stanu nauk społecznych — a straszna to konkluzja — że w najlepszym razie mogą one, w sposób mniej lub bardziej udany, pokusić się o interpretacje przeszłości. Natomiast w stosunku do teraźniejszości, zwłaszcza ujmowanej w krótkich odcinkach czasu, ujawniają swoją bezradność"*.

Smutna to konkluzja!

Rozmówcy zarzucili Hieronimowi Kubiakowi, że jego niepowodzenia wzięły się z faktu, że nie był *„zawodowym politykiem"*, a jedynie *„politykiem amatorem"*. A amator zawsze przegra z zawodowcami. Hieronim Kubiak przyznał im rację, chociaż nie do końca.

„Potwornie trudno jest być politykiem, gdy nie chce się zostać zawodowcem.

A ja do tego jeszcze jestem za rotacją. Polityka — według mnie — składa się z kultury obejmowania urzędu, z kultury spełniania związanych z nim powinności i najtrudniejszej sztuki — kultury powrotu do zawodu...."

— *„... jak się go ma!"* — wtrącił w tym miejscu Andrzej Urbańczyk. A Włodzimierz Rydzewski z uporem dowodził, że amatorstwo w przypadku Hieronima Kubiaka *„nie polega w żadnym razie na braku wiedzy o polityce, lecz na braku umiejętności prowadzenia gry politycznej"*. Na co Hieronim Kubiak wyjaśnił:

„Po pierwsze — politykiem zostaje się w wyniku indywidualnej decyzji, niezależnie od tego, czy kogoś wyniósł na szczyt polityki przypadek, czy ktoś latami na te szczyty się wspinał. Podkreślam ten fakt, bo bycie politykiem łączy się nierozerwalnie z kwestią indywidualnej akceptacji i odpowiedzialności. Po drugie — amatorstwo nie może być żadnym usprawiedliwieniem. Po trzecie — polityka jest profesją i dlatego można się jej nauczyć (a w pewnych warunkach nawet trzeba). Po czwarte — polityka nie musi być niemoralna, choć w polityce stosuje się wiele socjotechnik, które budzą wątpliwości moralne. Niektóre z tych socjotechnik nawet dane było mi poznać".

Aktywność w krakowskiej organizacji partyjnej w trudnych miesiącach 1980 i 1981 roku sprawiła, że Hieronim Kubiak wolą delegatów jechał na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR jako kandydat do KC. *„To, co stało się potem, toczyło się pod wpływem wyborów na samym Zjeździe, pod wpływem tego, kto się znalazł w nowym KC, a kto nie został wybrany"*. Tak więc Hieronim Kubiak został wybrany członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC PZPR. Sekretarzem przestał być jesienią 1982 roku. *„Odchodziłem* — powiedział w rozmowie dla „Zdania" — *w sytuacji bardzo ostrego ataku na to, co robiłem i na mnie osobiście"*. Był to atak prowadzony metodami, *„których w żadnych warunkach nie wolno akceptować"*. Były to ulotki sygnowane przez *„Ruch Obrony Socjalistycznej Ojczyzny"*, a kolportowane głównie w gmachu KC, na posiedzeniach plenarnych i naradach, które *„znajdowały się nawet w stołówce KC"*.

„Moja klęska — ocenia to dziś Hieronim Kubiak — *zaczęła się w momencie, kiedy okazało się, że porozumienie narodowe przebiega wolniej niż wymaga tego racja stanu"*.

W przeddzień X Zjazdu PZPR wracamy pamięcią do lipca 1981 roku, gdy w Pałacu Kultury i Nauki obradował IX Zjazd.

CZYM BYŁ IX ZJAZD PZPR

— zastanawiamy się dziś, z pięcioletniej perspektywy czasu. Tym bardziej interesują nas opinie człowieka, który brał w tym Zjeździe udział, był współautorem — jak wielu delegatów — dokumentów tego, historycznego przecież Zjazdu.

„Nie umiem — mówi Hieronim Kubiak — *przetłumaczyć programu IX Zjazdu na dekalog i bardzo się bronię przed każdą próbą tego rodzaju. Ten program jest ważny jako całość. Tak trzeba go traktować również dlatego, iż nie powstał on bezpośrednio przed IX Zjazdem. Już później, zwłaszcza w okresie pracy nad tzw. „raportem kryzysowym", wracałem do dyskusji przed VI oraz VIII Zjazdem. Przekonałem się, że zasadniczy trzon treści zawartych w decyzjach IX Zjazdu, był obecny już wcześniej, w naszych partyjnych doświadczeniach. Z tego punktu widzenia nie wymyślaliśmy rzeczy nowych czy nienowych, lecz przede wszystkim syntetyzowaliśmy to doświadczenie i szukaliśmy zabezpieczeń przed recydywą błędów"*.

Tak więc uchwały IX Zjazdu PZPR nie wzięły się znikąd, nie były tylko wymysłem delegatów, ale wyrastały z bogactwa doświadczeń partii. *„Okazało się, że partia nie jest tonącym okrętem bez sternika, lecz siłą, która potrafi znaleźć kontakt ze społeczeństwem. I dlatego właśnie po Zjeździe z taką furią zaatakowano partię"*.

Pamiętamy wszyscy jeszcze tamten czas. Ciągłe strajki, pustki w sklepie, marsze głodowe, plakaty, oskarżenia, narastające rozprzężenie, anarchia, zagrożenie państwa i bytu narodu, choć w hasłach głoszono coś wręcz przeciwnego. I coraz jawniejsze, otwarte ataki na partię, na socjalizm. A przecież IX Zjazd PZPR odbywał się pod hasłem takiej obrony socjalizmu, jak niepodległości. Dlaczego zatem partia, która potrafiła przedstawić społeczeństwu program wyjścia z kryzysu nie potrafiła podjąć skutecznej walki z przeciwnikami socjalizmu?

„...partia była przez długi czas zajęta przede wszystkim sobą — wyjaśnia Hieronim Kubiak — *a nie tym, by wokół siebie skupić społeczeństwo. Od wypadków poznańskich do VIII Plenum minęły niecałe cztery miesiące. A od gdańskiego sierpnia do IX Zjazdu — prawie rok. Jaki rok! W tym czasie przeciwnik polityczny organizował się, rosło zagubienie się różnych środowisk, nasilała się dezorientacja, potęgowały się rzeczywiste trudności gospodarcze. Dlatego w gąszczu napięć i pod presją psychozy tłumu udało się przeciwnikom ponownie rozerwać więź partii z wieloma środowiskami. Przyszliśmy ze zjazdową ofertą zbyt późno. Scena była już gotowa dla fałszywych proroków. Emocje brały górę nad racjami rozumowymi. By zrealizować program Zjazdu, choć dla wielu brzmi to paradoksalnie, trzeba było sięgnąć po inne środki"*.

Jest to może lapidarna, ale niemniej jednak trafna ocena ówczesnej sytuacji, która coraz wyraźniej zaczynała ewoluować w kierunku konfrontacji, mimo to — jak powiada Hieronim Kubiak — że *„staraliśmy się powstrzymać niekontrolowany rozwój wydarzeń Wierzyłem do ostatniej chwili, że jest to jeszcze możliwe"*. Ale możliwe już nie było.

Dziś opadły emocje i można spokojnie oraz rzeczowo oceniać minione. Dostrzec też i to, że społeczne oczekiwania przerastają niejednokrotnie możliwości polityków i działaczy. *„Trzeba być cudotwórcą* — doszedł do wniosku Hieronim Kubiak — *żeby sprostać społecznym oczekiwaniom"*. To stwierdzenie poprzedziło pytanie Andrzeja Urbańczyka na temat

OCZEKIWAŃ, JAKIE WIĄŻEMY Z X ZJAZDEM PZPR

Pytanie to brzmi dosłownie: *„Co — z tej perspektywy patrząc — będzie miał do zaoferowania społeczeństwu X Zjazd?"*

H. KUBIAK: — *„Zjazd będzie taki, jak będzie chciał być. Pragnę, by pobudził intelektualnie i moralnie partię oraz znalazł skuteczne instrumenty realizacji programu, którego podstawowe zręby zostały ustalone przez IX Zjazd"*.

Może to też brzmi lapidarnie, ale trafnie. Wszyscy tego chcemy i oczekujemy. Są to oczekiwania nie tylko na miarę możliwości, ale i potrzeb. Bo od tego będzie zależała nasza przyszłość. To bardzo dużo! To wszystko, co mamy!

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Ufność i nadzieja

Zwykle łatwo zapominamy, jaki był przebieg politycznych wydarzeń sprzed niewielu nawet lat, czegośmy wówczas pragnęli i żądali, jakie uzyskaliśmy gwarancje i zapewnienia. Wskutek tego nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że jeśli rzeczywistość nas nie zadowala, nie musi to wcale oznaczać, iż nasze dawne postulaty nie zostały spełnione, ale że od tamtego czasu znacznie wzrosły nasze wymagania i pojawiły się nawet zupełnie nowe. Może tylko ludziom zajmującym się polityką czy np. publicystyką stosunkowo łatwiej niż innym przychodzi odtworzenie sobie stanu własnego umysłu i nastrojów społecznych w latach minionych, gromadzą bowiem materiały, sporządzają notatki, umieją też czynić metodologicznie poprawny użytek z istniejącej dokumentacji. Umożliwia to im ocenę przebytej drogi, np. od czasu poprzedzającego Sierpień 80 lub od IX Zjazdu partii czy od momentu wprowadzenia stanu wojennego.

Otóż według mojego rozeznania (jeżeli przyjmę za punkt wyjścia dowolny moment spośród wymienionych) poszerzyły się niepomiernie szybkość, zakres i dokładność informowania społeczeństwa o sprawach stanowiących przedmiot publicznego zainteresowania, skurczyły się natomiast w sposób zauważalny „obszary przemilczeń" (np. w odniesieniu do tragicznych konfliktów w łonie ruchu robotniczego i procesów zachodzących w życiu partii), pojawiła się tematyka dawniej zupełnie zatajana, np. dotycząca działalności służb bezpieczeństwa.

Zwiększył się wydatnie zasięg krytyki społecznej, zwłaszcza w tzw. publikatorach, ale i na różnego rodzaju spotkaniach z władzami. Krytyka posunięć rządowych, dawniej nie praktykowana, stanowi dziś chleb powszedni co ambitniejszego publicysty, z czym idzie w parze publiczne tłumaczenie się wysoko postawionych osobistości, co odbywa się często przed kamerami tak zresztą krytykowanej telewizji. Zapoczątkowano też i rozwija się na coraz większą skalę badanie opinii publicznej na tematy polityczne i światopoglądowe oraz podawanie ich do powszechnej wiadomości, nie mówiąc o tym, że bywają one często wskazówką dla poczynań władz.

Odmieniło się też i radykalnie udoskonaliło, w porównaniu z epoką CRZZ, funkcjonowanie związków zawodowych, które, wbrew niewybrednym insynuacjom, są poważnym partnerem władz państwowych, współodpowiedzialnym za losy kraju, a korzystają one z większych prerogatyw niż w wielu państwach demokracji burżuazyjnej. A istotny wpływ PRON na życie społeczno-polityczne, wolny od fasadowości dawnego FJN? Nie wspominam już o zjawisku tak dostrzegalnym, jak coraz lepsze zaopatrzenie rynku i szereg innych objawów stabilizacji życia.

Gdyby jakoś zsumować wymienione tu wyrywkowo fakty, złożyłyby się one na niezbity dowód, że droga odnowy i reform oraz porozumienia i walki, ogłoszona przez IX Zjazd PZPR w lipcu 1981 r. znajduje w naszym życiu bezsporne urzeczywistnienie. Zresztą co do porozumienia narodowego, to jest ono stale, bez wstępnych warunków, otwarte wobec każdego, kto gotów jest od dziś zacząć rzetelnie wypełniać swoje obowiązki obywatelskie i nie naruszać prawa. A co do walki, to wiadomo przecież, że prowadzi się ją z przeciwnikami ustroju socjalistycznego, przejawiającymi antypaństwową działalność, coraz częściej, bo taka jest logika zachodzącego procesu, działalność agenturalną.

Moim zdaniem, nie brak też plam, które nieco mącą obraz naszych dokonań w okresie międzyzjazdowym. Uważam, że pewne zjawiska wymykają się kontroli i wpływowi partii, np. nadmierne i nieusprawiedliwione rozwarstwianie się społeczeństwa pod względem materialnym (co nie dotyczy ogółu pracowników na państwowej służbie, gdzie nawet, sprzecznie z duchem reformy, dochodzi do spłaszczenia zarobków i osłabienia motywacyjnej funkcji płacy). Mam na myśli osłabienie ekonomicznych pozycji świata pracy w porównaniu ze sferą działalności prywatnej, co prowadzi do erozji klasowego spojrzenia na problemy społeczne, osłabia socjalistyczny system wartości i pociąga za sobą ujemne skutki kulturowe.

Wszystko jednak przemawia za tym, że X Zjazd partii będzie stanowił rozwinięcie i kontynuację zjazdu poprzedniego, będzie więc niezwykle ważnym aktem politycznym, wywierającym wpływ na kierunek rozwoju państwa i warunki życia społeczeństwa. Byłoby jednak błędem, gdybyśmy liczyli na to, że zjazd „zadekretuje" likwidację naszych bolączek i kłopotów i że dalsza naprawa Rzeczypospolitej będzie się mogła odbywać bez naszego najczynniejszego udziału i poparcia.

W samoczynne przetwarzanie się słusznych postanowień w realne fakty mogą wierzyć szlachetni utopiści i zupełni ignoranci. Twarde realia życia będą jednak, jak przypuszczam, uczyć ludzi odpowiedzialności w myśleniu i działaniu, pozyskiwać ich dla programów wytyczanych przez partię, dla których zresztą nie ma i nie może być sensownej (tzn. także — możliwej do urzeczywistnienia) alternatywy.

Ale ufać w poprawę warunków, mieć nadzieję na lepszą przyszłość można tylko pod warunkiem, że każdy wypełnia, co do niego należy. Zapewne nie jest to porywające dla głów romantycznych, oczywiste jednak dla umysłów nie zmąconych emocjami.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

W najbliższych numerach „Odgłosów" ukażą się między innymi:

— artykuł **Edwarda K. Nowaka** o tych, którzy w Polsce sprawują władzę w świetle badania opnii społecznej;

— **Dlaczego boli nas głowa?** — sześć rozmów **Andrzeja Betulskiego** ze specjalistami od leczenia migreny z Anglii, Norwegii, Francji, Węgier, ZSRR i Polski;

— **Być finansowym aniołem stróżem** — rozmowa **Dariusza Dorożyńskiego** o podatkach i tych, którzy się od nich uchylają;

— **Stereotypy do „poprawczaka"** — Jacka Głębskiego, to relacja z pobytu w domu wychowawczym młodzieży, interesująca i zaskakująca;

— Fragment pamiętników Giovanniego Giacomo **Casanovy** o jego pobycie w Warszawie.

Ukażą się też reportaże **Jacka Głębskiego, Marka Koprowskiego i Witolda Wernera** z ich podróży po miastach i kurortach polskiego wybrzeża od Szczecina po Gdańsk.

ze str. 1

wości nadużywania alkoholu albo wręcz jego używania.

Weźmy inną dziedzinę: sport. O walorach wychowawczych sportu nie muszę chyba nikogo przekonywać. Te walory są jednak niwelowane przez różne ujemne zjawiska, jak podkupywanie nawet najmłodszych zawodników, różne afery ujawniane w sporcie, w działalności klubów. Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. I jak tu mówić o wychowawczym oddziaływaniu? Coraz mniej ludzi chce zrobić coś społecznie. Już nawet i młodzież czasem pyta: — „a co ja z tego będę miał?".

K. JAKUBIEC: — Powiedziałem, że nam w liceum łatwiej zauważyć braki w wychowaniu niż w szkole podstawowej. To prawda, ale nie cała. Łatwiej nam zauważyć, ale nie mamy tego luksusu, aby znać uczniów dobrze, mieć czas na rozmowę z nimi, na ich lepsze poznanie. Uczę geografii w 13 klasach. Mam 400 uczniów. Czy jestem w stanie poznać każdego, zrozumieć go? Czasem człowiekowi przy takim natłoku uczniów trudno spamiętać wszystkie nazwiska. A przecież nauczyciel ma jeszcze inne obowiązki: praca z utalentowanymi, z najsłabszymi, współpraca z rodzicami, sprawdzanie zeszytów, klasówek. Samemu też trzeba się kształcić, aby nie pozostać w tyle. A doba ma tylko 24 godziny.

Inny problem. Moją pasją są wycieczki. Na wycieczce można zrealizować wiele celów poznawczych i wychowawczych. Na wycieczce najlepiej poznaje się uczniów, nawiązuje się z nimi kontakty, konsoliduje się grupę. Ale coraz trudniej organizować wycieczki. Po prostu stały się drogie. Jeśli czterodniowa wycieczka ma kosztować 7 do 8 tysięcy od osoby, to często jest już niemożliwe taką wycieczkę zorganizować.

ODGŁOSY: — A zakłady opiekuńcze? Czy nie mogą jakoś pomóc?

K. JAKUBIEC: — Owszem mogą. Na przykład mogą udostępnić autokar zakładowy. Ale po 60 złotych za kilometr. Przy takich cenach wycieczka do Gdańska kosztuje 2 tysiące złotych od osoby tylko za transport. A gdzie jedzenie, spanie, bilety wstępu do muzeów i temu podobne wydatki? Z czego brać na to pieniądze? Z jakich funduszy? Reforma gospodarcza, ja to rozumiem. Ale czy na młodzieży, na oświacie trzeba koniecznie zarabiać?

Zresztą reforma gospodarcza wchodzi do szkoły różnymi drzwiami. Musimy oszczędzać. Też to rozumiem. Nie jestem przeciwny reformie gospodarczej, broń Boże! Ale jestem przeciwny skutkom doraźnym, bez umiejętności widzenia tego, co może nastąpić w przyszłości. A sytuację mamy taką. Rosną ceny pomocy szkolnych, ale nie zwiększają się sumy na ich zakup. Są minimalne, a przecież nowoczesne kształcenie wymaga coraz bardziej nowoczesnych pomocy naukowych. Jak rozwiązać ten gordyjski węzeł oświaty?

H. SUSKIEWICZ: — Padło tu słowo zakład opiekuńczy. Mamy wszak Narodowy Czyn Pomocy Szkole. Piękna inicjatywa, ale w praktyce różnie z tym bywa. Jest reforma gospodarcza i zakłady pracy jak chcą coś dać szkole, to musi o tym zadecydować samorząd. Pięknie. Ale opowiadał mi pewien dyrektor dużej fabryki, że kiedy przychodzi do dzielenia pieniędzy dla załogi, to samorząd pracowniczy zbiera się w ciągu 2 godzin. Gdy przychodzi dać coś z zakładowych funduszy, na przykład szkole, to samorząd nie może się zebrać i w ciągu 2 miesięcy. Poza tym nie mogę pojąć, dlaczego zakłady pracy za udzieloną materialną pomoc szkołom muszą płacić podatki? Jeśli zwalnia się od tego firmy polonijne, to dlaczego nie zwalnia się firmy państwowej? Jest to dla mnie całkowicie niezrozumiałe.

ODGŁOSY: — Miejmy nadzieję, że sprawy te zostaną jakoś uregulowane. Oszczędzanie na oświacie to najgorsze jakie może być oszczędzanie, gdyż odbije się ujemnie w przyszłości i skutki tego mogą być trudne do przewidzenia. Ale skoro mowa jest o wyposażeniu szkół, to jak sobie wyobrażacie komputeryzację szkoły, skoro dziś są takie trudności z rzeczami wydawałoby się najprostszymi?

H. SUSKIEWICZ: — Uczeń powinien mieć w szkole swój podręcznik i to dobrej jakości. Nowe programy wymagają nowych pomocy naukowych. Nie jest z tym najlepiej. Można powiedzieć z pewną przesadą, że mamy kłopoty z kredą i podręcznikami, a marzą się nam komputery i minikomputery. Ale bez komputerów nie będzie informatyki i przygotowania młodzieży do pracy już nie w XXI wieku, ale w najbliższych latach. Myślę, że w czasie obrad zespołu, który będzie się zajmował na X Zjeździe sprawami oświaty, będziemy się nad tym głęboko zastanawiali. Musimy znaleźć jakieś wyjście.

ODGŁOSY: — Ludzie dorośli, którzy sprawom oświaty przyglądają się z boku i myślą o niej z troską, gdyż rozumieją jej znaczenie dla przyszłości naszego narodu, z troską słuchają o ciągłym reformowaniu oświaty. Czy nie jest to już sztuka dla sztuki, reformowanie dla reformowania?

K. JAKUBIEC: — Problem chyba nie w tym. Szybki rozwój wiedzy zmusza szkołę do ciągłych zmian. Wprowadza się nowe programy, część wiedzy przenosi się do szkół podstawowych. My w szkole średniej mamy uczyć myślenia analitycznego i syntetycznego. Otóż, żeby tak postępować, musimy widzieć, czy młodzież, która przychodzi ze szkoły podstawowej, ma wiedzę zaprogramowaną w głowie, czy tylko w sprawozdaniach zapisano, że została ona z uczniami przerobiona. Jeśli wstępne badanie wiedzy uczniów, którzy przyszli do liceum wykaże, że program był przerobiony, ale w głowach nic nie zostało, to i my niewiele zdziałamy.

H. SUSKIEWICZ: — Dylemat współczesnej oświaty polega na tym, jak zmieścić w programie nauczania najważniejszą wiedzę nie przeładowując tego programu.

K. JAKUBIEC: — Ale też tego dylematu nie udaje się rozwiązać. Programy są rozszerzane i nadal przeładowywane. Na przykład z fizyki do programu szkoły średniej wchodzą tematy, które poprzednio były w programach szkół wyższych. Czy uczeń będzie w stanie przyswoić te wiadomości? Nie ma na ten temat żadnych badań, analiz. W programie geografii to, co do tej pory robiła druga klasa liceum przejmuje teraz szósta klasa szkoły podstawowej. Czy uczniowie tej klasy będą zdolni to sobie przyswoić? Znów nie mamy na ten temat wiedzy.

H. SUSKIEWICZ: — Nie ulega wątpliwości, że zwiększa się czas pobytu ucznia w szkole. Już mamy 37 a nawet 39 godzin pobytu w szkole tygodniowo wraz z godzinami nadobowiązkowymi. Kiedy rośnie czas pobytu w szkole, czas nauki w szkole, to rośnie również czas utrwalania i pogłębiania wiedzy w domu. Jak to się odbije na zdrowiu i psychice ucznia?

ODGŁOSY: — Czy w tej sytuacji uczeń może lubić szkołę?

K. JAKUBIEC: — Jeśli lubi nauczyciela, to lubi i przedmiot.

H. SUSKIEWICZ: — Ale to nie zmienia faktu, że młodzież ucieka ze szkoły.

ODGŁOSY: — Czy można się jej dziwić?

H. SUSKIEWICZ: — Nie. Szkoła w odczuciu wielu młodych jest miejscem zmęczenia. A od takich miejsc się ucieka. Poza tym nie fascynujmy się, że mamy taką piękną, wyrośniętą młodzież. Wśród tej młodzieży jest już wielu chorych: na cukrzycę, nadciśnienie, mają już choroby układu krążenia, skrzywienia kręgosłupa, nerwice. Skąd to się bierze? Ano, z przeciążenia.

ODGŁOSY: — Czy tylko takie zmiany obserwujecie u młodzieży? A jej rozwój intelektualny? Czy dzisiejsi uczniowie liceów różnią się czymś od tych sprzed — powiedźmy — 10 lat?

H. SUSKIEWICZ: — Tego się nie da porównać. Inne społeczeństwo było na początku lat siedemdziesiątych, inne jest dziś. Stąd i młodzież jest inna. Bez wątpienia trudna, wymagająca.

K. JAKUBIEC: — I jak zawsze krytyczna, ale to u młodych naturalne.

H. SUSKIEWICZ: — Ma bez wątpienia większą wiedzę, ale jest to wiedza obrazowa, telewizyjna, bez wewnętrznych logicznych związków. Są też różnice środowiskowe.

ODGŁOSY: — A jak widzicie sytuację organizacji młodzieżowych? Czy to prawda, że przeżywają one kryzys?

K. JAKUBIEC: — Nie mogę tego powiedzieć. W ubiegłym roku pojechałem na obóz z kołem geograficznym i młodzież poprosiła mnie o utworzenie drużyny harcerskiej. Ta drużyna nadal działa i rozrasta się ilościowo. Nie mam trudności z pracą wśród harcerzy.

H. SUSKIEWICZ: — To zależy od ludzi. Jeśli młodzież widzi pasję i chęć działania u nauczyciela, to chętnie garnie się do niego, obdarza go zaufaniem, lubi z nim pracować także poza lekcjami.

ODGŁOSY: — Dotknęliśmy najtrudniejszej chyba sprawy — przygotowania kadr dla oświaty.

H. SUSKIEWICZ: — To prawda. Dziś w szkole uczy każdy kto chce. A przecież tak nie może być. Na kursach po maturze nie można zdobyć niezbędnej wiedzy do nauczania w szkole.

K. JAKUBIEC: — Nauczaniem w najniższych klasach szkoły podstawowej powinni zajmować się najlepsi pedagodzy, z dużym doświadczeniem i dużymi umiejętnościami. Jest odwrotnie.

ODGŁOSY: — Niektórzy wołają o powrót do liceów pedagogicznych.

H. SUSKIEWICZ: — To nie o to chodzi. Już nie ten czas. Proponuje się różne rozwiązania: powrót do wyższych szkół pedagogicznych, rozwijanie wydziałów kształcących nauczycieli w uniwersytetach, otwieranie studiów nauczycielskich. To są półśrodki. Musi powstać system kształcenia nauczycieli zgodny z potrzebami demograficznymi i społecznymi. Odpowiednią rolę odgrywa również właściwie przygotowana kadra władz oświatowych. Trzeba tam kierować najlepszych.

K. JAKUBIEC: — W ogóle do pracy w oświacie powinni iść najlepsi. Idą natomiast na ogół tacy, którzy nie widzą siebie nigdzie indziej. A więc nie są to najlepsi, najbardziej dynamiczni. Po drugie — postępuje feminizacja tego zawodu. Nie mam nic przeciw kobietom, ale... Do szkoły chodzą chłopcy i dziewczęta. W domu jest ojciec i matka. W szkole powinien być pan i pani, profesor i profesorka. A są na ogół panie. To ma swoje określone skutki wychowawcze. Jak w zespole nauczycielskim jest jeden, dwóch mężczyzn, to dobrze, a powinno być przynajmniej pół na pół.

I sprawa trzecia — to nauczyciele zawodu. To też powinni być dobrzy fachowcy i dobrzy pedagodzy. Tymczasem są to na ogół ludzie, którzy chcą sobie w szkole dorobić. Czasem emeryci. I często wcale nie najlepsi fachowcy, a już zupełnie bez przygotowania pedagogicznego. To też wniosek do rozważań o systemie kształcenia nauczycieli.

O pieniądzach już nie będę mówił, bo to wszyscy wiedzą.

ODGŁOSY: — Owszem ludzie na ogół wiedzą, że w oświacie nie ma kokosów, ale powiadają, że wcale nie macie tak źle, bo pracujecie 18 godzin tygodniowo, macie wolne soboty i macie dwa miesiące wakacji.

K. JAKUBIEC: — Owszem. Tak się mówi. Kto to mówi? Na ogół ludzie, którzy nie mają nic wspólnego ze szkołą i nie wiedzą, jak to jest w istocie. Owe 18 godzin tygodniowo — to godziny dydaktyczne. Ja na przykład mam 24 godziny tygodniowo i — jak już wspomniałem — uczę w 13 klasach. Poza tym muszę sprawdzać zeszyty, robić klasówki i też je sprawdzać. Do lekcji muszę się przygotować, bo są różne profile klas, więc w każdym trzeba inaczej, są różne klasy i z każdą też trzeba inaczej. Do tego dochodzą kontakty z rodzicami. W soboty są zajęcia pozalekcyjne. Uczniowie chętnie na nie przychodzą, bo mogą więcej nauczyć się niż na normalnych lekcjach. Do tych zajęć też trzeba przygotować się. No i wreszcie te wakacje, które tak ludzi kolą w oczy. A kto z uczniami, z młodzieżą w ogóle jeździ na obozy, kolonie? Rodzice chętnie wysyłają dzieci i mają spokój. Nauczyciel — nie. Odpowiada za zdrowie i życie tych dzieci.

H. SUSKIEWICZ: — Nauczyciel musi być organizatorem, pedagogiem, wychowawcą, doradcą, powiernikiem. Jest też działaczem organizacji młodzieżowej, partyjnym, społecznym. No i nie może stać w miejscu, musi dużo czytać, być na bieżąco w wielu sprawach. I często odpowiada za innych. Jest bowiem często sam na tej linii jednolitego frontu wychowawczego. Sojuszników jakoś nie widać. Bierze więc niekiedy cięgi za innych. Taki już los. Ale jest to piękny zawód, który daje ogromną satysfakcję. I wielu z nas dla tej satysfakcji pracuje. To ogromna radość patrzeć, jak współdziała się w kształtowaniu nowego, mądrego człowieka.

ODGŁOSY: — Obraz trudności i problemów nie napawa optymizmem. Tym bardziej, że nie wszystko, na co wskazywał IX Zjazd PZPR, zostało zrealizowane. A przecież bez postępu w oświacie, bez niezbędnych zmian, nie będziemy mogli właściwie wejść w XXI wiek.

H. SUSKIEWICZ: — IX Zjazd zakładał upowszechnienie średniego wykształcenia. Teraz jakbyśmy się z tego wycofali i mówi się już o „wyrównywaniu szans młodzieży". To nie jest to samo. Uważam, że nie powinniśmy się wycofywać z upowszechniania średniego wykształcenia. Jest to niezbędne choćby z tego powodu, że mamy doganiać innych, a więc potrzebny jest postęp i w oświacie. Nie musi to być takie gwałtowne, może to być proces wolniejszy, ale nieustanny.

Nie można jednak powiedzieć, że od IX Zjazdu nic się nie zmieniło. Wprawdzie, gdybym zebrała swoje wystąpienia i te przed IX Zjazdem, przed XXIV Plenum KC, na konferencji dzielnicowej, na Plenum KŁ i inne, to w wielu miejscach mogę je spokojnie powtórzyć bez obawy, że straciły aktualność. Ale też przynajmniej do X Zjazdu nakreśliliśmy kierunki działań, które trzeba z uporem i konsekwencją wprowadzać w życie. Wiemy już co robić. Ale trzeba to robić, a nie czekać aż to ktoś zrobi za nas.

K. JAKUBIEC: — Na X Zjeździe PZPR będziemy zmierzali do tego, aby nie tylko były dobre uchwały, ale aby też powstały mechanizmy kontrolujące ich wykonanie. Na „górze" i na „dole".

Opracowała:
BOGDA MADEJ

Na oświacie nie wolno oszczędzać

Halina Suskiewicz i Krzysztof Jakubiec

Foto: Grzegorz Gałasiński

Decydują kierownicy

Znany historyk brytyjski, Arnold Toynbee, który badał losy wszystkich cywilizacji świata, doszedł do wniosku, że o rozwoju lub regresie decydują trzy czynniki: 1) charakter wyzwania przyrodniczego bądź politycznego; 2) zdolność elity kulturalnej do podjęcia wyzwania, znalezienia właściwej odpowiedzi i przewodzenia społeczeństwu; 3) stopień solidarności wszystkich grup w dążeniu do realizacji wspólnych zadań. Kryzys natomiast pojawia się wówczas, kiedy elita traci siły twórcze i przez to atrakcyjność społeczną, gdy masy nie mają ochoty kroczyć za awangardą, gdy konflikty wewnętrzne prowadzą do dezintegracji całości społeczeństwa i utraty koniecznej jedności.

Koncepcja ta pozwala, jak sądzę, lepiej zrozumieć współczesne problemy naszego kraju. Polska stoi obecnie wobec niezwykle trudnego wyzwania cywilizacyjnego. Aby sprostać mu potrzebuje mądrej i aktywnej awangardy oraz s o l i d a r n o ś c i, ale — jak to ktoś trafnie określił — solidarności bez cudzysłowu.

W naszym ustroju do roli awangardy pretendują dwie siły: inteligencja i klasa robotnicza. Stanisław Kwiatkowski ujął sprawę następująco: **„Robotnicy są awangardą polityczną, inteligencja — awangardą kulturową. Są to siły współzależne, dwa tryby napędzające socjalizm, napędzające, jeśli do siebie przystają".** Z tym przystawaniem, jak wiadomo, bywało i bywa różnie.

W strukturze społecznej Polski co druga osoba należy do klasy robotniczej, a co piąta do warstwy pracowników umysłowych. Obie grupy zdecydowanie dominują w składzie socjalnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wśród ogółu członków i kandydatów PZPR robotnicy stanowią 38 proc., inteligencja — 51 procent. Stopień upartyjnienia inteligencji jest znacznie wyższy nawet niż klasy robotniczej. Warto podać, że do partii należy aż 24 proc. ludności z wyższym wykształceniem, 30 proc. nauczycieli w oświacie, 26 proc. nauczycieli akademickich.

Partyjni robotnicy i pracownicy umysłowi mają — z racji kierowniczej roli PZPR — szczególne możliwości oddziaływania na bieg wydarzeń politycznych. I od nich powinno się najwięcej wymagać. Ale jest jeszcze inna kategoria podmiotowa — w większości złożona z osób bezpartyjnych — która bezpośrednio i na co dzień decyduje o realizacji wszelkich programów rozwojowych naszego kraju. Myślę o kadrze kierowniczej. To od niej przecież zależy stan organizacji i jakości pracy, funkcjonowanie infrastruktury społecznej, działalność kulturalna i wychowawcza. Kadra kierownicza sprawuje i reprezentuje władzę.

Według spisu kadrowego z 1983 roku na różnych stanowiskach kierowniczych — od mistrzów do ministrów — zatrudnionych było 984 285 osób. Z tego w administracji centralnej pracowało 7,7 tys., w administracji terenowej — 14,8 tys. i w administracji gospodarczej — 190,8 tys. osób. Najwięcej kierowników miały wewnętrzne komórki inżynieryjno-techniczne (345,6 tys.) oraz wewnętrzne komórki ekonomiczne, administracyjne i administracyjno-gospodarcze (258,9 tys.)

Największy odsetek młodzieży (w wieku do 29 lat) na stanowiskach kierowniczych odnotowano w dziale kultury i sztuki (18,4 proc.), a następnie w kategorii wewnętrznych komórek inżynieryjno-technicznych (13,9 proc.). Natomiast najwyższy udział starszych kierowników (w wieku 55 lat i więcej) miały: nauka i rozwój techniki (27,7 proc.) oraz administracja centralna (21,7 proc.), a dalej ochrona zdrowia i opieka społeczna (13,3 proc.).

Wykształceniem wyższym legitymował się dokładnie co trzeci kierownik. Najwięcej miało wykształcenie średnie i policealne (57 proc.). W grupie 4 861 dyrektorów przedsiębiorstw i kombinatów przemysłowych struktura wykształcenia wyglądała następująco: wyższe — 84 proc., średnie i policealne— prawie 17 proc., poniżej średniego — 0,1 proc. (6 osób).

W ostatnich kilku latach zmniejszyła się liczba stanowisk kierowniczych należących do tzw. nomenklatury. Obecnie centralne władze PZPR decydują o obsadzie 4,5 tys. stanowisk, komitety wojewódzkie o 40 tys., a instancje podstawowe zatwierdzają 210 tys. kierowników. Nie wszyscy jednak rekomendowani przez partię są jej członkami. Ale im wyższe stanowisko kierownicze, tym większy udział członków PZPR. Na przykład: wśród prezydentów miast, naczelników i ich zastępców jest zaledwie 6 proc. bezpartyjnych i blisko 80 proc. członków PZPR, pozostali zaś należą do ZSL i SD.

Nową formą obsadzania stanowisk są konkursy. Badania wykazały, że ponad 90 proc. wyłonionej w ten sposób kadry kierowniczej całkowicie sprawdziło się w praktyce. Interesujące przy tym, że na 548 dyrektorów „konkursowych" z lat 1981—1984 aż 33 proc. należało do PZPR, a tylko niespełna 10 proc. stanowili bezpartyjni.

Jeśli kadra kierownicza ma być motorem rozwoju i postępu, musimy dbać o to, żeby składała się z ludzi najlepszych pod względem merytorycznym i moralnym. Często jednak ci najlepsi nie chcą obejmować funkcji kierowniczych. Nie garną się też zbytnio do kierowania ludzie młodzi. Trzeba więc uruchomić odpowiednie mechanizmy motywacyjne — materialne i prestiżowe.

Ważnym elementem polityki kadrowej jest system opiniowania pracowników. Wszystkie opinie powinny być, oczywiście, obiektywne, wielostronne i sprawiedliwe. W tym celu należy stosować specjalne kwestionariusze i skale ocen. A ponadto potrzebna jest odwaga cywilna, której nam, Polakom — odważnym na polu bitwy — zwykle brakuje w codziennych stosunkach z bliźnimi.

Wypowiadając się na temat ostatniego przeglądu kadrowego Kazimierz Miniur, I sekretarz KF Huty im. Lenina, członek KC PZPR, stwierdził: **„Nie wiem jakie są efekty na szczeblu krajowym. Zauważyłem jednak, że często brak nam odwagi, by rzetelnie oceniać postawy i umiejętności ludzi. W naszych ocenach każdy ma opinię tak dobrą, że nadaje się tylko na ministra lub premiera. Gdy jednak ułożyliśmy ankietę anonimową, w której zapytaliśmy jak pracownicy oceniają swojego przełożonego pod względem zawodowym, etyczno-moralnym, politycznym itd., otrzymaliśmy oceny często zupełnie odmienne".** W innym miejscu swej wypowiedzi („Trybuna Ludu", nr 142 z 1986 r.) Kazimierz Miniur zwrócił uwagę, że niełatwo jest wyszukiwać najlepszych w sytuacji dużej płynności kadr. Podał on, że w ciągu trzech lat w Hucie im. Lenina wymieniło się prawie trzy czwarte załogi.

Między IX a X Zjazdem PZPR wielokrotnie dyskutowano o polityce kadrowej. W październiku 1983 roku XIII Plenum KC zaakceptowało „Główne założenia polityki kadrowej PZPR". A w maju br. specjalną uchwałę w tej sprawie przyjęło Biuro Polityczne.

E.C.

Czasy nadziei i rozczarowań (6)

To nie był związek zawodowy, lecz ruch polityczny

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

15 sierpnia Stanisław Kania i Wojciech Jaruzelski powrócili do kraju po krótkiej wizycie w ZSRR. W prasie został opublikowany komunikat o spotkaniu przywódców polskich z Leonidem Breżniewem na Krymie. W tych trudnych i pełnych napięć tygodniach każdy polsko-radziecki kontakt na szczycie skupiał na sobie uwagę szerokich kręgów krajowej opinii publicznej, a także zagranicznej. Tak było i tym razem. Jaki był wówczas Twój komentarz?

Było to pierwsze spotkanie na szczycie po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR. Polscy przywódcy przedstawili swoim rozmówcom, a należeli do nich, oprócz L. Breżniewa, A. Gromyki, K. Czernienko i K. Rusakow, ocenę zjazdu oraz scharakteryzowali sytuację w kraju. Leonid Breżniew stwierdził, że Związek Radziecki pragnie, by polscy komuniści, cały naród polski, pomyślnie realizowali uchwały IX Zjazdu. Wewnętrzni i zewnetrzni wrogowie Polski Ludowej, powiedział sekretarz generalny KPZR, posługują się orężem antysowietyzmu, liczą bowiem na to, że uda im się wytworzyć przepaść między Polską Ludową a Związkiem Radzieckim oraz innymi jej przyjaciółmi i sojusznikami, a tym samym podważyć podstawy pokojowego i bezpiecznego rozwoju niepodległego państwa polskiego. Była to ocena pokrywająca się ze stanowiskiem naszej partii i rządu. Tak zawsze mówiliśmy, ilekroć wypowiadaliśmy się o antyradzieckiej linii kierowniczych zespołów „Solidarności". Efekty spotkania na Krymie wykroczyły poza sferę ideologii i polityki. Związek Radziecki uwzględniając trudną sytuację gospodarczą naszego kraju odroczył terminy spłat zadłużenia Polski wobec ZSRR przesuwając je na następne pięciolecie oraz podjął decyzję o dodatkowych dostawach surowców dla przemysłu lekkiego, a także niektórych towarów powszechnego użytku. Nie po raz pierwszy Związek Radziecki w trudnych dla nas chwilach pospieszył nam z pomocą. Poparcie udzielone przez radzieckie kierownictwo linii reform przyjętej przez IX Zjazd PZPR oraz powzięte podczas krymskiego spotkania decyzje gospodarcze były wielką pomocą dla naszego kierownictwa. Delegacja powróciła do kraju w dobrym nastroju. Codzienne troski jednak nie zniknęły. Zdarzeń, które mogłyby napawać optymizmem, było niewiele.

W sierpniu NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność" wezwał rolników do niepłacenia kolejnej raty podatku. „Solidarność" RI przedłożyła rządowi cztery postulaty dotyczące polityki rolnej. W wyniku negocjacji, które odbyły się 17 sierpnia, osiągnięto porozumienie pomiędzy RI i Ministerstwem Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej; akcja protestacyjna została zawieszona. 20 sierpnia odbyło się posiedzenie rządowego operacyjnego sztabu antykryzysowego, na którym rozpatrzono propozycje dotyczące wyłączeń energetycznych. W związku z niskim i nadal obniżającym się poziomem wydobycia węgla sztab uznał, że już od 1 września trzeba będzie przystąpić do wyłączeń na wielką skalę energochłonnych przemysłów, mając na uwadze ochronę wszystkich tych dziedzin gospodarki narodowej, które produkowały artykuły pierwszej potrzeby.

21 sierpnia „Solidarność" Huty „Katowice" zorganizowała masówkę, żądając usunięcia dyrektora. Uczestniczyło w niej około 500 osób, co jak na 20-tysięczną załogę nie było liczbą imponującą. Postanowiono ukarać go m. in. za decyzję, jaką podjął w sprawie „Wolnego Związkowca". Na platformie ciężarówki, z której przemawiano, umieszczono białą taczkę — zaproszenie do wywiezienia go z zakładu. Podjęto decyzję o przeprowadzeniu wśród załogi referendum, które miało ocenić przydatność dyrektora. Referendum przeprowadzono w pierwszych dniach września. Już w chwili, gdy je zapowiedziano, ówczesny minister hutnictwa i przemysłu maszynowego, Zbigniew Szalajda, oświadczył, że refrendum jest nielegalne i nieuzasadnione, a więc jego wyników nie będzie się respektować. Po przeprowadzeniu referendum, w którym większość wypowiedziała się za usunięciem dyrektora naczelnego, Szalajda złożył ponowne oświadczenie, w którym stwierdził kategorycznie, że „S. Bednarczyk pozostanie na swoim stanowisku". I tak też się stało. „Władze żadnego na świecie państwa, powiedział minister dziennikarzowi PAP, nie mogą się godzić na próby eliminowania kadry kierowniczej za przestrzeganie prawa".

Wolno założyć, że referendum nad wotum zaufania dla dyrektora było w istocie wnioskiem o wotum zaufania dla miejscowej „Solidarności". No bo zastanówmy się przez chwilę, jakimi faktami dotyczącymi działalności dyrektora mógł dysponować robotnik 20-tysięcznej załogi? Praktycznie rzecz biorąc żadnymi. Co innego gdyby chodziło o mistrza lub kierownika wydziału. Ci dwaj są znani robotnikowi; posiada on swą własną ocenę ich pracy, ale nie dotyczy to dyrektora tak wielkiego przedsiębiorstwa. Tysiące pracowników nie zamieniły z nim ani jednego słowa. Zmuszając załogę do opowiedzenia się po stronie dyrektora lub Związku, faktycznie nadużyto zaufania załogi. Mieliśmy do czynienia z ordynarną manipulacją. „Dyrektorski" incydent w hucie to był także przedsmak tego, co by się działo w zakładach pracy, gdyby „Solidarność" uzyskała prawo wyboru dyrektora.

Zbliżała się pierwsza rocznica podpisania porozumień sierpniowo-wrześniowych. W wielu miejscowościach „Solidarność" obchodziła ją uroczyście i krzykliwie. W Bydgoszczy, 30 sierpnia odbył się z tej okazji mityng w Parku Ludowym. Rulewski zaprosił ludzi ideowo mu bliskich — małżeństwo J. A. Gwiazdów, Alinę Pieńkowską i Andrzeja Borysewicza, członka KSS-KOR. W mityngu uczestniczyło 400 osób; jak na Bydgoszcz było to raczej niewiele. Głównym mówcą był Rulewski. Oświadczył, że „Solidarność" odda wszystkie swoje siły wdrożeniu takich kierunków gospodarowania, które będą odpowiadały narodowi, a „potem my wyznaczymy nową scenę konfliktu i konfrontacji. Apel o pracę w osiem wolnych sobót rzuciliśmy po to, by złapać oddech do kontynuowania dalszej rewolucji". Dotychczas, obwieścił, praca w wolne soboty i niedziele była pracą „na rzecz poparcia reżimu Angoli, Zambii czy też imperialistycznego Wietnamu"(?). Postulował także opracowanie społecznej kontroli nad SB i „innymi siłami ucisku". Mamy jeszcze inne cele, oświadczył, które będą możliwe do realizacji, „gdy stwierdzimy, że Sejm będzie samorządny..." Po wystąpieniu odpowiadał na pytania. Jeden z uczestników wiecu zapytał go o strategię Związku. W odpowiedzi usłyszał, że w połowie września Związek planuje nowe strajki, dni bez prasy oraz inne akcje protestacyjne. Można by oczywiście machnąć ręką na wynurzenia Rulewskiego, ale zauważmy, że był szefem wcale niemałego regionu i choć jego wpływy stopniowo malały, o czym mówiono wówczas wśród członków „Solidarności" w Bydgoszczy, był przecież jednym z czołowych działaczy Związku.

Również 30 sierpnia, na Górze św. Anny odbyła się manifestacja polityczno-religijna, w której uczestniczyło około 5000 osób. Przewodniczący „Solidarności" Ziemi Opolskiej, Stanisław Jałowiecki, w swoim przemówieniu powiedział m. in., że „Solidarność" winna przejąć władzę przez swoich przedstawicieli w samorządzie pracowniczym, a następnie w radach narodowych oraz w Sejmie. Jałowiecki powtarzał to, co już przed nim powiedziało wielu innych działaczy „Solidarności". Więc po cóż przytaczam jego wypowiedź? Przede wszystkim po to, by odnotować, że w tym okresie myśl o stopniowym przejmowaniu władzy mocno już osadziła się w głowach osób tworzących kierowniczy zespół „Solidarności". Słuchając Jałowieckiego, i innych można było odnieść wrażenie, że jest to już obsesja. Od chwili, gdy z rosnącym nasileniem czołowi działacze „Solidarności" — być może, że podpuszczani przez niektórych doradców wywodzących się z korowców — zaczęli mówić o przejmowaniu władzy, praktycznie rzecz biorąc definitywnie przekreślili zobowiązania, jakie wzięli na siebie kładąc swój podpis pod porozumieniem zawartym w Gdańsku 31 sierpnia 1980 roku.

To nie był już niezależny i samorządny związek zawodowy, był to w pełni wykształcony ruch polityczny, który rzucił wyzwanie istniejącemu systemowi społeczno-gospodarczemu. Taka jest prawda historyczna. Jeśli dziś słyszę, że Związek nie miał doświadczenia, że jego przywódcy nie byli wytrawnymi politykami („prosty elektryk"), to tego rodzaju tłumaczenia w niczym nie zmieniają obiektywnej wymowy faktów, które tworzyli.

— Jeśli tak oceniasz „Solidarność" na progu drugiej połowy 1981 roku, to powstanie pytanie, czy nadal w kierownictwie partii i w rządzie przeważała nadzieja, że możliwe będzie — nazwijmy to tak — pokojowe rozwiązanie narastającego konfliktu?

Mimo mnożenia się dowodów świadczących o wzroście wysoce niebezpiecznych dla przyszłości kraju tendencji w kierowniczych zespołach „Solidarności' oraz faktów, z których wynikało, że płaszczyzna porozumienia niebezpiecznie się zwęża, nadal uważaliśmy, iż jeszcze nie jest za późno na postawienie tamy złowrogim tendencjom widocznym w codziennej działalności ruchu. Na co liczyliśmy? Myślę, że przede wszystkim na to, że ciosy zadawane gospodarce oraz publicznie ogłaszane koncepcje przejęcia władzy spowodują otrzeźwienie wśród tych działaczy i doradców, którzy tworzyli umiarkowane skrzydło ruchu. Na progu jesieni można było dostrzec, że w tzw. środku zaczęły pojawiać się wątpliwości co do słuszności linii obranej przez przywódców „Solidarności". Tak więc nasze nadzieje niezupełnie były pisane palcem na wodzie. Jeśli dziś powie mi ktoś, że należy je uznać za przejaw politycznej naiwności, to wdałbym się z nim w dłuższą i z pewnością polemiczną dyskusję. Ale jeśli nawet założymy, że ów nieznany krytyk ma trochę, a może nawet sporo racji, bo przecież nasze rachuby w ostatecznym rozrachunku okazały się płonne, to nikt, kto poważnie analizuje ten okres w życiu Polaków, nie może powiedzieć, iż nie ożywiało nas pragnienie osiągnięcia pokoju społecznego w drodze negocjacji, rozmów, perswazji itp., a nie przez zastosowanie siły.

Licząc na opamiętanie się kierowniczych zespołów „Solidarności", zabiegając o rozładowywanie mnożących się konfliktów poprzez rozmowy i negocjacje konsekwentnie i niemal każdego dnia wysyłaliśmy jednoznaczne ostrzeżenia pod adresem tych, którzy pędzili ku samozagładzie. Należy jedynie wyrazić żal, że mądrzy ludzie w „Solidarności", a zdawało się, że takich nie brakowało, lekceważyli je. Przypominam sobie wystąpienie Jaruzelskiego podczas promocji oficerów w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Obrony Przeciwlotniczej wygłoszone 30 sierpnia 1981 roku. Generał postawił pytanie: „Jak długo można poddawać próbie linię porozumienia, cierpliwość i umiar władzy ludowej, jej dobrą wolę? Jak długo można trwać w gorączce, która trawi nasz społeczny i gospodarczy organizm? Rzeczywistości trzeba spojrzeć w oczy. Starymi i nowymi pretensjami, nie kończącymi się żądaniami, jątrzącym drukiem, plakatem i słowem można nękać władzę, można podgrzewać nastroje, ale nie można ogrzać mieszkań, budować domów, nakarmić ludzi. Ciągła negacja, wszystko »na nie« prowadzi donikąd, wystawia na niebezpieczną próbę narodowy los, przyszłość polskich rodzin". Nawiązując do zbliżającego się Zjazdu „Solidarności", W. Jaruzelski powiedział, że „oczekiwana jest powszechnie odpowiedź: czy konstruktywna współpraca, czy konfrontacja. Odpowiedź ta mieć będzie brzemienne dla przyszłości skutki. Oby pomyślne dla Polski".

W koszalińskim wystąpieniu Premiera nie zabrakło więc ostrzeżenia, nad którym każdy rozgarnięty człowiek powinien był się poważnie zastanowić. Ludowe Wojsko, powiedział Jaruzelski, było zawsze na pierwszej linii, tam gdzie było najtrudniej, tam gdzie wielka potrzeba „nigdy nie zabrakło polskiego żołnierza", i w związku z tym ma on obywatelskie i moralne prawo, by powiedzieć: „dość rozpasania!" Niepodległe, suwerenne państwo, konstynuował Premier, jest wielkim, ciężko okupionym dobrem naszego narodu. By było lepsze, trzeba je naprawić, ale „nie wolno, by wróg je spychał z socjalistycznej drogi, osłabiał i burzył". W następnych dniach i tygodniach w działalności przywódców „Solidarności' oraz ich doradców nie dostrzegłem najmniejszego śladu, który wskazywałby, że koszalińskie wystąpienie szefa rządu, wówczas także ministra obrony narodowej, zostało przez nich poważnie potraktowane.

Zbliżał się termin zjazdu „Solidarności". Poprzedziły go różne na pozór drobne zdarzenia, które świadczyły jednak o dalszym zaostrzeniu sytuacji politycznej w kraju. W ostatnich dniach sierpnia opinia publiczna dowiedziała się o istnieniu sporu pomiędzy KKP i Radiokomitetem w sprawie transmisji zjazdu „Solidarności". KKP w liście do przewodniczącego Radiokomitetu z dnia 7 sierpnia, w związku „z bezprecedensowym znaczeniem i rangą tego wydarzenia", tj. zjazdu, zażądała od niego zapewnienia bezpośredniej transmisji „z całości obrad na antenie radia i telewizji". Z całości obrad! Spełnienie tego postulatu oznaczałoby, że przez kilka dni Polskie Radio i Telewizja od rana do wieczora nadawałyby jeden jedyny program — zjazd „Solidarności". Takie żądanie mogło się narodzić jedynie w głowie człowieka, który z jakichś przyczyn utracił kontakt z rzeczywistością, ale to jeszcze nie wszystko. KKP, czytamy w liście, zastrzegła sobie pełną merytoryczną kontrolę nad relacjami radiowo-telewizyjnymi oraz informowała, że w uzgodnionym terminie przedstawi imienny skład ekip sprawozdawczych, w skład których wejdą pracownicy etatowi Komitetu ds. RiTV, członkowie „Solidarności". A więc wszystko w trybie oznajmującym. Pismo KKP podpisał jej rzecznik prasowy, Onyszkiewicz. Oto jak w praktyce miałby wyglądać osławiony „dostęp do środków masowego przekazu". Co tam władze Radiokomitetu, co tam takie czy inne zasady programowe radia i telewizji, to my będziemy określać porządek rzeczy w tej instytucji. Sądzę, że pismo podpisane przez Onyszkiewicza można uznać za kolejny dowód zarówno nonszalancji, jak i w gruncie rzeczy anarchistycznego myślenia, jakie zagnieździło się w „Solidarności". Kierownictwo Radiokomitetu, oczywiście przy naszym udziale, nie poddało się dyktatowi KKP. Negocjacje prowadzone w tej sprawie nie przyniosły żadnego kompromisowego rozwiązania, i w rezultacie ekipy sprawozdawcze PRiTV nie zostały wpuszczone na salę obrad zjazdu „Solidarności". Informacje przekazywane w polskiej telewizji pochodziły ze źródeł zachodnich. Natomiast nieskrępowany dostęp do sali „Olivii" miała telewizja zachodnia. Można rzecz jasna zadać sobie pytanie, czy Onyszkiewiczowi chodziło tylko o pryncypia, czy jeszcze o coś, co nie zostało dopowiedziane. Otóż może się mylę, ale wydaje mi się, że faktycznie ani on, ani jego szefowie nie byli zainteresowani we wpuszczeniu polskiej telewizji na obrady zjazdu, ponieważ obawiali się, że relacje przekazywane przez polską telewizję będą dla nich kompromitujące.

Zjazd poprzedziło też pewne zdarzenie, do jakiego doszło w dniu 1 września na polach kombinatu PGR „Świebodzin". Tego dnia, grupa rolników indywidualnych wjechała swymi traktorami sa pola kombinatu i rozpoczęła orkę. Zabór ziemi pegeerowskiej został powstrzymany w wyniku kontrakcji podjętej przez pracowników PGR, ale zdarzenie to świadczyło, że również działacze „Solidarności" — Rolnicy Indywidualni wkroczyli na drogę łamania prawa.

— W przeddzień zjazdu „Solidarności" telewizja odtworzyła całą konferencję prasową, którą 3 września w imieniu KKP prowadziło sześciu jej przedstawicieli. Wywołała ona ogromne zainteresowanie w społeczeństwie. Można bez przesady powiedzieć, że tego wieczoru ulice były puste...

Tak, było to rzeczywiście interesujące wydarzenie. Wpierw może o okolicznościach, w jakich doszło do odtworzenia konferencji. Rzecznicy „Solidarności", zwykle walczący jak lwy o prawo do wypowiadania się w TV pełnym głosem, tym razem przygotowali dość nieudolny skrót konferencji. Biorąc pod uwagę, że wypowiedzi przedstawicieli KKP w przeddzień zjazdu „Solidarności" mają wielki ciężar gatunkowy, postanowiliśmy, że należy nadać transmisję z przebiegu całej konferencji. Nie sądzę, aby jej uczestnicy oglądali ją z satysfakcją, ponieważ była to ewidentna wpadka. No, ale mniejsza z tym. Dodatkową przyczyną nadania całej konferencji był fakt, że wiedzieliśmy już, iż ekipy polskiej telewizji nie zostaną wpuszczone do hali „Olivii". Należało więc przedstawić opinii publicznej poglądy czołowych postaci „Solidarności" na cele i zadania Związku. W konferencji uczestniczyli: Celiński, Jurczyk, Wałęsa, Lis, Geremek i Onyszkiewicz, który ją prowadził. Zbyt wiele miejsca zajęłoby przypomnienie wszystkich co ważniejszych uwag i ocen wygłoszonych przez jej uczestników, ale obok niektórych nie można przejść obojętnie. Źródłem mojej wiedzy o konferencji jest zapis jej przebiegu utrwalony na taśmie. Podobnie jak wiele innych dokumentów „Solidarności" spoczywa w moim archiwum, które w roku 1981 codziennie wzbogacało się o nowe i interesujące materiały.

Przede wszystkim zainteresowały mnie wypowiedzi Wałęsy. Aż szesnaście razy zabierał głos i z tego, co powiedział, wyłonił się wizerunek przywódcy „Solidarności" w przeddzień zjazdu. Pierwsze pytanie zadał Piotr Załuski, szef „Solidarności" w Polskim Radiu i Telewizji. Obecnie Załuski działa w „Wolnej Europie" i od czasu do czasu przemawia do rodaków w kraju. Jego audycje przepojone są, co jest zrozumiałe, nienawiścią do partii oraz rządu. Nie ma w nich nic oryginalnego, stale te same słowa. Załuski, nawiązując do plakatu, który przedstawiał „Solidarność" jako jednorocznego bobasa, zapytał: „Czy to jest dziecko tak dobrze odchowane jak na plakacie?" Odpowiedział Wałęsa, który na wstępie stwierdził, że pragnie wyjaśnić, jaki powinien być jego zdaniem „drugi rok tego bobasa". Zbagatelizował spory wokół projektów ustaw, uchwał itp., potępił strajki antydyrektorskie, które w tym czasie miały miejsce w Olsztynie i Rzeszowie, wzywał, by „głupio się nie obrażać, a wszystko dlatego, że jego zdaniem, na porządku dnia znajdują się sprawy daleko poważniejsze. Jako odpowiedzialni Polacy, dowodził, „podobnie jak ten sztab antykryzysowy, ten wielki Związek musi dać ludziom i zaopiekować się tymi biedakami w kolejkach, które za parę dni będą stały na deszczu, za parę dni wyłączą na o prąd i tak dalej... Dziś stoimy jeszcze raz równi i solidarni, i pomyślmy, mając odpowiedzialność za ten kraj, jak wyciągnąć się z tego wszystkiego. Bo naprawdę za dwa miesiące nasze rodziny, nasze żony wygonią nas z domu... Ja mówiłem, że Japonia jest możliwa i to bardzo szybko. Ale nie, że to ja ją zrobię... Japonia jest w naszym ręku, ale Japonię stworzymy sami". Trudno byłoby zarzucić mu brak rozsądku.

Japonia była dla Wałęsy czymś w rodzaju obsesji. Odpowiadając na pytanie Krzysztofa Pola, dziennikarza z TV, ponownie do niej powrócił. „Chcemy, powiedział, wyciągnąć kraj, ale nie opluwaniem się, tylko propozycje — jak, jak może być Japonia. Przecież ja nie żartowałem, nigdy nie żartuję. Naprawdę mamy warunki jeszcze lepsze jak Japonia, tylko nie rozumiemy się, nie mamy, ja nie mam gdzie i kiedy powiedzieć społeczeństwu, o co mi chodzi. Bo mnie nie dopuszczą do telewizji. Dajcie mi 5 minut w telewizji. Nie będę polemizował ani z ustrojem, ani z socjalizmem, ani z partią — nic. Tylko będę mówił, jak dojść do Japonii. Jak dojść, jak mieć więcej chleba". Prawdę mówiąc miał znacznie więcej czasu niż 5 minut. Przecież mógł z powodzeniem wykorzystać tę konferencję jak i wiele innych okazji dla przedstawienia całej Polsce swego planu uzdrowienia kraju. Nikt by mu w tym nie przeszkodził. Dlaczego tego nie uczynił? Podejrzewam, że nie miał nic konkretnego do powiedzenia. Tokował i to wszystko. Pod koniec konferencji jeszcze raz powrócił do Japonii apelując do władz: „Usiądźmy i pomyślmy, jak Polska ma być Japonią, lepszą jak Japonia, mamy lepsze warunki. Ja jestem robotnikiem, ale widzę Japonię i to lepiej jak Japonię". Nie chcę obrażać Wałęsy, ale to, co mówił, było delikatnie się wyrażając bez ładu i składu. A w ogóle to demonstrował wolę porozumienia. Zapewniał, że „nawet podpiszemy klauzulę, że nie będziemy atakować żadnej partii, żadnego rządu, tylko zajmiemy się przyziemnymi sprawami, aby nam się żyło lepiej, jeśli wyjaśnimy nieporozumienia..." Niczego innego nie pragnęliśmy. Trzeba jednak zapytać, co spowodowało, że Wałęsa tak wyraźnie na tej konferencji demonstrował wolę porozumienia. Sądzę, że on sam najtrafniej odpowiedział stwierdzając, że „świat pracy może nas trochę nie rozumie". Wałęsa, jak mi się wydaje, czuł przez skórę, że klimat wokół „Solidarności", a ściślej wokół działań podejmowanych przez jej przywódców, zaczyna się zmieniać. Radził więc poddać dotychczasową taktykę rewizji. „Już dzisiaj mówimy o tym, że ratujemy się, bo zaczyna się dla nas niedobrze — dla naszych ludzi" Trzeba wygrywać, dowodził, ale nie zaciętrzewieniem, lecz... radykalizmem. „Ale mądrym. Obejściem z lewa, z prawa — żeby wygrać. A przegrać można bardzo szybko, my nie lubimy przegrywać, nie chcemy walczyć siłowo, chcemy teoretycznie, nie chcemy — płaciliśmy w historii tyle razy — tym razem nie chcemy zapłacić, dlatego balansujemy. Z jednego miejsca w drugie. To nie są — posądzają nas o tchórzostwo, o ugodowość, o kupienie rządu — to jest blef, to jest dobieranie koncepcji, na czoło — bez butelki z benzyną nie pójdę. Jak będę miał butelkę — zaryzykuję. I ta taktyka tak wygląda. Nie chcemy spaść, a jednocześnie chcemy, żeby społeczeństwo zrozumiało, jak ta walka się toczy" Nader niesklądne myśli? Chyba tak, ale coś tam chodziło mu po głowie, jakieś niespokojne myśli, gniotły go jakieś strachy itp. Oczywiście, że to, co mówił, było niezborne, sprzeczne ze sobą Posłuchajmy, co odpowiedział Markowi Sieczkowskiemu z TV, który m. in. stwierdził: „Panowie cały czas mówicie o ataku, cały czas mówicie o przeciwniku... czy panowie są zdecydowani na to, żeby przejść na język partnerski?... Czy panowie przed zjazdem będąc, zamierzając na zjeździe wypracować naprawdę konstruktywny program partnerstwa? Ja myślę, że czas po temu Przestać używać języka rozkazującego. Jaka będzie taktyka »Solidarności«, o czym panowie zamierzają mówić w wypracowaniu tej taktyki?" Wałęsa odpowiedział, że „ma pan naprawdę rację", ale zapytywał, jak mam szanować partnera, jeśli on „zamiast rzeczywiście, żebyśmy usiedli przy stole, porozmawiali, jak ratować kraj, to on nas opluwa?" i ponownie oznajmił, że chce wystąpić w telewizji. Nie powiem nigdy nic przeciwko partii, przeciwko sojuszom — zapewniał. „Powiem, jak dojść do Japonii. W prosty sposób chłopski. Czego się boją? Mało tego, jestem w stanie sam usiąść przeciwko dwudziestu z rządu. Proszę uprzejmie. Zobaczymy, kto komu uwierzy Nie będę na hasłach się opierał. Nie na sloganach. Tylko konkretnie — człowieku w zakładzie pracy, w którym jest sto ludzi, usiądźcie, jak na przykład remontowy zakład samochodowy, i pomyślcie, jak wyremontować, jak nie ma części, może tokarnię kupić, może coś, żebyście zamiast pięć, dziesięć tysięcy każdy z was zarobił. Po robotniczemu, na bieżąco" Nie była to jedyna recepta. Jak ratować kraj? — zapytywał Na dyrektorów, dowodził, trzeba stawiać takich, którzy mają głowy, a nie mają dwuletnie szkoły, które nic nie dały, nic nie nauczyły. Zabagniły kraj cały. Chcemy organizatorów (oklaski)" Ja chcę, oznajmił, wszystkich dyrektorów mieć porządnych W kraju nie ma lekarstw, to „przecież pojadę do Stanów, uproszę na kolanach, będę żebrakiem dla tego kraju". I na koniec jeszcze raz o sobie: „Oczywiście, jestem tylko robotnikiem, ...mimo że mam siedem doktoratów, to jednak mam te jakieś ciągotki, takie, które wyglądałyby na dyktatorstwo. Oczywiście, bo jestem radykałem" Słuchałem jego pokretnych wynurzeń i nie po raz pierwszy zastanawiałem się nad jego osobowością.

C.D.N.

Alpinista

JOLANTA WROŃSKA

Kilkanaście centymetrów średnicy można przykryć otwartą dłonią. Smużka krwi obrysowuje okrąg w ślad za sunącym po nagiej skórze skalpelem. Cztery dłonie w gumowych rękawiczkach przytrzymują kleszczami odchylony okrągły płat skóry.

Przenikliwy wizg elektrycznego trepanu tnącego odsłoniętą kość wytłacza spod serca falę mdłości podchodzących do gardła. Trzeźwy spokojny głos: — *jak masz zemdleć, to zjeżdżaj.* Żadnego wyrzutu, żadnej złości. Komunikat.

Pokrywka odciętej kości otwiera puszkę Pandory. Napęczniałe, osłonięte jeszcze białą oponą mózgową wnętrze, uwolnione z ciasnego zamknięcia, nabrzmiewa. Jakby objętość czaszki była zbyt mała dla zawartości.

— *Dotknij. No, nie bój się, dotknij, jakie twarde, napęczniałe. Jest wielki guz. Mózg ma ciasno. Dlatego nie widać normalnych fałd. Kiedy już mózg nie miał zupełnie miejsca, alarmował zanikami świadomości, zaburzeniami pamięci, mowy, niedowładem kończyn.*

Delikatnymi ruchami skalpel nacina oponę wzdłuż krawędzi wyciętego otworu. Uwolniona, szaroróżowa masa natychmiast wybrzusza się, wylewa. Kipiący mózg.

Ucieka myśl, że pod zawojami zielonych płacht leży człowiek. Że przed oczami jest to, co czyni nas ludźmi. Centrum. Myśli. Marzenia. Plany na przyszłość. I pamięć.

Zostaje tylko abstrakcyjna, chłodna ciekawość. Jak przy rozwiązywaniu matematycznego zadania.

— *Córka państwa jest w stanie krytycznym. To wasza wina. Zabraliście ją od nas, bo Harris miał sprawić cud. Pięć miesięcy temu ryzyko było mniejsze. Szansa jest zawsze, ale proszę się liczyć ze śmiercią chorej.*

— Po co ta brutalność? Nie musiałeś pastwić się nad rodzicami tej dziewczyny. Jaki sens ma wypominanie, że gdyby wcześniej...

— *Pięć miesięcy temu guz dawał szansę. Rodzina została najdokładniej poinformowana o stanie chorej. Nie zgodzili się na operację, bo „nóż ją zabije, a może jeszcze Harris pomoże". Wiedzieli, że czas pracuje przeciw ich córce. Teraz przywieźli ją w stanie krytycznym i z kopertą. Bo wiadomo, że jak się da, to będzie lepiej. Krew mnie zalała. Nie umiem operować lepiej za łapówkę. Wyrzuciłem ich na zbity pysk. Na korytarzu usłyszałem: „co za skrurwysyn. Dwadzieścia tysięcy mu mało. Nie chciał wziąć, rzeźnik". No przecież zabić takich. Tak, odegrałem się. Może niepięknie. Idź, zapytaj tych tragicznych durniów czy czują się winni?*

Szpatułki delikatnie rozchylają zwoje mózgu. Cierpliwe ruchy powoli drążą coraz głębiej. Posuwają się tam, gdzie na tomograficznej kliszy widać nieregularny kontur tkanki nowotworu. Wiadomo gdzie jest umiejscowiony. Ale nikt nie wie, co znajdzie. Każdy guz jest inny. Może być złośliwy, ale otorbiony, jeszcze bez przerzutów. Tego zresztą też nikt nie może wiedzieć na pewno w momencie otwarcia czaszki. Można zdążyć, uratować. A można się narobić przy operacji, wydłubać świństwo do czysta, a po paru miesiącach chory ginie, zamordowany przerzutem nowotworu w całkiem innym miejscu. Może też się okazać, że guz mózgu sam jest przerzutem z innego ogniska. Czasem bywa tak, że guz jest łagodny, gdyby go usunąć, ratuje się życie. Co z tego, kiedy nie można do niego dotrzeć, w takim fatalnym ułągł się miejscu. Wtedy nie ma ratunku. Jesteś bezsilny. Wiesz, że człowiek ginie i nie możesz pomóc. To jest najgorsze.

Czemu akurat to? Ba ja wiem? „ruchliwy w ręcach jezdem" — jak mawiał nasz portier z kliniki. Może byłbym mechanikiem samochodowym albo samolotowym, albo stolarzem? Kocham dłubać, majsterkować. Całe lata montowałem modele statków i samolotów. Lubię się zmierzyć. Z ryzykiem, z tym, co jest większe ode mnie. Już dawno umarłbym, gdybym musiał na przykład siedzieć za biurkiem. To jest dobre dla umysłowych impotentów. Dla mnie życie to przygoda, ryzyko. A w nerwowej chirurgii mam wszystko. Tak tu mówią salowe, czasem rodziny chorych — *„nerwowa chirurgia"*. Coś w tym jest. Kiedy zdecydowałem się na medycynę od razu wiedziałem, że to będzie stół operacyjny. Za żadne pieniądze nie zostałbym lekarzem „zachowawczym". Internista w przychodni. O nie. Dla mnie być lekarzem oznaczało być chirurgiem. Potem wykluła się z tego neurochirurgia. Kiedyś myślałem o chirurgii dziecięcej. Masz tu wszystko. Ryzyko i precyzję, i delikatność, i *„zdążanie przed Panem Bogiem"*. Ale nie. Bardzo jestem za dziećmi. Miękki jestem w tym miejscu. Nie wytrzymałbym napięcia i lęku o dziecko. Teraz też przecież operuję dzieci, przeżywam to stokroć bardziej. Przy dzieciach spalam się do białości.

Im dłużej pracuję, tym częściej staję pokorny wobec ludzkiej niewiedzy. Za każdymi otwartymi kolejno drzwiami pojawiają się następne tajemnice. Tak na co dzień — żyjesz z myślą, że wiesz, rozumiesz, potrafisz zrobić co należy. Aż przyjdzie taka chwila, kiedy się robisz malutki, głupi i zadajesz pytanie: dlaczego? Bo nie rozumiesz, nie możesz ogarnąć. Albo nie potrafisz złamać tkwiącej w tobie samym bariery. Może dlatego nigdy nie chciałem być ginekologiem? Wygłoszę ci tu herezję i narażę się okropnie, ale dla mnie mężczyźni garnący się do ginekologii i położnictwa są w jakimś sensie zwichrowani. Mężczyzna nigdy nie zdoła wejść w psychikę kobiety tak dalece, by móc współodczuwać. Dlatego dla mnie zawsze ginekolog mężczyzna, to jest taki ignorant ślizgający się po powierzchni. Co on może wiedzieć o macierzyństwie, bólu, emocjach kobiety? On może być najwspanialszym fachowcem, najszlachetniejszym człowiekiem, ale tylko „na zewnątrz" istoty sprawy.

Wywiad lekarski to jest najważniejsza rzecz w terapii. Nie tylko dowiedzieć się o objawach odczuwanych przez chorego. Lekarz musi, czasem brutalnie, drążyć duszę. To jest cholernie ważne. Chory, który wie, że lekarz z nim współczuje, współmyśli, współprzeżywa, taki chory ufa i mobilizuje się do walki o swój los. Cała jego istota skupia się na walce. To jest potężny czynnik. Czasem nie ma ratunku. Wiesz, że nic nie zdoła człowieka uratować. Ale zawsze jeszcze możesz mu pomóc przygotować się godnie na śmierć. Okrężnie mi to wyszło z tą ginekologią. Ale to jest taka branża, że bez głębokiego współmyślenia z kobietą nie potrafiłbym tego robić.

Może to jakiś czar tajemnicy życia? Bo ja wiem? Dla mnie narodziny człowieka i cała tego fizjologia to wciąż jakaś wielka, zmuszająca do pokory zagadka, misterium, w którym mężczyzna pozostaje bezradnym.

— *Jest. Koagulator proszę.*

Elektryczna penseta zamyka, jakby „spieka" mikroskopijne naczyńka krwionośne. Odcina dopływ krwi. Tworzy inny obieg. Obrysowuje zgniłoszarą, kleistą strukturę. To guz. Jest ogromny. Jak nieduże jabłko. Pierwsze cięcie, pierwsze wyjęte kawałątko natychmiast wędruje do słoika. *„Urgens"* — pilne badanie do laboratorium. Analiza histopatologiczna ma dać najważniejszą odpowiedź. Złośliwy czy nie?

Nie wolno się spieszyć. Teraz już nie. Spokojnie, kawałek po kawałku, ssak wysysa śmiercionośną tkankę. Ulga. Chyba tak można nazwać reakcję szarej masy wypełniającej otwartą czaszkę. Zmniejszająca się objętość guza z każdą minutą wzmaga regularny, tętniący ruch. Znika początkowe obrzmienie. Tkanka już nie wylewa się poza objętość czaszki, powoli wchłania się do wewnątrz. Gładka, napięta przedtem powierzchnia zaczyna się kurczyć, fałdować. Zaczyna przypominać podręcznikowy obraz ludzkiego mózgu.

Połowa trzeciej godziny operacji. Jest już wynik z laboratorium. Guz jest łagodny.

Nie ma ulgi na twarzach zespołu. To jeszcze nie jest koniec. Jest szansa jedna na tysiąc. Może na milion. Trzeba zrobić wszystko i jeszcze więcej. Napięcie się wzmaga.

Guz jest stary. Długo się rozwijał w zdrowej tkance. Rósł powoli, zagarniając coraz więcej miejsca. Mózg przyzwyczajał się. Dostosowywał się do intruza. Ukradzione przez nowotwór miejsce rekompensował zmianą obiegu krwi, układu naczyń krwionośnych. Cały mechanizm latami starał się utrzymać równowagę, mimo wszystko spełniać swe podstawowe, życiowe funkcje. Człowiek mógł żyć, nie odczuwał żadnych dolegliwości, ale wiedział. Do czasu. Powiększający się guz kradł przestrzeń. Zwiększał się ucisk ważnych ośrodków regulujących pracą całego organizmu. Rozpychająca się śmierć kradła miejsce w skończonej, zamkniętej puszce. Ucisk mógł powodować zmiany organiczne. Zmieniona „topografia" zdrowych tkanek niedostrzegalnie mogła zacząć wyrodnieć.

Wreszcie mózg się poddał. To właśnie wtedy trzydziestotrzyletnia kobieta nagle straciła przytomność. Zaczęły się nasilać cierpienia. Potworniejące bóle głowy, zaburzenia równowagi, mowy, chwilowe porażenia. W końcu organizm uderzył na alarm. Chora trafiła do kliniki. Badanie na tomografie komputerowym ujawniło istnienie guza. Operacja była konieczna natychmiast. Ale najpierw należało doprowadzić chorą do stanu maksymalnie zmniejszającego ryzyko zabiegu.

Właśnie wtedy rodzina nie zgodziła się na operację. Bali się. Bali się swojego strachu.

Parę miesięcy później kobieta trafiła w ciężkim stanie do tego samego szpitala. Wprost z karetki niemal trafia na stół.

Pawłowi nie trzęsą się ręce po wyjściu z sali operacyjnej. No przecież nie mogą się trząść. A gdyby trzeba było od razu myć się do następnej operacji? Często tak jest. To przychodzi dopiero później. Kiedy się już wie, że jest trochę luzu. Wtedy bardzo pomaga samotność. Nie można, jak gdyby nigdy nic, zacząć rozmawiać o pogodzie. To może być tylko tyle czasu, ile trzeba, żeby wypalić papierosa. Ale wtedy obecność ludzi boli. Wtedy trzeba odejść. Gdzieś daleko. Na przykład do skomplikowanego zagadnienia jakim jest kupienie potrzebnego kabla, rur, armatury, belek stropowych oraz innych szczegółów. Bo właśnie Paweł buduje dom. Nie, nie tak. On go tworzy na nowo ze starej, zmurszałej rudery z gnijącą instalacją. To jest cholerna ambicja, żeby samemu.

Domy w tym kraju stawiają bogaci i wariaci. Ci pierwsi mają pieniądze i to jest w zasadzie wszystko. Fachowcy przyjdą i zrobią. Materiały się zorganizuje, załatwi, przekupi, da w łapę. Wariaci próbują legalnie. I to jest ich własne ryzyko. Z państwowej posady, pożyczek od znajomych, kredytu z banku za uzbierane dwa miliony próbuje się zrobić coś, co kosztuje pięć. Więc to jest zajęcie dla alpinistów. Dla Pawła alpiniści to tacy, co chcą przeskoczyć Himalaje niemocy.

— *Mógłbym sobie polepszyć, prosto i bez wysiłku* — Paweł zamyśla się. — *Pięknie zmieściłbym się w „normie polskiej". Wystarczy brać. Gotówkę, koniaki i co ci tam jeszcze pchają do rąk. Mógłbym. Bo tak robi wielu i tak o nas, lekarzach, myśli wielu. Nie umiem. Zwyczajnie. I mam wielką satysfakcję, kiedy przychodzą różni i tkają mi te swoje koperty, a ja im mówię, żeby mnie pocałowali w dupę. Te ich miny! Przecież dużo dają. Skoro nie chcę brać, znaczy choremu postawiłem krzyżyk. Nie będę się wysilał. Tak myślą. Bo wiadomo, darmowe się należy każdemu i tego się nie szanuje. Jak się posmaruje, to się szanuje i oczywiście lekarstwa będą lepsze i operacja się na pewno uda. Tak myślą. A ja nigdy i nikomu nie mogę dać żadnej gwarancji przed. To byłoby nikczemne.*

Tu jest tak. Albo człowiek potrafi wziąć łapówkę, albo nie. I koniec. Wiesz jaką dostałem w życiu największą łapówkę? Przyszła matka z ośmioletnią dziewczynką. Mała biegała, śmiała się, latała po całym oddziale. A rok wcześniej miała nigdy nie wstać o własnych siłach z łóżka.

Laurkowo jakoś brzmi? Zalatuje? A wiesz gdzie ja to mam?

Złudzeń nie mam. Robię to co lubię i na czym się znam. Mój zysk. Ale szlag mnie trafia, jak słyszę tych wszystkich mądrali żądających „lekarskiego powołania". To jest fach. Ciężki, wymagający. I dopóki nie będzie płacony jak trzeba, dopóki nie będzie płatnej służby zdrowia, dalej będzie trwał ten największy w dziejach świata idiotyzm. Wszędzie, gdzie pracowałem na świecie — służba zdrowia nie tylko zarabia na siebie, ale jest jeszcze fantastycznym biznesem. Bo u nas z góry zakłada się, że do medycyny się dopłaca. Myślenie postawione na głowie. Głośno krzyczymy o tych tam zdobyczach socjalnych społeczeństwa. Że bezpłatnie i po równo. Ale jak przyjdzie co do czego, to się leci do spółdzielni i płaci profesorowi tysiąc złotych za wizytę. Albo prywatnie. Bo jak się posmaruje... dajmy spokój, ile razy można strzępić język.

Jest takie zdrowe powiedzenie. Że jak ludzie nie wiedzą gdzie szukać pomocy, to idą do profesora. Bo tytuł, jak powszechnie wiadomo chroni przed głupotą. Jakby tak zakład pracy czy ZUS pobierał ubezpieczenie na wypadek choroby i płacił rachunki za leczenie pacjenta z jego konta pracowniczego, to i zdrowiej by było, i czyściej, i sprzętu więcej. I może wreszcie trafiłby szlag tę koszmarną administrację służby zdrowia. Żebym ja tak doczekał czasów kiedy diabli wezmą ostatniego urzędnika, który decyduje o tym, że kupić należy najgorsze instrumenty chirurgiczne, jakie tylko można znaleźć na świecie. Bo tańsze. A oszczędzać oczywiście musimy przede wszystkim na jakości. Po roku szmelc nadaje się do wyrzucenia i od nowa wywalamy forsę na zakupy. A można kupić raz, najdroższe na świecie, najlepsze i mieć je przez dziesięć i więcej lat. Tak jest ze wszystkim. Przychodnia bogatej fabryki ma ultrasonograf i ani jednego takiego, co umiałby się nim posługiwać. A szpitale nie mają.

I powiem ci, że gdyby to ode mnie zależało, dyrektor szpitala byłby ekonomistą, a nie lekarzem, zarabiałby sto tysięcy i chuchałby na taką posadę i dwoił się i troił. A resztę pań i panów dyrygujących służbą zdrowia posłałbym na salowych do szpitali.

Padają kolejne polecenia: — *Klipsy proszę. Disektor* (którym rozdziela się poszczególne fałdy tkanki). Palce w gumowych rękawiczkach manipulują raspatorem odwarstwiającym delikatne jak życie płaty.

Obawa. Czy długie lata dostosowywania się mózgu do rosnącego guza nie spowodowały nieodwracalnych zmian? Czy nawet po usunięciu potwora mózg będzie zdolny do normalnego życia? Czy „awaryjna", wymuszona konstrukcja układu krwionośnego i tkanek, kształtowana latami, zdoła się teraz przestawić?

Usunięty guz zrobi na powrót miejsce. Nadmiar miejsca, od którego ściśnięty mózg się odzwyczaił. Czy rozprężenie nie spowoduje efektu nadmiernie dokręconej sprężyny, która nagle uwolniona może pęknąć?

Więc każdy ruch operującego jest nieznośnie powolny. Dłubanie we wnętrzu ludzkiej czaszki przypomina finezyjną robotę sapera. Tylko czy trzy godziny mogą zrównoważyć lata?

Tu nie ma reguł. Jest wiedza dziesiątków operacji, setek przypadków, a każdy inny, bezustannego dowiadywania się, jak mało jeszcze się wie. Zawsze, za każdym razem kiedy trepan otwiera czaszkę staje się wobec niewiadomej.

Co my naprawdę wiemy o ludzkim mózgu? Czy znamy dziewięćdziesiąt procent jego funkcji i wciąż jeszcze szukamy tych dziesięciu procent? Może najważniejszych, najbardziej istotnych dla życia? A może znamy tylko dziesięć procent, a cała reszta to wielka zagadka, w której poruszamy się po omacku, metodą prób i błędów, bo innej nie ma?

Powolne „układanie się" mózgu w powiększonej przestrzeni, nagle, bez żadnego sygnału przerywa ciąg błyskawicznych ruchów kilku par rąk. Bez żadnego sygnału, bez słowa. Każdy wie, co powinien zrobić. Cisza sali operacyjnej napina się do zenitu. Nikt nie okazuje zdenerwowania. Wszystko odmierzone, wyliczone, oczywiste.

Najpierw zza maski kryjącej twarz Pawła wydobywa się zduszone sapnięcie, a za chwilę pochyloną nad otwartą raną głowa powoli unosi się w górę. Dopiero teraz widać, jak w mocno pulsującej szarej masie pojawiają się gwałtownie rosnące czerwone smugi. Pękają mikroskopijne naczyńka, krew wypełnia szybko wszystkie szczeliny, rozlewa się jak pożar. Nie można jej powstrzymać.

Milczący ludzie w sali żegnają człowieka. Próbowali.

— *Proszę zaszyć.* — Paweł już nie jest potrzebny. Nie patrzy na nikogo wychodząc z sali. Za chwilę słychać wściekłe uderzenie pięści o stalową okładzinę umywalni.

— *Po jaką cholerę? No ja się pytam, po jaką ciężką cholerę?*

Paweł zrywa maskę i patrzy w lustro nie widząc własnej twarzy. Znad sąsiedniej umywalni kolega podnosi głowę z uśmiechem w kąciku ust. Przecież dobrze wiesz, że Hillary łaził po górach dlatego, że są.

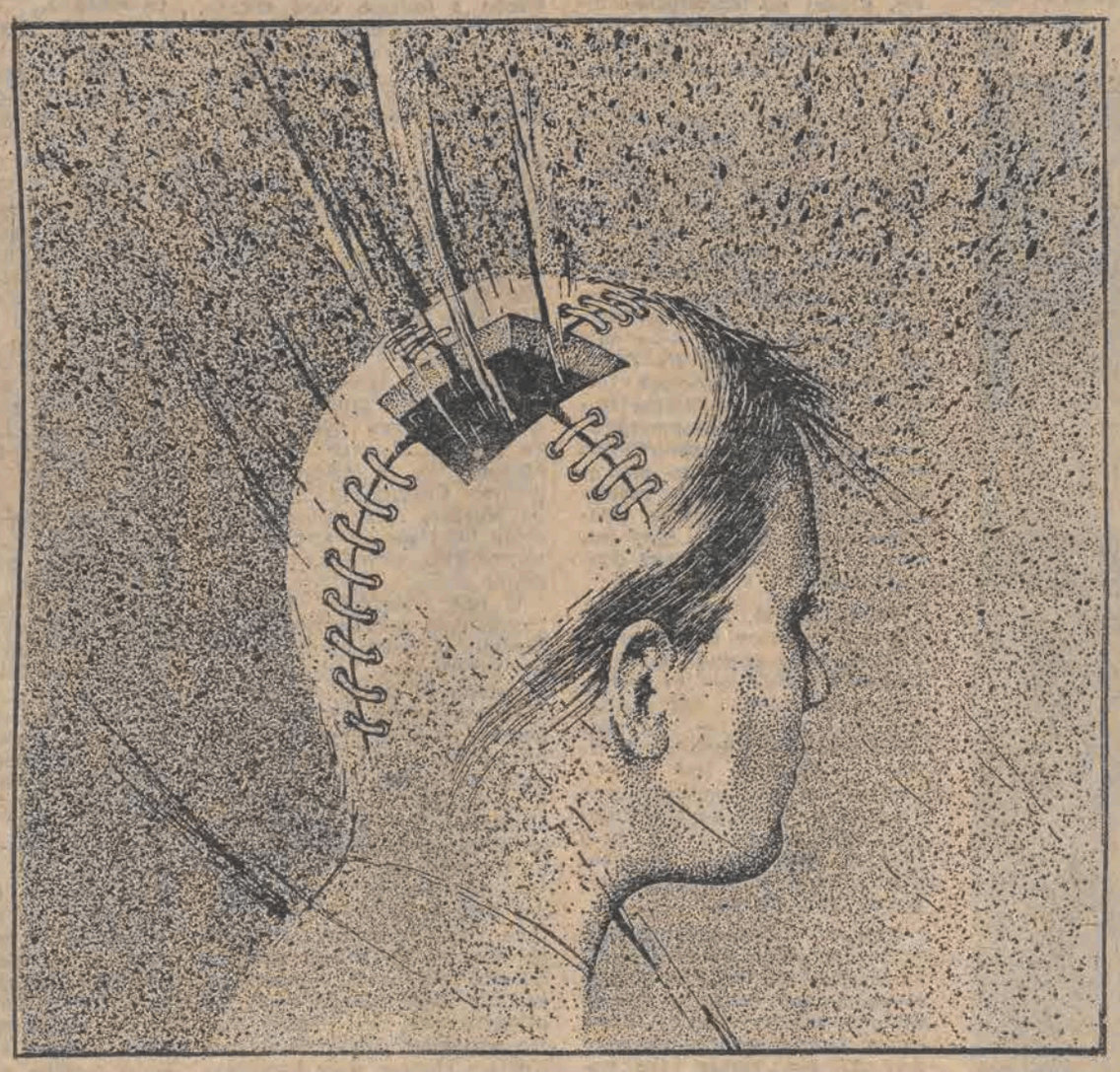

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Narodziny Czystych Serc

ze str. 1

stolicy. Ilu nas jest: setki, tysiące? Dużo i mało. Za miesiąc, za rok utworzymy żywy łańcuch od morza do Tatr. A dlaczego nie — a dlaczego robi się poezję...

Warszawa, Hala Gwardii. Na koncert propagujący Ruch Czystych Serc przyszli prawie wszyscy: ci, którzy wierzą, ci, którzy wątpią, ci, którzy wypinają się na wszystko i wszystkich, ci, którzy z tępą miną rozpieprzą każdą taką imprezę — dla draki. Tylko ćpuny nie przyszły. Po raz pierwszy. Pierwszy raz nie ma pod ścianami skulonych drżących ciał, nie ma pompek, szpilek, kompotu, zamglonych oczu, bełkocących ust... Jest spotkanie Czystych Serc i innych serc, które trwają na uboczu. Czekają.

Grają Daab, Dżem, Jaguar, Stańko i Nalepa Ale publika nie przyszła tu dla muzyki. To znaczy nie wszyscy i nie tylko. Tutaj coś się dzieje, coś syczy, bucha parą, para idzie na tłoki i machina rusza do przodu. Machina z tysięcy małych trybików, które z tej samej są ulepione gliny, lecz w różnych wypalone piecach. Punki i popersi, odbiglowani gimnazjaliści i zapuszczeni hippisi, misjonarze i harcerze w mundurach... Ruch Czystych Serc.

Na estradę wychodzi Kotański i unosi rękę. Marek Kotański, facet z krwi i kości, choć już legenda. To on pierwszy głośno powiedział *„Chcę!"*, a za nim poszły tysiące. Jest duszą Monaru, ojcem i przewodnikiem, dla jednych półbogiem, dla drugich „wariatem". Kochają go i nienawidzą. Na murach piszą: *„Kotan serce"* albo *„Kotan bandyta"*. Nikomu nie jest obojętny.

Więc Kotański wychodzi na scenę, a oni wstają. Skandują: *„Marek! Marek!"*, Ci, którzy nie krzyczą stoją w tłumie jak suche drzewa w zdrowym lesie. *„Marek! Marek!"*

Tu nie ma drętwej gadki, okolicznościowych laurek, trucia drewnianym językiem i wstawiania kitu o palącej potrzebie, przywiązywaniu dużej wagi do nabrzmiałego problemu i czegoś tam jeszcze. Nie trzeba słów. Wszyscy wiedzą.

Dżem śpiewa o jednym takim, co zaćpał się na śmierć. A na sali płonie dziesięć, pięćdziesiąt, sto... małych, maleńkich ogników. Bo każdy znał kiedyś takiego jednego, co zaćpał się na śmierć. Pamiętają.

— *Kochani* — powiada Marek — *jesteście wspaniali. Wszyscy. Dzięki wam wielu ludzi po raz pierwszy w życiu jest na rockowym koncercie bez narkotyków, nareszcie nie są zamulent. Dziękuję.*

— *Dziękujemy.*

„strzeż się jednak dumy niepotrzebnej
oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz
powtarza: zostałem powołany — czyż nie było lepszych
strzeż się oschłości serca kochaj źródło zaranne
ptaka o nieznanym imieniu dąb zimowy
światło na górze splendor nieba
one nie potrzebują twego ciepłego oddechu
są po to aby mówić: nikt cię nie pocieszy
czuwaj — kiedy światło na górach daje znak — wstań i idź
dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę
powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku".

Monarowskie maratony nadziei. Makowe biegi, biegi nie po laury, lecz po sukces — którym jest przetrwanie. Maratony zaćpanymi ulicami zaćpanych miast. W całym kraju. Biegną młodzi, żeby ratować młodych, tych co już i tych co dopada makowa narkoza. Obok wielkiej Łodzi kwitną kompotowe zagłębia, doliny śmierci: Aleksandrów Pabianice, Zgierz tych ni domach warzy się potworną truciznę dla tysięcy. Poranne pociągi i autobusy wypluwają tabuny ćpunów na głodzie. Wszyscy znają te obrazki — i co? I nic. A może by tak... Biegnijmy, powtarzajmy wielkie słowa, powtarzajmy je z uporem.

Sunie maraton nadziei, garstka młodych. Na czele jedzie milicjant w białym kasku, za nim samochód od proboszcza. *„Ludzie, przyłączcie się, zróbcie coś!"* — wzywają młodzi. A ludzie idą do roboty na drugą zmianę, stoją w ogonku do mięsnego. Wzruszają ramionami. *„Przecież to wasze dzieci..."*.

A oni biegną mimo wszystko, donikąd Przyjechali tu z Lublina i z Wrocławia, żeby być razem. Czyste Serca. Pojadą jeszcze dalej, pobiegną, póki jest jakaś niemrawa nadzieja

Póki starczy sił.

„a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku
idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek
do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda
obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów
Bądź wierny idź".

ROMAN KUBIAK

W tekście wykorzystano fragmenty utworów L. Cohena, E. Stachury i Z. Herberta.

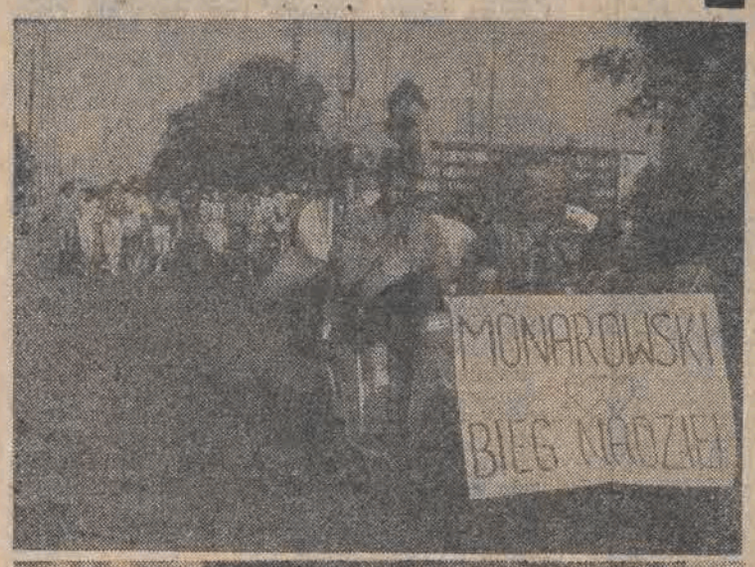

Foto: Zbigniew Czekalski

TERESA JERZYKOWSKA

Liczy się praca

Prezentować nasz zakład w gazecie, to może nie najlepszy pomysł — stwierdził przez telefon Marian Andrzejczak, I sekretarz KZ PZPR w Zakładach Przemysłu Pończoszniczego „Feniks". — *Przecież nam ciągle grozi postój części maszyn. Ale proszę bardzo, przyjść, obejrzeć, porozmawiać z ludźmi można w każdej chwili...*

Tym sposobem trafiłam do „Feniksa" — największego w kraju producenta damskich rajstop i pończoch, wytwarzającego także męskie skarpetki i wyroby pończosznicze dla dzieci. Łączna wielkość produkcji sięga 7,5 miliona par miesięcznie.

„Feniks" jest zakładem dość nietypowym — nie występują tu dwa charakterystyczne dla zdecydowanej większości zakładów przemysłu lekkiego czynniki: brak rąk do pracy i stosunkowo niskie, w porównaniu z innymi resortami, zarobki. Na każde zwolnione miejsce bez trudu znajduje się następnego pracownika (a bywa i tak, że kilku chętnych czeka w kolejce, aż jakiś etat się zwolni) a pojawiające się na liście płac pozycje trzydzieści, czterdzieści a nawet i pięćdziesiąt tysięcy nie dziwią już obecnie nikogo w zakładzie. Aby tyle zarobić trzeba spełnić jeden tylko warunek: pracować rzetelnie przez całą zmianę. Bez dłuższych przerw na papierosa czy pogawędki, bez spędzenia godziny w kolejce po wędlinę, bo akurat przywieźli do zakładowego bufetu.

Mówią pakowaczki ręczne, pakujące rajstopy w jednostkowych opakowaniach w duże, kartonowe pudła: — *Przy naszej pracy nie zarabia się aż tak wiele. Miesięcznie około 20 tys. zł. razem z premią motywacyjną. A przecież jest to praca bardzo ciężka fizycznie. W ciągu zmiany musimy zapakować 80 tys. sztuk, przenieść z miejsca na miejsce setki kilogramów, ręce cały czas zmoczone wodą i klejem. A do tego — pudła nie zawsze są dobre, nieraz rozłażą się, dzisiaj np. dostałyśmy inne, nietypowe, większe i cięższe opakowania. No to chyba nie jest za dużo za taką pracę?*

— *Pieniędzy nigdy nie za wiele, zwłaszcza że ceny wciąż rosną* — mówią kobiety obsługujące maszynę pakującą. — *Pracuje się dobrze, gdy maszyna chodzi bez awarii, gdy opakowania są dobrej jakości i wszystko na czas dostarczone do stanowiska pracy. Ale nie zawsze tak jest. Bywa, że trudno wykonać normę — a jest ona bardzo wysoka. Na dodatek nie można chorować — już za trzy dni zwolnienia traci się premię. My uważamy, że płaca powinna być uzależniona od samego akordu, te pieniądze, co idą na premię powinny być przeznaczone na podniesienie stawek, tak, żeby ludzie za sam akord mogli dobrze zarobić...*

Wśród kobiet, ręcznie pakujących rajstopy do foliowych torebek kilka pracuje stale na innym wydziale. — *Przyszłyśmy tu na kilka dni z dziewiarni — mówią. — U nas akurat zabrakło surowca i nie dla wszystkich jest zajęcie. Dawniej w takich przypadkach po prostu płacili nam postojowe, teraz nie bywa tak, żeby ktoś na pracę czekał. Przechodzi do innego zajęcia, tam gdzie akurat jest potrzeba...*

Kobiety stale zatrudnione przy pakowaniu mówią: *Najważniejsze dla nas to dobrze przygotowany towar — równo ułożony, nie pomieszany. Przez osiem godzin musimy zapakować 3,5 tys. rajtuz albo ponad 4 tys. pończoch. To już jest taka norma, że nie ma czasu na nic, jak tylko na pracę. A normę trzeba nie tylko wykonać, ale i przekroczyć bo od tego zależy premia. Niewykonanie — to parę tysięcy mniej w kieszeni...*

Pakowanie — to już ostatni etap produkcji. Z tego wydziału rajstopy i pończochy niemal natychmiast rozwożone są do przedsiębiorstw handlowych. Zanim jednak trafią do pudełek czy torebek przechodzą przez wiele rąk.

O to, abyśmy kupowały wyroby dobre, bez oczek czy pozaciąganych nitek troszczą się m.in. klasyfikatorki, przeglądające każdą wyprodukowaną parę.

Zofia Sawczuk trafiła do „Feniksa" mając lat 16 i spędziła w zakładzie już 23 lata, a pracująca wraz z nią Wiesława Krauze obchodzi ćwierćwiecze pracy w pasowalni — bo tak oficjalnie nazywa się ten wydział.

— *Pracujemy już tyle lat i przeżyłyśmy tu tyle zmian, że teraz wszystko wydaje nam się w zakładzie bardzo dobre, takie, że już lepiej nie można* — żartują. — *Ale tak poważnie — to nasz wydział jest stosunkowo najmniej męczący, jeśli chodzi o warunki. Nie ma tu pyłów, hałasu i praca zawsze na pierwszą zmianę. Zaczynałyśmy w starym jeszcze zakładzie, w małej sali. Znały się wszystkie, było może bardziej rodzinnie. Ale i tu, na dużej hali, atmosfera jest dobra. Dużo w tym zasługi brygadzistek, mistrzów, kierownika. Nasi przełożeni traktują pracowników sprawiedliwie, nie dzielą na lepszych i gorszych. Ten tylko gorszy, kto nie chce uczciwie pracować — ale takich to już właściwie u nas nie ma.*

— *Jak ta sprawiedliwość wygląda — przekonałam się niedawno osobiście* — mówi Wiesława Krauze. — *Na tym samym wydziale pracowała moja córka. Przerwała pracę, aby odchować dzieci — a teraz chciała wrócić. Dobrze pracowała, chwalili ją, ale do pracy na pasowalnię z powrotem nie przyjęli. Kilkanaście innych czeka, w takiej samej sytuacji — powiedzieli mi. Nie możemy dla twojej córki robić wyjątku. Ja to rozumiem — tak trzeba z ludźmi, choć szkoda, że już nie pracujemy razem.*

— *W ostatnim czasie ogromnie wzrosły normy* — mówi Zofia Sawczuk. — *Gdy zaczynałam pracę w „Feniksie" norma była 800 par na dzień — teraz przekracza 2 tys. Są asortymenty łatwiejsze i trudniejsze, płatne lepiej i gorzej. Gdyby brygadzistki nie traktowały nas sprawiedliwie — jedna narobiłaby się strasznie i zarobiła mało, a druga odwrotnie. Ale nigdy tak nie jest. Wszystkie dostajemy po równo lepsze i gorsze asortymenty i wszystkie tu zarabiamy dobrze, zwłaszcza od czasu, gdy wprowadzono premie motywacyjne. To prawie 50 proc. wynagrodzenia i ma to znaczenie ogromne. Chociaż nie jest chyba słuszne, że chorobowe i urlop liczą się od samego wynagrodzenia akordowego, bez premii...*

W hali obróbki zobaczyć można dość zaskakujący w zakładzie produkcyjnym widok: w przytulnym, odgrodzonym kwiatami od reszty sali kąciku pracuje... manicurzystka. Robotnice po kolei przerywają na kilkanaście minut pracę i siadają na krótki wypoczynek przy stoliku zastawionym miseczkami, lakierami i innymi, niezbędnymi przy takim zabiegu akcesoriami.

— *Nie jest to żaden luksus ani dziwactwo* — mówi Krystyna Gierlich, mistrz wydziału obróbki. — *Po prostu wszyscy dążymy do coraz lepszej jakości. Ręce muszą być wypielęgnowane, bo inaczej łatwo uszkodzić delikatny wyrób. Kobiety chętnie więc korzystają z usług manicurzystki, oczywiście nie płacą za to.*

Krystyna Gierlich pracuje w zakładzie już 16 lat. — *Przez ten czas* — mówi — *kilkakrotnie zmieniała się organizacja pracy i na wydziale i w zakładzie. Obecnie każdy mistrz odpowiada nie za określoną grupę ludzi, lecz za przydzielony mu zakres zadań. Do mnie np. należy zabezpieczenie stanowisk pracy, utrzymanie rytmiki produkcji, podział zadań i inne sprawy organizacyjne.*

W ostatnim czasie zauważam jedno: wszyscy zatrudnieni w zakładzie dążą do tego, aby pracować coraz wydajniej i coraz lepiej. Że tak trzeba teoretycznie wiedzą wszyscy, w każdym zakładzie. Ale u nas ludzie to po prostu odczuwają. System płac jest ściśle powiązany z ilością i z jakością, tak, że właściwie nic już tłumaczyć i słowami zachęcać do dobrej pracy nie potrzeba.

Także i nowi, rozpoczynający pracę ludzie szybko dostosowują się do reszty załogi. Na nowych zresztą zwracamy na początku szczególną uwagę, opiekujemy się nimi i pomagamy. Nie tylko kierownictwo wydziału i dozór techniczny, ale także robotnicy pomagają im przyzwyczaić się i polubić pracę. Od tego, jak ludzie zostaną przyjęci, jak upłynie im pierwszy okres w zakładzie zależą przecież w dużym stopniu ich późniejsza postawa, stosunek do pracy i do zakładu. Ciekawostką jest, że wśród tych nowych coraz częściej pojawiają się także mężczyźni...

Jednym z takich nowych mężczyzn jest Jerzy Kabat, pracujący w „Feniksie" niespełna miesiąc. — *Jest tu bardzo dobra atmosfera* — mówi. — *Starsi pomagają we wszystkim, uczą, no ale do wprawy trzeba dojść samemu. Nie jest to zresztą trudne. Obsługuję maszynę szyjącą, dostałem normę 1700 par dziennie, obecnie szyję już ponad 2 tysiące.*

Trafiłem tu z zakładów mięsnych (i nie żałuję nawet dodatkowych przydziałów mięsa) z bardzo prostych powodów: pieniądze. Tutaj po prostu warto pracować, bo wiadomo, że czym lepiej będę pracował — tym lepiej zarobię.

I wreszcie dziewiarnia — serce zakładu. Tutaj, na nowoczesnych, wyposażonych w komputerowe urządzenia maszynach rozpoczyna się proces produkcji rajstop, od pracy tego wydziału zależy czy będzie co robić na wszystkich pozostałych. Tutaj także najwięcej zarabiają robotnicy.

— *Zarabiamy, to prawda* — — mówi Henryka Kawczyńska, — dziewiarz, pracujący w „Feniksie", na trzy zmiany, już 24 lata. — *Ale jest to praca ponad siły. Tak ciężko, jak teraz nie było jeszcze nigdy. Zaczynając pracę w 1962 roku obsługiwałam 8 maszyn, potem 12. Maszyny zostały wymienione na nowe, lepsze i bardziej wydajne — dostałam od obsługi 20, a teraz już pilnuję 31.*

Niektórzy u nas mają zresztą jeszcze więcej — prawie po 50 maszyn. Z początku obiecano im, że przy tak dużej ilości maszyn będą dostawać włóczką przędzę. I dostawały przez jakiś czas — ale potem przędzy brakło i teraz jest różnie, przerabiają i włóczką, i naszą. A to duża różnica. Nasza przędza jest gorszej jakości, trzeba reperować, praca staje się trudniejsza i cięższa.

Nieraz już myślałam — odejdę, znajdę łatwiejszą, mniej męczącą pracę Ale — pieniądze przecież potrzebne, a wiadomo, że nikt nie będzie mi płacił dobrze tylko za to, że przyszłam do zakładu. Chcę zarobić — to muszę się napracować. Tak musi być, ale nie wszystko wydaje mi się słuszne. Np. nie powinno być tak, że nie ma żadnych ulg w normach, żadnej tolerancji. Stoi kilka maszyn z braku przędzy, zepsuje się jakaś, przez kilka dni trwa remont — a plan na te nie pracujące maszyny też jest i trzeba go wykonać, bo nie będzie premii. Wydaje mi się, że pracownik powinien być rozliczany tylko z tego, co od niego zależy, a nie powinien odpowiadać za to, co zależne od innych albo co stało się przypadkiem. To, moim zdaniem, powinno być zmienione.

A inne rzeczy w zakładzie? Z „Feniksem" wiążą nie tylko zarobki, ale i to, że tu człowiek nigdy nie jest sam. Wiem, bo i sama miałam w życiu różne kłopoty i mieli je inni. Tu zawsze jest do kogo się zwrócić ze swoimi sprawami i można liczyć na pomoc i opiekę.

Również w dziewiarni, jako mistrz pracował wiele lat towarzyszący mi w wędrówce po zakładzie Leszek Bednarczyk, sekretarz organizacyjny KZ PZPR. — *To nie jest wcale trudny zakład* — stwierdził nim wyruszyliśmy. — *Tylko ma swoją specyfikę. Z ludźmi trzeba rozmawiać na co dzień — nie tylko na naradach. A zwłaszcza jest to ważne w zakładzie kobiecym. Tu trzeba znaleźć czas, bez względu na inne zajęcia, aby porozmawiać nie tylko o produkcji, lecz także o życiu: cenach, dzieciach, kłopotach, o tym wszystkim, co interesuje kobiety. Starałem się tak postępować jako mistrz, staram się i teraz, jako sekretarz. Oczywiście nie tylko ja. Tak tworzy się atmosfera, sprzyjająca związaniu ludzi z zakładem, to pomaga w pracy na wszystkich szczeblach...*

Kilkanaście dni temu w zakładzie odbyło się spotkanie z delegatami na X Zjazd PZPR. — *Wśród wielu spraw, o jakich mówiono na zebraniu przekazaliśmy delegatom sprawy najbardziej dla nas dokuczliwe* — mówi I sekretarz M. Andrzejczak. — *Nie po to, aby poruszyli je w czasie plenarnej dyskusji — ale po prostu uważamy, że właśnie oni powinni je znać.*

Podstawowy nasz problem — to brak surowca. Maszyny chodzą często na pół obrotów, dla ludzi trzeba szukać innych, zastępczych prac. I ludzie zastanawiają się gdzie ta koordynacja działań na wyższych szczeblach?

Niedawno zakład został zmodernizowany, ogromnym kosztem. I co z tego, skoro wysokowydajne maszyny nie są w pełni wykorzystane? Ktoś przecież wiedział, ile przędzy jesteśmy w stanie wyprodukować w kraju i czy przypadkiem do jej przerobienia nie wystarczą stare maszyny.

Interweniowaliśmy w KZ PZPR w „Bistonie" — u naszego głównego dostawcy. Efekt jest — ale zdajemy sobie sprawę, że po to, abyśmy dostali więcej, kto inny dostał mniej. Odbieramy przędzę gorącą — niemal dosłownie — bez koniecznego ze względów technologicznych okresu leżakowania. To z kolei odbija się na jakości.

Nie lepiej jest z zaopatrzeniem w surowce z importu. Do tej pory nie mamy otwartej akredytywy na II półrocze 1986 r. A z drugiej strony — do kraju sprowadza się za granicy rajstopy, zresztą gorsze jakościowo od naszych (twierdzą tak nie tylko fachowcy, lecz także używające ich kobiety). Czy nie lepiej było te pieniądze przeznaczyć na przędzę?

Z dalszej rozmowy w Komitecie Zakładowym PZPR wynika, że drugi kłopot w „Feniksie" to... reforma gospodarcza. Fakt, że nie tylko teoretycznie zrozumiano tu jej zasady ale także są one realizowane i przynoszą efekty w praktyce musi widocznie wydawać się podejrzany, bowiem zakład nękany jest ustawicznymi drobiazgowymi kontrolami. Pewna, całkiem spora grupa ludzi pozostaje cały czas do dyspozycji kolejnych kontrolerów i ma pełne ręce roboty z wyszukiwaniem i dostarczaniem im potrzebnych dokumentów.

Ostatnio kontrola taka odbyła się w należącym do przedsiębiorstwa zakładzie w woj. konińskim. Jest to oddział uruchomiony rok temu, w adaptowanych budynkach nieczynnej chlewni, wyposażony w maszyny wycofane z zakładu w Łodzi. I ten właśnie fakt — że są wykorzystywane do dalszej produkcji, zamiast trafić na złom, wzbudził zastrzeżenia kontrolerów NIK.

Reforma w warunkach „Feniksa" to nie tylko duże płace uzyskiwane za rzetelną pracę, nie tylko gospodarne wykorzystywanie surowców i maszyn lecz także odpowiednia polityka kadrowa. Jest to zresztą sprawa najtrudniejsza i niekiedy bulwersująca ludzi bardziej, niż premie motywacyjne, o których tak często wspominali w rozmowach.

EUGENIUSZ IWANICKI

Jak coś postanowią...

Jest to jeden z bardzo nielicznych zakładów, który zwalniał pracowników nie tylko za rażące wykroczenia dyscyplinarne, co stosowane jest wszędzie, ale po prostu za mało solidną pracę. Najsłabszych, którzy nie chcieli czy nie potrafili dostosować cię do obowiązujących tu wymagań. Nie wszyscy pogodzili się z tymi decyzjami — w biurku sekretarza leżą kopie odwołań, jakie niektórzy z nich kierowali do różnych instytucji, aż po Sejm, rząd i Komitet Centralny.

— *Są wśród nich pisma wielostronicowe* — mówi sekretarz. — *Często dzielą się wyraźnie na dwie części: pierwsza to wyliczanie swoich pretensji do ustroju, władzy, opisywanie różnych nieprawidłowości, jakie rzekomo dzieją się w „Feniksie" — a druga część to prośba o przywrócenie do pracy. Jakoś to niespójne i nie najlepiej świadczy o autorach.*

Przypadki zwolnień — choć rzadziej — zdarzają się nadal. Nieraz wynika to z wprowadzonych zmian organizacyjnych, możliwości wygospodarowania etatów. Całe uzyskane w ten sposób pieniądze pozostają do dyspozycji pracowników — i z tym zgadzają się wszyscy. Gdy jednak trzeba wybrać tych, którzy mają odejść, pojawiają się wątpliwości. Osoby przewidziane do zwolnienia często nie mogą pogodzić się z taką decyzją, czują się pokrzywdzone — co łatwo zrozumieć.

— *Chcemy wprowadzić cykliczne oceny wszystkich pracowników, od dyrektora po sprzątaczkę* — mówi sekretarz. — *Uzgodniliśmy już tę sprawę z dyrekcją, przygotowania są w toku. Specjalna karta oceny zawierać będzie także elementy oceny postawy społeczno-politycznej, uważamy bowiem, że i to jest ważne. Nie jest moralne brać pieniądze — niemałe przecież — i domagać się więcej od socjalistycznego pracodawcy, jeśli jednocześnie demonstruje się postawę zdecydowanie antysocjalistyczną.*

Uważamy, że ocena taka pomoże w przyszłości gospodarować kadrami i przypuszczamy, że przyczyni się do uspokojenia ludzi. Ci, którzy zostaną dobrze ocenieni, będą mogli pracować spokojnie, bez obawy, że w czasie kolejnych zmian organizacyjnych zabraknie dla nich miejsca. Ocenieni gorzej — do czasu następnej oceny będą mogli dołożyć starań, aby wypaść lepiej, a niektórzy z nich być może sami uznają, że powinni zmienić zakład.

Chciałbym jednak być dobrze zrozumiany — u nas w zakładzie nie traktuje się ludzi jak maszyny, które można przesuwać z miejsca na miejsce lub odstawiać. Starsi pracownicy, mniej wydajni z powodu stanu zdrowia, ludzie mający przejściowe kłopoty życiowe nie będą zwalniani tylko dlatego, że nie wykonali normy. Mogą oni liczyć na pomoc i opiekę...

Z dalszej wypowiedzi sekretarza wynika, że najpierw, już we wrześniu, w grupach partyjnych odbędzie się ocena pracy zawodowej wszystkich członków partii. — *Chcemy w ten sposób potwierdzić opinię, że członkowie partii są dobrymi pracownikami* — mówi. — *Nie najlepszymi, bo to przecież nie jest możliwe w każdym przypadku, ale właśnie dobrymi. Obecnie do PZPR należy w zakładzie 300 członków i 10 kandydatów. Chcemy, aby trafiali do nas ludzie wartościowi, z pobudek ideowych. Dlatego też przyjmując kandydatów nie tylko, zgodnie ze statutem, wymagamy rekomendacji, ale jeszcze pytamy bezpośredniego przełożonego o opinię dotyczącą pracy zawodowej. Partia nie może stać się azylem dla ludzi, którzy pracując źle obawiają się zwolnienia. Jeśli zdarzyłoby się, że pracownik, bez względu na stanowisko, w czasie cyklicznych ocen zostanie oceniony negatywnie, przynależność partyjna nie będzie dla niego żadną ochroną...*

W najbliższym czasie w zakładzie odbędzie się konferencja sprawozdawczo-wyborcza do związków zawodowych, po której, należy się spodziewać, wzrośnie liczebność organizacji związkowej. W planach na jesień — reaktywowanie działalności Klubu Mistrza. O tym co będzie, o innych licznych zamierzeniach i planach chyba jednak na razie pisać nie trzeba. Lepiej po pewnym czasie znowu odwiedzić zakład i zobaczyć, co z nich wynikło.

CHŁOPI I NIE CHŁOPI,

W czasach mojej młodości do tej wsi najlepiej było chodzić pieszo, w porze suchej nawet rowerem, bowiem prawadząca do niej szutrowa droga pełna była wyboin, wertepów i wyrw. W porze deszczowej stały na niej jeziora, w których mogły się utopić co pomniejsze konie, zaś w upały odkrywały się ogromne leje i rowy, do których można było wjechać bez gwarancji, że się wyjedzie. Stary, pewnie stuletni dróżnik, przesuwał się ruchem ślimaczym od jednego wertepu do drugiego i wypełniał go piaskiem. Była to syzyfowa praca, gdyż kolejny deszcz zamieniał piasek w błocko, furmanki rozbryzgiwały go na okoliczne pola i znów powstawał trakt, na którym można było rozgrywać jakieś prowincjonalne safari.

Były to czasy, kiedy wieś Bałucz należała jeszcze do powiatu łaskiego, kiedy wszystko dopiero się tworzyło i umacniało: a więc władza ludowa, administracja, służba zdrowia, straż pożarna itp. I kiedy najpierw trzeba było myśleć o chlebie, a dopiero potem o drogach, ośrodku zdrowia czy sklepie Samopomocy Chłopskiej. Ale już wtedy mówiło się, że ci z Bałucza to jakby

CHŁOPI I NIE CHŁOPI,

bo to niby uprawiają ziemię, a mają miejskie zachcianki. Sama wieś także zawsze różniła się od innych, bo było tu czysto, schludnie, a sprawy dotyczące życia tej społeczności rozstrzygano kolektywnie. Co jakiś czas do powiatu udawała się — opisaną wyżej drogą — delegacja z różnymi, czasem na owe lata nierealnymi propozycjami. Właściwie ciągle czegoś chcieli: najpierw dobrej drogi i zaraz dodawali, że wieś nie posiada straży pożarnej, więc przydałaby się remiza, stara szkoła nie spełnia swojego zadania i należy wybudować nową, ponadto potrzebny jest we wsi lekarz, bo co z tego, że do Łasku jest raptem 7 km, kiedy po głupie proszki od bólu głowy trzeba iść wpierw do przychodni, potem do apteki i w sumie traci się cały dzień. A tu ziemia schnie, trzeba orać i siać, rozrzucać obornik i wykonywać tysiąc innych prac gospodarskich...

Uparci są gospodarze z Bałucza. Umieli dochodzić swojego w dawnym powiecie łaskim, teraz nękają władze miasta i gminy Łask. Ale też i wieś jest inna niż wszystkie. Jest to wieś znana z udziału jej mieszkańców w pracach na rzecz dobra ogólnego, które stanowi wspólną własność.

Odwiedziłem Bałucz po dwudziestu pięciu latach. Jedzie się teraz szeroką asfaltówką. Takie same wykonane w czynie społecznym prowadzą z Bałucza do Borszewic, do Stryj Księżych. Jedynie na pola jak dawniej jeździ się drogami gruntowymi, które po zimie już zostały naprawione. Gospodarze mówią, że dawniej taka droga na pole wytrzymywała kilka lat, bo jeździły nią jedynie furmanki, teraz co roku trzeba ją poprawiać, gdyż pod kołami traktorów grunt się rozsuwa.

Czym szczycą się mieszkańcy Bałucza? Co pokazują obcemu, który interesuje się ich wioską? Przede wszystkim remizę strażacką. W roku 1922 mieszkańcy sami wznieśli tu strażnicę, ale na prawdziwą straż pożarną ich nie było stać. Sprzęt był zbyt drogi. Dopiero po wojnie zawiązał się społeczny komitet i zaczęto gromadzić pieniądze. Sprawa była o tyle skomplikowana, że w pobliżu wsi nie było cegielni i budulec trzeba było wozić z odległego Zelowa. Więc o świcie wyruszały furmanki, by przez Łask, Buczek, Herbertów dotrzeć do zelowskiej cegielni, załadować cegły, następnie tą samą trasą wrócić. A trasa to spora, w jedną stronę ponad 25 km! A tu przecież praca w polu, sianokosy, żniwa, kopanie ziemniaków itp. I tak przez całe lato do późnej jesieni. Najwięcej kursów zrobili bracia Stanisław i Jan Pilarscy. Zawzięli się, jechali niemal co dnia, przemierzali w spiekocie i kurzu, nieraz w deszczu i wodzie drogę do dalekiego Zelowa. W taki to sposób nie oglądając się na pomoc i dotacje gospodarze z Bałucza przewieźli na budowę swojej remizy 60 tys. sztuk cegieł!

Remizę oddano strażakom w 1960 roku: garaże, sala widowiskowa, pomieszczenia gospodarcze, świetlica. Stan liczebny straży wzrósł do 32 osób.

Po dwudziestu paru latach budynek wymaga remontu. I znów dała o sobie znać postawa społecznikowska. Zabrano się za wymianę podłóg, okien w sali widowiskowej (a jest ich aż 33 sztuki), za tynkowanie zewnętrznej elewacji. Oblicza się, że koszt remontu wyniesie jakieś 1,5 mln zł.

STRAŻACY W BAŁUCZU

cieszą się wielkim uznaniem i mają — jak tu się mówi — mir w narodzie. Kiedy były wybory do rad narodowych stopnia podstawowego, a nie tak dawno do Sejmu PRL druhowie strażacy jak jeden mąż ubrali się w galowe mundury, ze sztandarem, w zwartym szyku jako pierwsi udali się do urn wyborczych. I nikogo tu jakoś nie peszy, ani nie wywołuje rozdźwięku fakt, że są wśród nich członkowie PZPR, ZSL, że są bezpartyjni.

Ten mir, o którym wspomniałem, znalazł swoje potwierdzenie w skromnym, ale jakże wymownym fakcie: kiedy tutejsza OSP świętowała swoje 60-lecie, mieszkańcy wsi ufundowali swoim druhom strażakom sztandar.

Kiedyś w Bałuczu funkcjonował punkt felczerski, dziś jest ośrodek zdrowia. Jest lekarz i pielęgniarki. Do specjalistów jeździ się do Łasku. Był niegdyś także stomatolog, ale to już historia. Dziś gabinet wraz z wyposażeniem stoi pusty, choć stomatologów w Łasku nie brakuje. Tylko komu się chce tu przyjeżdżać, skoro ostatni autobus z Bałucza odchodzi o 16.13? Potem trzeba już nocować albo iść owe 7 kilometrów do Łasku pieszo.

Moimi cicerone po Bałuczu byli: sekretarz rolny Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Łasku Mirosław Rżanek, I sekretarz POP w Bałuczu i członek Rady Sołeckiej Zdzisław Owczarek, prezes koła ZSL Zygmunt Gromada oraz dyrektor szkoły Helena Markiewicz. Otóż mówiąc o służbie zdrowia wszyscy byli zgodni co do jednego: jeszcze trochę, a

ZĘBY TU BĘDĄ RZADKOŚCIĄ

Najgorzej, że dzieci nie są objęte opieką stomatologiczną, nikt ich nie bada, a działanie próchnicy jest zastraszające. Sama oświata sanitarna, która stoi tu na dość wysokim poziomie, nikogo jeszcze nie wyleczyła. Gdyby tak władze miasta Łasku zechciały bodaj przedłużyć linię komunikacji miejskiej, może wtedy...

Nie odkryję tajemnicy, jeśli przypomnę, że polska wieś potrzebuje coraz więcej wody, której z roku na rok ubywa. Bałucz także boryka się z podobnymi kłopotami. Ale tu naród jest twardy i przedsiębiorczy. Cztery lata temu powstał więc Społeczny Komitet Budowy Wodociągu i budowa weszła do planu inwestycyjnego miasta i gminy Łask. Właściwie był to już ostatni dzwonek, gdyż latem woda wysycha tu nawet w najgłębszych studniach i największych zbiornikach. Koszt przedsięwzięcia — 45 mln zł. Z tego: w czynie społecznym przygotowano plac pod budowę hydroforni oraz pomagano przy rozładunku materiałów budowlanych. Mieszkańcy włączą się także w chwili, kiedy trzeba będzie pociągnąć nitki wodociągu od głównego ciągu do poszczególnych gospodarstw (a więc kopanie rowów, układanie rur, zasypywanie). Będzie to pierwszy etap, kiedy to pociągnie się jakieś 4 km rur. W drugim etapie — dalsze 3 km. Ale woda będzie jeszcze w tym roku, na święto plonów.

Hydrofornia została tak pomyślana, by można było do niej w trzecim etapie podłączyć wieś Borszewice. Co prawda do Borszewic z Bałucza jest 5 km, ale wspólnym wysiłkiem podołają i temu przedsięwzięciu, do którego zamierzają przystąpić już w roku przyszłym.

BAŁUCZ NIE JEST WSIĄ WIELKA

W sumie 80 gospodarstw. Ale część z nich to tzw. gospodarstwa zajmujące się specjalizacją. Do jednego z nich — pokonując wielokilometrowy odcinek drogi ze sterczącymi przed wjazdem na podwórka studzienkami ulicznymi — trafiłem w samo południe, kiedy gospodarz Krzysztof Owczarek wrócił był właśnie z pola. Jego gospodarstwo leży w tzw. Kolonii Bałucz i wynosi 13,15 ha.

Od stołu podnosi się wysoki, mocno zbudowany mężczyzna i podaje mi rękę. Moja dłoń ginie w szerokiej i wielkiej dłoni sympatycznego młodego człowieka, który przewyższa mnie o głowę. Jadąc tu wiedziałem, że Krzysztof Owczarek ma zaledwie 26 lat, że ma wykształcenie rolnicze, że jest członkiem partii, że jego żona jest technikiem ogrodnikiem, że specjalizuje się w hodowli bydła mlecznego i trzody chlewnej.

— *Wszystko zależy od dobrej organizacji pracy i od tego, czy ma się serce do tego, co się robi, czy nie. Swoje 13 hektarów podzieliłem dość szczęśliwie, pod uprawy przeznaczając zaledwie 9 ha. I tak: 3 ha zajmuje zboże, 4 ha ziemniaki, 1 ha kukurydza i 1 ha mieszanki zbożowe.*

— I to wystarcza?

— *W zupełności. W tej chwili mam 12 sztuk bydła mlecznego i 30 sztuk trzody chlewnej.*

— A maszyny? Przecież nie wystarczy kosa i pług...

— *Bez maszyn nic bym nie zrobił* — śmieje się. — *Posiadam ciągnik T 330, snopowiązałkę, kopaczkę, a także pozostały sprzęt towarzyszący. Oczywiście kosę i pług także.. Muszę się pochwalić: nie tak dawno dostałem przydział na kombajn ziemniaczany, co będzie ogromnym ułatwieniem w pracy.*

— Ile sztuk trzody pan odstawia rocznie do punktu skupu?

— *Jakieś trzydzieści. Ja mam kartę gospodarstwa specjalistycznego do produkcji trzody chlewnej, którą trzymam w obiegu zamkniętym.*

— Nie bardzo rozumiem, co to jest ten obieg zamknięty w przypadku hodowli?

— *To proste: mam 5 loch i prosięta chowam aż osiągną wagę tucznikową — od 96 do 127 kg. Wtedy jest to tzw. I klasa i najbardziej opłacalna. Więc do skrzyń i na punkt skupu w miejscowym GS.*

— Przepraszam za niedyskretne pytanie: ile pan na tym zarobił, powiedzmy, w ubiegłym roku?

— *Nie mam nic do ukrycia. Sprzedałem państwu za jakieś 800 tys. zł. W tę sumę wchodzi nie tylko moja praca i praca mojej rodziny, ale pasza, zakup materiałów, narzędzi itp.*

Na zakończenie rozmowy pytam, ilu rolników prowadzi tego typu gospodarstwa. Krzysztof Owczarek chwilę myśli, w końcu mówi:

— *W całym sołectwie 15, ale nie boję się konkurencji.*

JADĘ ROZKOPANĄ DROGĄ

wzdłuż której stoją — jeszcze nie podłączone — studzienki uliczne przyszłego ciągu wodnego. Ta część wioski jest przygotowana na to, że za kilka miesięcy z kranów w ich domach popłynie woda.

Asfaltówką jadę do centrum, by skręcić w stronę szkoły, którą właśnie obsiadły — niczym kolorowe motyle — dzieci bawiące się na boisku. Jest duża przerwa i w kancelarii zastaję całe „ciało pedagogiczne" wraz z dyrektorem Heleną Markiewicz. Jest chłodno, nawet nie zdejmuję kurtki. Jakby usprawiedliwiając się pani dyrektor mówi, że w szkole w ogóle jest zimno, bowiem klasy wychodzą wprost na korytarze biegnące na przestrzał przez budynek i właściwie nie zabezpieczające przed zimnem. Szkoła jest stara, jeszcze z ubiegłego wieku, ciasna.

Pani dyrektor opowiada i z tej opowieści wyłaniają się właściwie dwie podstawowe sprawy, tak bardzo żywotne dla dalszej egzystencji szkoły, a tym samym dla przyszłych pokoleń wsi Bałucz. Pierwszy — to sama szkoła, drugi — to udział społeczeństwa w jej rozbudowie i przyszłej budowie.

Do szkoły przychodzą dzieci z sześciu sołectw: Bałucza, Bud Stryjewskich, Stryj Paskowych, Stryj Księżych, Woli Stryjeńskiej i Woli Bałucz. W sołectwie Bałucz są wsie: Bałucz, Kolonia Bałucz, Młyńsko, Wincentów i Ulejów. W sumie codziennie zjawia się 180 dzieci uczęszczających od oddziału przedszkolnego do ósmej klasy włącznie. Dla tych dzieci jest raptem 5 klas lekcyjnych. Stąd konieczność nauki na dwie zmiany.

W praktyce wygląda to mniej więcej tak: lekcje rozpoczynają się w Bałuczu o 15 minut wcześniej niż w szkołach całej Polski, a więc o 7.45. Dlaczego? Dlatego, że autobus którym przyjeżdżają nauczyciele z Łasku jest tu już o wpół do ósmej rano, następny dopiero w południe. Natomiast odjeżdżający autobus — ostatni — odchodzi stąd o 16.13. Tak więc w przedziale czasowym niezwykle krótkim, bo zaledwie ośmiu godzin i dwudziestu siedmiu minut trzeba przeprowadzić zajęcia lekcyjne ze 180 uczniami.

A dzieci? Te mieszkające częstokroć w odległości 4 km od szkoły muszą wstawać o świcie, by o szóstej rano wyjść z domu i przebyć ową trasę dzielącą ich od szkoły. Latem, kiedy jest sucho, droga zostaje pokonana bez specjalnego wysiłku. W porze deszczowej, już jest gorzej. A zimą? Proszę sobie wyobrazić grupki maluchów brnących w zamieć lub mróz przez pryzmy nawianego śniegu, wlokących się w czerni zimowej nocy, która o szóstej rano wcale jeszcze nie zapowiada dnia. Bywa, i to jakże często, że maluchy, te z klasy przedszkolnej wloką się razem ze starszymi, choć wcale nie muszą, bo ich zajęcia rozpoczynają się dopiero o dziesiątej lub jeszcze później. Idą, bowiem same nie potrafiłyby przebyć zimowej drogi, zostałyby w śniegu, zamarzłyby w jakiejś rozpadlinie. Kto choć raz widział wędrówkę tych dzieci, ten łatwo zrozumie, czym dla Bałucza jest nowa szkoła i czym są wysiłki władz sołectwa o zmianę w rozkładzie jazdy autobusów PKS.

Szkoła w chwili obecnej nie może zagwarantować nauczycielom mieszkań, choć wielu z tych dojeżdżających chciałoby się tu osiedlić. Bo tak na dobrą sprawę Bałucz wcale nie leży na końcu świata, nie jest to wieś zabita deskami, gdyż od Łasku dzieli ją zaledwie 7-kilometrowy odcinek asfaltówki i w każdej chwili mając środek lokomocji można „wyskoczyć" do kina lub pociągiem do Łodzi. Dziś elektryczne z Łasku do Łodzi jadą zaledwie 35 minut. Tak mogłoby być, gdyby zostały spełnione warunki, o których było powyżej. Pani dyrektor Helena Markiewicz wierzy, że właśnie tak będzie, bowiem nie zdarzyło się jeszcze w Bałuczu, by ludzie coś postanowiwszy swojego celu nie osiągnęli. Że na wszystko potrzebny jest czas? Owszem, ale czas był zawsze sprzymierzeńcem ludzi z inicjatywą.

Niegdyś obok budynku szkolnego stała komórka opałowa, w której znajdowało się kilka oczek ubikacji. Wystawiono ją jeszcze za cara Aleksandra II. Ponad stuletnia staruszka coraz bardziej chyliła się ku ziemi, dach ledwo się trzymał, choć podstawiano pod niego coraz to nowe stemple. W czasie silniejszych wiatrów dzieci nie mogły korzystać z ubikacji, bo potrzaskujący dach mógł w każdej chwili runąć. Pani dyrektor co roku domagała się pieniędzy na remont, rodzice dzieci popierali ją z całego serca. Niestety, obiekt był własnością oświaty i akurat nie był w najbliższych planach przewidziany do remontu czy adaptacji.

Dopiero w 1981 r. Miejski Zespół Ekonomiczno-Administracyjny Szkół

WCISNĄŁ KOMÓRKĘ DO PLANU

Co robi w tej sytuacji pani dyrektor szkoły? Ano skrzykuje gospodarzy i co sprawniejszych uczniów i w ciągu kilku dni po komórce nie zostaje nawet ślad. Natomiast pod szkołę zwozi się materiały budowlane i ludzie zaczynają kopać rowy, a potem kłaść fundamenty. Jednocześnie gospodarze — także bez dotacji i pomocy ze strony władz oświatowych — zakładają wokół szkoły ogrodzenie. Kiedy budynek już stał, kobiety wiejskie zajęły się wykańczaniem wnętrza. Właściwie całe wsie dobrowolnie się opodatkowały na pomoc szkole, dostarczały furmanek, pomagały przy najrozmaitszych pracach. Pani dyrektor mówi, że z tego wielkiego obszaru, jaki obejmuje swym zasięgiem szkoła, jedynie dwóch rolników nie brało udziału w pracach, choć ich dzieci nadal uczęszczają do szkoły w Bałuczu. Natomiast pracowali tacy, których dzieci już ukończyły szkołę i tacy, którzy dzieci nie mają.

W miejscu dawnej komórki stoi dziś okazały pawilon, w którym mieści się zastępcza sala gimnastyczna oraz sanitariaty z bieżącą wodą. W sumie — jak obliczono — praca włożona przez społeczność wiejską osiągnęła 1,5 mln zł.

Niestety, problem szkoły pozostaje nadal otwarty. Przede wszystkim — przeludnienie. Dzieci ciągle przybywa, rosną wymogi programowe. Korytarze, o których już wspominałem, spełniają także rolę szatni. Zimą — dzieci ubierają się w wymarznięte palta, wciągają na nogi stwardniałe na kość buty. A wszystko w niebywałej ciasnocie, na styku zmian.

Mówi pani dyrektor: — *Aby spełnić wymogi szkoły nowoczesnej, muszą być spełnione następujące warunki: musi być dobrze przygotowana baza dydaktyczna oraz muszą być wysoko kwalifikowani nauczyciele. Szczególnie jest to ważne w środowisku wiejskim, gdzie nie wszystkie dzieci są objęte wychowaniem przedszkolnym. Do tego sprawa mieszkań dla nauczycieli: nie ma. O dojazdach już mówiłam. Dodajmy do tego program tzw. pedagogizacji rodziców (Uniwersytet Powszechny dla Rodziców), który można byłoby wzbogacić filmem, filmami video, przeźroczami. Ale jak to wszystko robić, skoro w zimie temperatura w klasach spada do plus 3 stopni? Dlatego zamierzam te warunki poprawić. Skoro udało się z tamtą komórką, to może uda się to samo ze szkołą. Już zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Szkoły pod patronatem Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Przewodniczącym został Zygmunt Gromada, za jego zastępcą, skarbnikiem Jan Banasiak. Już mamy 1 520 tys. zł na koncie oraz deklaracje pomocy przy pracach przed budową jak i w czasie jej trwania. Mamy także już plan, który wykonało Biuro Projektów w Łodzi. Myślę, że fundamenty położymy jeszcze w tym roku, a za jakieś trzy lata dzieci zasiądą w ławkach już w nowych pomieszczeniach klasowych. Zaplanowaliśmy, że będziemy mieli u siebie pełną bazę dydaktyczną z pomieszczeniami pomocniczymi, z gabinetem lekarskim, biblioteką, pełnowymiarową salą gimnastyczną oraz pomieszczeniem przeznaczonym na uruchomienie stołówki szkolnej. I wreszcie będziemy mieli pokój nauczycielski, w którym każdy nauczyciel będzie mógł nie tylko wygodnie siedzieć, ale mieć własną szafkę... Tu chcę podkreślić, że sala gimnastyczna jest dla Bałucza taką samą koniecznością jak szkoła: trzeba koniecznie ściągnąć młodzież pozostającą poza szkołą, wprzęgnąć ją do prac społecznych, do udziału we wspólnych inicjatywach, do zorganizowanej rozrywki. Nie może ona szukać melin z wódką lub jeździć do knajp w Łasku czy w Zduńskiej Woli.*

Tyle pani dyrektor. Od siebie dodam, że fundusze na budowę szkoły pochodzą od rodziców uczniów, z pieniędzy zebrane surowce wtórne, z dochodów z zabaw, od zakładów pracy z Łasku oraz z Funduszu Rozwoju Rolnictwa.

O Bałuczu można byłoby napisać jeszcze sporo. O jej mieszkańcach dużo więcej. Ot, choćby fakt uczczenia zbliżającego się X Zjazdu PZPR: prace przy odnawianiu budynku straży pożarnej, prace porządkowe w obejściach i na drogach. Bałucz musi mieć w tamtych dniach odświetny wygląd. To już postanowiono. Teraz od zagrody do zagrody chodzą społeczne komisje. Do czerwcowych dni nie jest tak daleko.

Włodzimierz Słobodnik

Sam na sam z samotnością

Sam na sam z samotnością
odkrywam spojrzenie w daleko
jakbym odkrył czarodziejską formułę
zakwitania i więdnięcia kwiatu.
Na miejscu Babilonu
Suche piachy i wiatry
i lodowata samotność
wszelkiego przemijania
Była kobieta
w tak przeraźliwym pięknie
jak noc otwarta na przestrzał,
i nie ma już nawet jej prochów.
Tylko jakiś cierpliwy archeolog
znajdzie w ziemi jej bransolety,
jakby znalazł jej uśmiech
zastygły w martwe złoto.
Siwa dawność Judei
i starożytnego Rzymu,
i Hellady albo końska
dawność Scytów,
gdzie się podziała?
Tylko amfory i dzbany
otwierają ciężkie karty
zamierzchłości,
byś odczytał na nich
swoje własne przemijanie.
Pradawny anioł opowiedział mi
okrutną tęczę gaśnięcia
i odpływania w ciemność.
Moja matka, ojciec i bracia,
którzy przedwcześnie umarli,
Zamykają za sobą
ciężkie żelazne drzwi.
Stoję przed nimi
i czekam na moją kolej.

Kukły w magazynie mód

1.

Są widmowo-kolorowe,
woskowe Magdaleny
Marie i Zofie,
pełne wątpliwej wspaniałości.
One są wierne nocy i księżycowi,
i nie kłamią miłości.

2.

Za ich uśmiechami
Czai się bezmiar niebytu,
Wybuch bezkresu.
Te są zimne kochanki
zielonych i fioletowych biesów.

3.

Kształtne ich nogi
nie znają dróg i bezdroży,
nikt brzuchów ich nie zapłodni.
Patrzą chłodniej niż noże,
niż okna zimowe chłodniej.

4.

Nocą, gdy nikogo
nie ma w magazynie,
ich uśmiechy od ust ich
się odklejają
i lecą, jak sztuczne motyle
ku sztucznym rajom.

5.

Ich piersi nie są stworzone
dla męskich pieszczot,
ni dla ust niemowlęcych,
Wosk ich jest mądry i chłodny,
podobnych do gwiazd dziecięcych.

6.

Śmierć dla nich nie jest
Wielką czarną jamą,
bo już nie żyją.
Z nocą i niebytem
idą w stronę ciszy.

* * *

Topole mówią, niebo i obłoki,
Zagrody mówią ziemi żal głęboki
I chata chacie, topola topoli
Podaje słowo, co jak ciemność boli.

Jest wieczór, ale pług pamięta jeszcze,
Jakie zawiera ziemia w sobie dreszcze.
Niedośpiewane pieśni ptaków w gniazdach
Milczą o mroku, o ciszy, o gwiazdach.

I gigantyczny siewca zamiast ziaren
Rzuca zakrzepłe łzy swe w skiby szare,
A wydłużone aż do bólu cienie
Są jak ostatnie rozpaczliwe tchnienie.

EDWARD KOLBUS

Śmierć kaskadera

O Rafale Wojaczku w 15 rocznicę śmierci

Powiedzieć o Wojaczku, że był poetą, jednym z najtragiczniejszych i najbardziej kontrowersyjnych prekursorów rodzimej kontestacji — to dużo i mało zarazem. Dużo — bowiem wyraża się w tych słowach prawie wszystko to co mogło mieć i chyba miało najistotniejszy wpływ na dramaturgię zdarzeń, tak w sensie artystycznych jak i społecznych jej uwarunkowań. Mało — gdyż tak ścisłe powiązanie nietuzinkowej w końcu biografii poety z uprawianą przezeń twórczością jak ma to miejsce w przypadku autora „Nie skończonej krucjaty" rodzi pokusę i stwarza nieograniczone wręcz możliwości mnożenia przymiotników jeszcze bliżej i precyzyjniej dookreślających sytuację poety.

A więc np. już nie tylko najtragiczniejszy i najbardziej kontrowersyjny, ale także, a kto wie czy nie przede wszystkim jakże niecodzienny już choćby poprzez programowo wręcz podejmowane próby nadawania własnemu doświadczeniu rangi sztuki.

Bo i cóż to za poeta, który ot tak sobie dla draki przenika swym potężnym ciałem oszklone ramy okien, który dokonuje samookaleczeń obnosząc świeże „sznyty" wśród znajomych, który w różnych klubach, empikach, w kiblach, na klatkach schodowych i na śmietnikach degustuje tani salicyl i czysty spirytus.

Bo i cóż to za poeta, dla którego każde piękno podszyte jest gnojem i który sam siebie często wita retorycznym: „Poeta czyż nie brzmi to niezdrowo?".

Któżby takiego wpuścił na salony, któżby „zaprosił do stołu" literackich koterii. Nikt. Zostawała więc rola kaskadera. Nieustanne ćwiczenie ciała do skoku „z najwyższej wieży", ciągłe „dokrętki" czynione dla potrzeb wciąż na nowo kolaudowanego filmu pt. „my zawsze musimy być gotowi do nowego bohaterstwa".

W prasie literackiej po śmierci Wojaczka toczyły się zawzięte spory. Byli tacy, którzy pisali, że „niecałe dwieście wierszy, składających się na cztery tomiki Wojaczka stanowi zjawisko niezwykłe na tle współczesnej młodej poezji, tak odrębne w swym nastroju, że trudno znaleźć w historii powojennej liryki godne i adekwatne porównanie"

Inni twierdzili, że „Wojaczek nie miał „wielkich idei", o które mógłby walczyć, że był skrajnym egotystą, skupionym na sprawach swojej twórczej kariery, a czasem w chwilach depresji — na sprawach własnego zdrowia

Paweł Dybel podsumowując niejako tę dyskusję czy spór, w jednym z numerów „Twórczości" napisał: „Jedni byli skłonni widzieć w nim ofiarę całopalną czy wręcz Chrystusa — odkupiciela młodych pokoleń z wynaturzeń cywilizacji, który wskazuje jedyną drogę poetyckiej prawdy. Drudzy — nic więcej ponad skończonego alkoholika, grafomana, któremu tylko dzięki licznym skandalom udało się zdobyć poklask i uznanie spragnionych sensacji czytelników".

Można się chyba zgodzić z autorem zacytowanej wypowiedzi, gdy w dalszej jej części stwierdza, że wbrew pozorom obie te postawy więcej łączyło niż dzieliło. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż siłą Wojaczka, podobnie jak kiedyś Hłaski okazywała się bezsiła literatury, do której wkraczał. Jak trafnie sugerowano: po latach gadulstwa na tle czarno-białych formułek produkcyjniaków „kurwa twoja mać" z prozy Hłaski zabrzmieć mogła jak jedyna prawda ludzkiego życia. Czy w jakiś czas potem, na tle tyleż uładzonej co skompromitowanej do cna maniery poetyckiej lat sześćdziesiątych obsceniczne określenia z wierszy Wojaczka nie musiały zabrzmieć podobnie?

Kim był ten, „którego nie było" czy raczej którego — by zostać w zgodzie z sensem tego, jakże prowokacyjnie wyrażonego tytułu tomiku — należałoby tak właśnie traktować.

W ogłoszonym po śmierci poety „Dzienniku", możemy przeczytać takie oto wyznanie: „Trzeci dzień. Może ojciec przyjechał i przyjdzie. Wczoraj wiersz. Dzisiaj rano życiorys. Życiorys: jakże trudno napisać życiorys. Owszem, można kronikę — urodzony dnia, do szkoły dnia etc. Ale życiorys, biografię...

Nie wiadomo, może właśnie **wtedy (9 maja 1965 roku** — popołudnie) powstała ta oto, sporządzona odręcznie, w ołówku zapewne, któraś tam jego wersja: „Urodziłem się w 1945 r. Chodziłem do szkół, dorastałem w bibliotekach, na dworcach kolejowych, w domach cudzych i mniej cudzych, w barach lepszej i gorszej kategorii, w jeszcze innych miejscach. Pływałem po rzekach, jeziorach i po wielkiej wodzie także. Udzielałem się Przygodzie — „Ziemia wolna mi była niestety". Niekiedy umierałem i wtedy z tamtej strony życia odpowiadałem: a kuku. Wystarczy? PS. mogę też inaczej".

Mógł, ale tylko do pamiętnej **nocy z 10 na 11 maja 1971 roku, kiedy to już nie „umierał" ale umarł po raz ostatni i ostateczny.**

Ze zrozumiałych względów nie opublikowano jak dotąd pełnego życiorysu poety. Możemy zatem przywołać jedynie garść tyleż sprawdzonych co wyrywkowych danych, które udało się ustalić w oparciu o publikowane tu i ówdzie biogramy.

Urodził się 6 grudnia 1945 r. w Mikołowie w rodzinie nauczycielskiej jako syn Edwarda i Elżbiety z domu Sobeckiej (należał więc do pokolenia rówieśników Polski Ludowej). Nauki pobierał w miejscu swego urodzenia tj. w Mikołowie, gdzie uczęszczał do tamtejszej szkoły podstawowej i liceum. Od 1960 roku przez dwa lata kontynuował naukę licealną w Katowicach Ligocie, a następnie w Kędzierzynie, gdzie zdał egzamin maturalny. Po maturze studiował pół roku filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1964 po przerwaniu studiów przyjechał do Wrocławia i przez kilka miesięcy pracował w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania jako dyspozytor samochodów. Później — nie miał stałego miejsca zatrudnienia. W maju 1965 roku przebywał w Klinice Psychiatrycznej AM we Wrocławiu (którą kierował wówczas prof. Adam Bukowczyk). Poznał tam swą przyszłą żonę Teresę, dyplomowaną pielęgniarkę. W roku 1966 ożenił się, został ojcem. Małżeństwo jednak bardzo szybko uległo rozpadowi. W kilka miesięcy po ślubie żona opuściła go zabierając ze sobą nowo narodzoną córeczkę Dagmarę Joannę. W październiku 1967 roku za zakłócenie porządku publicznego został skazany na dwa miesiące aresztu. Karę odbywał w Ośrodku Pracy Więźniów przy ul. Fiołkowej 38 we Wrocławiu. Czerwiec 1969 roku spędził w Domu Pracy Twórczej ZLP w Zakopanem.

Debiutował w grudniu 1965 roku w pierwszym numerze nowo powstałego miesięcznika „Poezja". Ostatni wiersz jaki napisał nosi datę: 8.III.1971 r. Wydał cztery tomiki poezji (dwa ostatnie ukazały się już po jego śmierci): „Sezon" (Kraków, 1969 r.), „Inna bajka" (Wrocław, 1970 r.), „Nie skończona krucjata" (Kraków, 1972 r.), „Którego nie było" (Wrocław, 1972 r.). Jesienią 1976 r. Wydawnictwo „Ossolineum" opublikowało „Utwory zebrane" Rafała Wojaczka, w opracowaniu Bogusława Kierca, ze wstępem Tymoteusza Karpowicza.

O ostatnim okresie życia Wojaczka, o okresie poprzedzającym tragiczny finał tak pisze B. Kierc: „Był to — jeśli wierzyć Rafałowi — okres w jego życiu bardzo szczęśliwy (...). Z dziecięcą szczerością wyznawał, że jest zakochany jak nigdy dotąd (...). Był w tamtym marcu szczęśliwy, ale bał się tej szczęśliwości. Bronił się przed nią. Mógł był zostać w Krakowie. Do Wrocławia ściągała go pewna sprawa sądowa (...). Groziło mu więzienie. Ale myślał o nim także jak o możliwości „powrotu do siebie". Szukał mieszkania, mimo że znajomym podawał swój adres krakowski. Poddawał się erozji swojej ostatniej miłości, ale jednocześnie przygotowywał się do śmierci. Szukał we Wrocławiu mieszkania jeszcze tego samego dnia, kiedy rano wysłał do mnie list zawiadamiający o samobójstwie. Znalazł mieszkanie, które mu odpowiadało, ale już za kilka godzin wieszał się. Przeszkodzono mu. Więc dopiero w nocy. Otruł się".

Pochowany został na wrocławskim cmentarzu Św. Wawrzyńca.

(Fragment książki pt. „Kaskaderzy literatury", która ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

Z półki recenzenta

JESIENNY DZIEŃ

„Iskry" opublikowały książkę Włodzimierza Słobodnika, na zawartość której składają się opowiadania, wspomnienia i eseje. Jeśli w tym miejscu polecam tę publikację uwadze czytelników, to jedynie ze względu na jej część wspomnieniową. Bo oto pojawiają się z przeszłości postacie K.I. Gałczyńskiego, Juliana Tuwima, Edwarda Szymańskiego, Stanisława Piętaka i innych, których Słobodnik znał, spotykał się z nimi, z niektórymi się przyjaźnił. Dlatego wspomnienia o nich, jakie by one nie były, posiadają wartość historyczną.

Włodzimierz Słobodnik: Jesienny dzień. Iskry 1986. Str. 210. Cena 120 zł.

LUDZIE GOŚCIŃCA XVII—XVIII W.

W posłowiu autor napisał, że pomysł tej książki zrodził się jeszcze przed ostatnią wojną, a „Przez blisko pięćdziesiąt lat odkładałem notatki dotyczące źródeł specyficznego zagadnienia, jakim jest problem ludzi gościńca w XVII — XVIII w.". W skrócie można by powiedzieć, że jest to rejestr najrozmaitszych zawodów (od prostytutek do zbójców i fałszerzy) uprawianych w owych odległych czasach, a także o prawodawstwie, sądownictwie i karach stosowanych na ziemiach polskich w omawianym przez nas okresie.

Bohdan Baranowski: Ludzie gościńca XVII — XVIII w. Wyd. Łódzkie 1986. Str. 254. Cena 200 zł.

ARMIA KSIĘCIA JÓZEFA

Książę Józef Poniatowski żyje w legendzie, która mocno odbiega od faktów historycznych. Proponuję zatem czytelnikom opracowanie dotyczące tego wodza, kiedy to po upadku Napoleona w 1812 r. formował w Księstwie Warszawskim swoją armię, którą później poprowadził do Saksonii, i na czele której stoczył ostatnią w swoim życiu bitwę, bitwę pod Lipskiem, w dniach 16 — 19 października 1813 r. Książka „Armia księcia Józefa 1813" nie jest zbeletryzowaną opowieścią o tamtych czasach, ale udokumentowanym rzetelnym opisem wydarzeń historycznych.

Mariusz Łukasiewicz: Armia księcia Józefa 1813. MON 1986. Str. 366. Cena 450 zł.

W LESIE I NA FRONCIE

Im odleglejsze stają się wydarzenia ostatniej wojny, tym liczniej pojawiają się o niej wspomnienia. Czesław Dęga w swojej książce „W lesie i na froncie" przywołuje tamte lata nie tylko gwoli powspominania, ale by zaakcentować, że to, co robili Polacy pod okupacją, a potem już w regularnym Wojsku Polskim miało konkretny i wymierny wpływ na powojenną rzeczywistość. A więc walki w partyzantce w zgrupowaniu „Jeszcze Polska nie zginęła", potem Wojsko Polskie, front. Drezno, wyzwolenie, walki z bandami UPA. Dobra to książka i jako opowieść, i jako przyczynek do naszej historii.

Czesław Dęga: „W lesie i na froncie". MON 1986. Str. 366. Cena 240 zł.

POTOMKOWIE GENERAŁA

O nim samym śpiewa się w naszym hymnie, że „z ziemi włoskiej do Polski" Co jednak wiemy o potomkach Jana Henryka Dąbrowskiego? Przecież miał czwórkę dzieci, a ci z kolei także dochowali się potomków. Marek Ruszczyc we wstępie pisze, że postanowił zajrzeć do ich domów, przyjrzeć się ich zajęciom, przekazać współczesnemu czytelnikowi ich dzień powszedni, a także towarzyszyć im w ich wędrówce przez życie aż po kres. Jestem przekonany, że ta książka znajdzie gorących zwolenników.

Marek Ruszczyc: Potomkowie generała. MON 1986. Str. 314. Cena 260 zł.

TRZECI DYWAN PERSKI

Te „perskie dywany" ukazywały się przez parę lat. Ten jest już ostatni. Zawiera utwory autorów bardzo dawnych jak Awicenna (właściwie Abu Ali Ibn Sina) czy Mohammad Ghazali z Tusu po nam współczesnych, takich choćby jak Mohammad Zahri z Teheranu czy Hanarmandi Hasan. Tak więc jest to naprawdę dywan utkany ze słów, pełen zaskakujących Europejczyka porównań, skojarzeń i przenośni. Całość ozdabiają rysunki Zbigniewa Kamykowskiego, utrzymane w „stylu epoki". A wyboru i przekładu dokonał Władysław Dulęba.

Trzeci dywan perski. WL 1986. Str. 358. Cena 450 zł.

E.IW.

Wspólne losy

Rozmowa z SIERAFIMEM ANTONOWICZEM ANDRIEJUKIEM, redaktorem naczelnym wydawnictwa „Mastackaja Litieratura" w Mińsku.

Foto: Grzegorz Gałasiński

— Pański przyjazd do Łodzi, do naszej łódzkiej oficyny wydawniczej zapewne ma charakter nie tylko oficjalny. Ale zanim zapytam o cel wizyty w Polsce, pragnę usłyszeć od pana o związkach istniejących pomiędzy naszymi narodami i literaturami. Jakie one były?

— Myślę, że właśnie od tego rozpoczniemy naszą rozmowę. Należy powiedzieć o losach naszych literatur, w historii których wiele było wspólnych problemów uwarunkowanych wspólnymi losami historycznymi. W historii narodu polskiego i w historii narodu białoruskiego było wiele bohaterskich, a w związku z tym dramatycznych, a nawet tragicznych wydarzeń, kiedy Polacy i Białorusini wspólnie walczyli o swoje socjalne i narodowe wyzwolenie. Nie zawsze ich losy, ich wspólne stosunki były dobre. Bywały one nieraz skomplikowane. Na koniec jednak wspólne dążenia ku wolności, ku humanitaryzmowi określiły główny cel naszych narodów i określiły nasze literatury. Tak właśnie myślę. W historii tak się złożyło, że wielu czołowych twórców polskiej kultury pomagało w samostanowieniu kultury białoruskiej. Z drugiej strony wiemy, że ziemia białoruska dała Polsce szereg wielkich postaci polskiej kultury i literatury: najbardziej jaskrawym przykładem jest Adam Mickiewicz. Właśnie przywieźliśmy ze sobą „Pana Tadeusza" wydanego u nas z niezwykłą pieczołowitością. Książka ukazała się w tym roku w przekładzie znanego u nas tłumacza Jazepa Simiežona, nad którą pracował bez mała piętnaście lat. Oprawę graficzną i ilustracje wykonał czołowy nasz grafik, profesor Wasyl Szerengowicz. Uważamy, że ta książka nam się udała. Jest to nasz sukces. Teraz czekamy co o „Panu Tadeuszu" powiedzą fachowcy, czyli nasza białoruska krytyka.

— Mówił Pan o historii i dniu dzisiejszym. W Polsce także mamy świadomość istniejących związków między naszymi narodami i naszymi kulturami, a „Wydawnictwo Łódzkie" co roku dostarcza nam coraz to nowych na to dowodów wydając książki pisarzy białoruskich. Chciałbym Pana zapytać jak ta współpraca wygląda od strony Białorusinów?

— O kontaktach wydawniczych mogę powiedzieć tylko tyle, że w Polsce białoruską literaturę wydaje się bardzo dobrze. Maksym Tank, Janka Bryl, Wasil Bunikow są znani polskiemu czytelnikowi. Może mniej tłumaczy się pisarzy młodszego pokolenia, choć pragnęlibyśmy, żeby i ich książki trafiły do rąk polskiego odbiorcy.

Co się tyczy wydawania u nas w „Mastackoj Litieraturie" literatury polskiej, to powiem, że mamy wydzieloną redakcję przekładów w wydawnctwie, a literatura polska zajmuje w niej czołowe miejsce. To jest zupełnie zrozumiałe, przecież nasze narody są sobie tak bliskie. Mówiłem o Adamie Mickiewiczu, a można byłoby wspomnieć także o Elizie Orzeszkowej i o Władysławie Syrokomli, który był poetą polskim, i który przyczynił się do rozwoju literatury białoruskiej.

Wśród wydanych u nas ostatnio książek znajduje się zbiór opowiadań Stefana Żeromskiego, w którym to zbiorze znalazła się m. in. „Wierna rzeka". Nie tak dawno ukazały się u nas w serii „Poezja narodów świata" — „Kwiaty polskie" Juliana Tuwima. Dalej: wyszedł zbiór opowiadań pisarzy polskich „Sad". Wyboru i przekładu dokonał znany nasz pisarz, znawca języka polskiego Janka Bryl. W zbiorze tym są utwory zarówno pisarzy klasyków jak i współczesnych: Marii Dąbrowskiej, Zofii Nałkowskiej, Jarosława Iwaszkiewicza, Leona Kruczkowskiego, Władysława Broniewskiego, Antoniego Kasprowicza, Macieja Józefa Kononowicza, Wojciecha Żukrowskiego, Jana Iłłuszczy i innych prozaików i poetów uprawiających twórczość prozatorską.

Polska literatura jest publikowana u nas także w roczniku „Dalahlady" Zamieszczone tam były utwory już wspomnianych przeze mnie pisarzy, a także Cypriana Kamila Norwida, Marii Konopnickiej, Józefa Ozgi-Michalskiego, Tadeusza Chróścielewskiego, Igora Sikiryckiego, Bohdana Drozdowskiego i innych.

— Dotarła do nas wiadomość, że w oficynie wydawniczej kierowanej przez Pana ukazała się książka naszego, niedawno zmarłego kolegi, Macieja Kononowicza, której to książce telewizja poświęciła specjalną audycję...

— To prawda. W tym roku wyszła u nas książka łódzkiego poety, naszego wielkiego przyjaciela Macieja Józefa Kononowicza pod tytułem „Moja dąbrowa". Z wielkim żalem przyjęliśmy fakt, iż książka ukazała się w kilka zaledwie dni po śmierci Macieja Józefa Kononowicza, tego wspaniałego człowieka i poety, przyjaciela naszego narodu i naszej literatury. Książkę, o której mówię, przygotował do druku i dokonał przekładu wierszy Janka Bryl.

— Pomówmy teraz o planach wydawniczych. Czego może oczekiwać czytelnik białoruski, jakich polskich autorów zamierzacie mu przedstawić?

— W planach perspektywicznych polskiej literatury jest sporo. Planujemy wydać dwutomowy wybór utworów Adama Mickiewicza, książki Józefa Ignacego Kraszewskiego, Elizy Orzeszkowej, Jana Kochanowskiego...

W tym miejscu pragnąłbym wymienić tych naszych poetów i prozaików, którzy zajmują się przekładami literatury polskiej na język białoruski. A więc: Maksim Tank, Janka Bryl, Jazep Simiežon, Wasil Siomucha, Aleksiej Zarickij, Wasil Witka, Kostus Cwirka, Nina Maciasz, Hrehor Barandulin i inni, których jest wielu, a których wyliczenie zajęłoby mi sporo czasu.

— Jak z perspektywy „Mastackoj Litieratury" prezentuje się nasza oficyna wydawnicza, czyli Wydawnictwo Łódzkie?

— Z wielką radością dowiedzieliśmy się, że Wydawnictwo Łódzkie planuje w najbliższych latach wydać antologię poezji białoruskiej. I stąd też nasza wdzięczność dla dyrektora tego wydawnictwa, a jednocześnie dla naczelnego redaktora, który choć sam nie pisze wierszy, to w sercu jest poetą, co niejednokrotnie udowodnił recytując godzinami wiersze nie tylko poetów polskich, ale i poetów narodów ZSRR. Teraz już rozumiemy dlaczego w Wydawnictwie Łódzkim zaczęły wychodzić antologie poezji poszczególnych narodów Kraju Rad.

Myślę, że granic dla kontaktów wydawniczych i twórczych pomiędzy naszymi wydawnictwami i narodami nie ma. Cele są wspólne i jakże piękne.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Nie ma powrotu do źródeł

Michał Jagiełło zasłynął jako autor sfilmowanej powieści „Hotel klasy Lux" (1978). Pokazywał w niej różne sposoby realizowania podobnego mechanizmu społecznego, wynikające z inności pokoleniowych doświadczeń oraz odmiennych osobistych predyspozycji. Opowiadał się za umiarkowanym odświeżaniem metod politycznego działania, rozgrzeszając niejako z góry wszelkie polskie bolączki i niedostatki w myśl hasła: „Kto powiedział, że w ojczyźnie musi być najlepiej. Nie pytasz matki o urodę".

Późniejsza o kilka lat „Studnia" to typowa palinodia. Wycofując się z zawartych w „Hotelu klasy Lux" poglądów, kwestionując własne rozgrzeszenie polskich niedostatków Michał Jagiełło korzysta z arsenału takich samych środków stylistycznych, z jakich budował swą poprzednią uwikłaną w politykę powieść. Ich podstawą okazuje się niezmiennie symbol. Symboliczna, zasypaną studnia — do której odnowienia zmierza samotny, zagubiony w nieprzyjaznym mu świecie, pozornie twardy, lecz w istocie sentymentalny i marzycielski bohater — dostarczała kiedyś ożywczej wody. Takiej wody potrzeba i dzisiaj. Dlatego należy dotrzeć do źródeł. Jest tedy „Studnia" powieścią z tezą. Świat przedstawiony i sposób rozwijania narracji podporządkowane zostały przyjętemu przez autora założeniu o potrzebie zweryfikowania postaw moralnych, o potrzebie odejścia od rutyny i łatwych formułek usprawiedliwiających oportunizm. Wprawdzie nie spotykamy zdecydowanego podziału na bohaterów pozytywnych i negatywnych reprezentujących dwie przeciwstawne strony, ale i tak w usta wielu postaci wkładane są dyskursy o charakterze publicystycznym.

„Studnia" składa się z dwóch części. Akcja części pierwszej rozgrywa się 30 stycznia 1980 roku, akcja drugiej części — 31 sierpnia tegoż roku. O ile pierwsza data jest raczej przypadkowa, o tyle data druga urasta do rangi symbolu. W ciągu tych miesięcy narasta w bohaterze moralny ferment, niejednolity zresztą i nie do końca zdeterminowany — tęskniący bowiem za moralną nieskazitelnością bohater „Studni" bardziej przypomina wyśmiewanego przez Witkacego „podłego inteligenta" niźli nieugiętego potomka „dumnych kmieciów".

Piotr Gaj — wybitny taternik, kierownik górskiego Pogotowia Ratunkowego, a także wieloletni działacz polityczny okazuje się człowiekiem przegranym, jak sam powiada: „inwalidą duchowym". Nie sprawdziły się jego polityczne nadzieje i koncepcje, nie udało mu się życie rodzinne, kuleje jego życie uczuciowe, chwieje się jego pozycja zawodowa — bywają takie momenty, że zawodzi wszystko i zawodzą wszyscy. Piotr Gaj szuka dla siebie ratunku. Umyśli, iż pożyteczne okaże się krytyczne przewartościowanie przeszłości: wojennego dzieciństwa oraz politycznych zakrętów znaczonych latami 1956, 1968, 1970 i 1976. A także w krytycznym (w rzeczywistości jednak mitologicznym przewartościowaniu dziejów rodzinnych i narodowych, poczynając od powstania styczniowego. Zwrot ku przeszłości posiada charakter po trosze mistyczny — rozmyślając o sobie i o przodkach bohater „Studni" „przechodzi przez mgłę do innego czasu, w inny wymiar, w tę ukrytą rzeczywistość, która musi przecież istnieć obok zwykłego, normalnego, przyrodzonego porządku". Zaciera się granica. Jawa staje się legendą, rzeczywistość przeistacza się w symbol. Piotr Gaj poszukuje znaczeń najprostszych. Chce racjonalizować swój świat, ale za wiele w nim tkwi emocji...

Poprzez natężenie owych kontemplacyjnych seansów bohater Michała Jagiełły pragnie przezwyciężyć rodzinny i narodowy instynkt tragizmu czy też chorobę heroicznego tragizmu, jaką wyssał z mlekiem matki: „tak bardzo chciał budować swój świat na solidnych, materialistycznych podstawach, bez mrzonek, co mącą jasność logicznego myślenia, bez religijnych kadzideł i świec, i bez obnoszenia się z nie zabliźnionymi ranami jako naród swoiście wybrany przez Historię. Hiob nowożytnego świata". Nie udało się. Instynkt tragizmu okazał się silniejszy. Zbiera swoje żniwo. Jest więc Piotr Gaj człowiekiem rozdartym, wypełnionym z jednej strony mitologią martyrologiczną, a z drugiej tęsknotą do swobodnego i beztroskiego życia. Jest człowiekiem spragnionym. Chce napić się krynicznej wody z zasypanej studni, aby pokrzepić nadwątlone siły. Pragnie odnaleźć własną prawdę — którą mógłby każdemu wykrzyczeć. Nie tę, odkrytą dawno, iż z każdego człowieka można wydobyć najbardziej nawet skrywane zło. Piotr Gaj pragnie nowej prawdy, ponieważ znużyła go dotychczasowa gra na remis: „wolał trwać na brzegu rzeki jako obserwator, stać kamieniem, obok którego przepływa czas, mieć dystans do życia, co kłębi się pod nogami spienionym nurtem, nie dokonywać nieustannych wyborów, skoro już raz podjęło się decyzję, że najważniejsza jest zasada nieingerencji. Całą swoją postawą zdawał się wciąż to powtarzać: gotów był na wiele przystać, byle tylko zachować tak pojętą autonomię, przytłumić nieustanne zagrożenie, jakie odczuwał: będzie musiał zdecydować się na ów krok; gdy rzeka wystąpi z brzegów, wtedy on wbrew sobie znajdzie się w jej nurcie, zmuszony okolicznościami do wybierania. Pozostać czy uciekać. Tak lub nie. Z wszelkimi konsekwencjami dokonanego wyboru. Bał się tego (...). Gryzł go niepokój. I uczucie, że kogoś zdradza, że nie wypełnia podstawowego obowiązku. Nie wiadomo jednak, co nim jest". Bohater „Studni" skazany został na ambiwalencję, z której po prostu nie ma wyjścia. Jeszcze jedna rozdarta sosna w naszej literackiej kniei.

Piotr Gaj nie osiągnie moralnej doskonałości, nie odnajdzie gwiazdy przewodniej. Odwraca się od świata z uczuciem zawodu i niezrozumienia, z „rozrastającym się jeżem w piersi". Wyrusza w tatrzańskie turnie, owiany mgłą, a może są to tylko opary kolejnej dokuczliwej polskiej niemożności. Wie, co go czeka po powrocie: samotność i bezradność. Nie ma bowiem powrotu do źródeł. Pozostaje samotne zmaganie z życiem.

Pewien odłam naszej krytyki literackiej niesłusznie deprecjonował powieść Michała Jagiełły jako „kicz narodowo-ojczyźniany". Autor „Studni" może i nadużywa rekwizytów o romantycznej proweniencji, może nie wszystkie symbole są trafnie dobrane, może nie do końca potrafi przezwyciężyć słabość do niektórych mitów głęboko zakorzenionych w patriotycznej świadomości, może nazbyt emocjonalnie czy nawet ckliwie odnosi się do polskich realiów, może niekiedy zbyt natrętnie utożsamia się ze swym bohaterem — ale przecież usiłuje on uczciwie pokazać klęskę tego bohatera, człowieka, który nie uporał się w gruncie rzeczy ani z polską historią, ani z polską współczesnością. Słabość tej powieści upatrywałbym gdzie indziej: w rozziewie między mało na ogół wymyślną symboliką a wyraźną interwencyjnością publicystyczną. Nie jest to małżeństwo dobrane. Tym bardziej, że nazbyt często zdaje się autor liczyć na domyślność czytelnika. Co — jak wiadomo — rzadko przynosi pożądane efekty. Publicystyka musi bowiem być konkretna. Również wówczas, gdy aspiruje do miana literatury.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Michał Jagiełło: „Studnia", Czytelnik, Warszawa 1985, s. 187, nakład 20 320 egz., cena 130.—

Kronika kulturalna

21 CZERWCA br. na scenie Teatru Studyjnego '83 im. J. Tuwima wystąpi gościnnie **Teatr im. S. I. Witkiewicza z Zakopanego**, kierowany przez **Andrzeja Dziuka.** Zobaczymy **„Historię" Witolda Gombrowicza** w reżyserii i ze scenografią **Julii Wernio,** z choreografią **Lecha Wolczyka.** Premiera tego spektaklu odbyła się w kwietniu tego roku. Łódzka publiczność obejrzy także **„Autoparodie" Witkacego i „Dziurę" Słonimskiego i Tuwima.** Zespół tworzą absolwenci krakowskiej Szkoły Teatralnej. Szerzej o Teatrze im. S. I. Witkiewicza pisaliśmy w numerze 21 „Odgłosów".

OGROMNA impreza folklorystyczna odbywała się w Łodzi w dniach 17—23 czerwca, a mianowicie Międzynarodowe Konfrontacje Folklorystyczne Łódź '86. Jest to pierwsza tego typu impreza w Polsce. Dlaczego zorganizowano ją właśnie w Łodzi. Powód był prozaiczny, otóż w tym roku swój jubileusz obchodzi Zakładowy Dom Kultury — 40-lecie i 25-lecie Reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca przy ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex". Tak więc jakby przy okazji obchodów zorganizowano imprezę większą. Była ona prezentacją zespołów folklorystycznych z różnych krajów oraz próbą porównania naszego dorobku oraz poziomu naszych zespołów do podobnych zagranicznych. Nasuwa się pytanie, czy impreza przerodzi się w cykliczną, bo chyba warto, ale rozstrzygnięcie tego pytania nie należy już do nas. Ciężar organizacyjny Konfrontacji wzięły na siebie ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex", Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi oraz redakcja „Głosu Robotniczego".

Imprezy odbywały się w kilku punktach Łodzi. M. in. parada uliczna zespołów, koncerty plenerowe w pasażu ZMP oraz z okazji święta „Głosu Robotniczego" w Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu, koncerty w ZDK przy Zakładach Tekstylno-Konfekcyjnych „Teofilów" i w Zakładowym Domu Kultury ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex" oraz koncert galowy w Teatrze Wielkim.

Uczestniczyły w Konfrontacjach zespoły z Jugosławii, Węgier, Wielkiej Brytanii i oczywiście polskie „Blichowiacy", „Boruta", „Dobroń" i „Poltex".

W KRAKOWIE zakończyło się XI Międzynarodowe Biennale Grafiki. Na wchodzącej w skład biennale wystawie w Katowicach łodzianin **Krzysztof Wawrzyniak** uhonorowany został nagrodą „Intergrafia -86". Inny łodzianin **Tadeusz Piechura** otrzymał na biennale nagrodę ufundowaną przez AWA w Łodzi.

Z NRD wrócił 70-osobowy Szkolno-Osiedlowy Chór „Fermata" przy Szkole Podstawowej nr 198. Zespół prowadzony przez **Andrzeja Wierzbowskiego** reprezentował Polskę na VII Międzynarodowym Festiwalu Pieśni Chóralnej, który odbył się w Halle pod hasłem „Być radosnym i śpiewać". Uczniowie z widzewskiej szkoły zajęli na festiwalu II miejsce.

PONAD 500 imprez: spektakli teatralnych, koncertów, wystaw plastycznych oraz dyskusji warsztatowych na wybrane tematy z udziałem czołowych przedstawicieli polskich środowisk artystycznych i działaczy kultury — oto roboczy bilans zakończonych 6 bm. **DNI KULTURY POLSKIEJ W NRD.** Była to największa dotychczas prezentacja polskiej kultury narodowej w NRD. Na scenach i estradach całego kraju wystąpiło 60 polskich zespołów oraz wielu solistów. W Berlinie, Rostocku, Dreźnie, Lipsku, Halle i Erfurcie koncertowała Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Krakowskiej, Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk", trio barokowe z Katowic oraz Halina Czerny-Stefańska, Kaja Danczowska, Waldemar Malicki i wielu innych wykonawców, których nazwiska znane są na całym świecie. Wydarzeniem artystycznym dużej rangi była prezentacja „Strasznego dworu" Stanisława Moniuszki na scenie lipskiego Opernhausu.

OGŁOSZONO listę nagrodzonych w roku 1986 nagrodą „Trybuny Ludu".

Wśród laureatów znalazł się łódzki pisarz — dyrektor i redaktor naczelny łódzkiego Oddziału KAW **Jerzy Wawrzak.**

J. Wawrzak, otrzymał nagrodę I stopnia w dziale za osiągnięcia w kształtowaniu i upowszechnianiu socjalistycznych wartości kultury i sztuki za powieść pt. „Gwiżdżąc na śmierć".

Gratulujemy!

Robiliśmy wszystko, co leżało w granicach naszych możliwości i uprawnień, począwszy od systematycznego doglądania prac nad dokumentami mobilizacyjnymi. Między innymi sprawdziliśmy stan samochodów przydzielonych naszemu korpusowi z resortu gospodarki narodowej zgodnie z planem mobilizacyjnym. Ludzie zajęci sprawami pokojowymi nie przywiązywali do tego należytej wagi. (Powiem od razu, że w związku z ciężką sytuacją, jaka się ukształtowała w strefie granicznej 22 czerwca, 9 korpus zmechanizowany nie otrzymał ani jednego samochodu z przewidzianych planem mobilizacji. Nawiasem mówiąc, mobilizację ogłoszono dopiero wtedy, kiedy korpus wyruszał już w pole).

Najbardziej niepokoił nas fakt, że upłynął maj, na dobre rozpoczął się czerwiec, a my wciąż nie otrzymywaliśmy sprzętu bojowego. Sprzęt szkoleniowy był niemal całkowicie wyeksploatowany, silniki kończyły swój żywot. Musiałem ograniczyć korzystanie z czołgów do celów szkoleniowych, obawiając się, że my czołgiści pójdziemy na wojnę w ogóle bez czołgów.

21 czerwca prowadziłem omówienie dowódczo-sztabowego ćwiczenia nocnego w ramach korpusu. Po zakończeniu zaproponowałem dowódcom dywizji, aby nazajutrz, w dzień wolny od pracy, wybrali się ze mną o świcie na ryby. Jednak wieczorem komuś z naszego sztabu przekazano wiadomość z Wojsk Ochrony Pogranicza, że na strażnicę przybył gefreiter z armii niemieckiej, Polak z Poznania, i oświadczył, że 22 czerwca Niemcy dokonają napaści na Związek Radziecki.

KONSTANTY ROKOSSOWSKI

Trzeba było wziąć na siebie odpowiedzialność

Wyjazd na ryby trzeba było odłożyć. Zatelefonowałem do dowódców dywizji i podzieliłem się z nimi otrzymaną znad granicy wiadomością. Omówiliśmy ją również u nas, w sztabie korpusu. Postanowiliśmy być w pełnej gotowości.

22 czerwca około godziny czwartej nad ranem oficer dyżurny doręczył mi telefonogram nadesłany ze sztabu 5 armii: otworzyć ściśle tajną kopertę operacyjną.

Mieliśmy prawo otworzyć ją tylko na polecenie przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych ZSRR lub ludowego komisarza obrony. A tymczasem telefonogram był podpisany przez zastępcę szefa oddziału operacyjnego sztabu armii. Poleciwszy dyżurnemu uzyskać potwierdzenie wiarygodności depeszy w armii, okręgu i w Ludowym Komisariacie Obrony, wezwałem szefa sztabu, mojego zastępcę do spraw politycznych i szefa wydziału specjalnego.

— Jakie jest wasze zadanie, towarzysze, jak mamy postąpić w tym wypadku?

Wszyscy mieli wątpliwości, podejrzewali jakąś prowokację. Oficer dyżurny zameldował, że łączność została przerwana. Nie odpowiada ani Moskwa, ani Kijów, ani Łuck.

Trzeba było wziąć na siebie odpowiedzialność i otworzyć kopertę.

Znajdująca się w niej dyrektywa brzmiała: natychmiast doprowadzić korpus do stanu gotowości bojowej i maszerować w kierunku: Równe, Łuck, Kowel. O godzinie czwartej rozkazałem ogłosić alarm bojowy, a dowódcom dywizji — Nowikowowi, Kalininowi i Czerniajewowi — przybyć na moje stanowisko dowodzenia.

Zanim oddziały znalazły się w rejonach alarmowych, dowódcy dywizji otrzymali wstępne dane o marszrutach i godzinie wymarszu. Sztab korpusu opracowywał rozkaz.

Wszystkie przygotowania odbywały się w szybkim tempie, ale spokojnie i planowo. Każdy znał własne miejsce i dokładnie wykonywał swoje obowiązki.

Trudności mieliśmy tylko z zaopatrzeniem materiałowym. Znikoma liczba samochodów. Brak materiałów pędnych. Ograniczona ilość amunicji. Czekać, aż wskażą z góry, gdzie i co można otrzymać? Na to nie było czasu. W pobliżu znajdowały się centralne magazyny amunicji oraz garnizonowy park samochodowy. Kazałem otworzyć magazyny. Opór intendentów trzeba było przezwyciężać odpowiednią perswazją i pokwitowaniami. Zdaje się, że nigdy nie napisałem tylu pokwitowań co w tamtym dniu.

Od rana A. Masłow usiłował połączyć się z kimś z przełożonych. Dopiero około godziny dziesiątej zdołał przeprowadzić kilkuminutową rozmowę z Łuckiem. Jeden z oficerów sztabu armii w pośpiechu powiedział, że miasto zostało po raz drugi zbombardowane, że łączność stale się urywa, a sytuacja na froncie nie jest mu znana.

Po pewnym czasie udało się uzyskać wiadomość, że Niemcy zbombardowali Kijów. I w tym momencie łączność się znowu urwała.

Nie mogliśmy się w żaden sposób skontaktować z dowództwem okręgu, któremu bezpośrednio podlegaliśmy. Przez cały dzień 22 czerwca nie otrzymaliśmy stamtąd żadnych rozkazów.

Około godziny jedenastej przeleciało nad nami, na wielkiej wysokości, ze dwadzieścia niemieckich bombowców. Artyleria przeciwlotnicza otworzyła do nich ogień.

Wszystkie te wydarzenia upewniły mnie, że działam w sposób właściwy. Dodało mi to otuchy, całą więc uwagę skupiłem na przygotowaniu wojsk.

Materiały pędne, amunicja, zapewnienie porządku w mieście, ochrona majątku pozostającego po odejściu wojsk, opieka nad rodzinami oficerów, sprawdzenie gotowości oddziałów, wiece żołnierskie — wszystko to trzeba było załatwić dosłownie w ciągu kilku godzin. A jednocześnie myślami człowiek był już tam, w przodzie. Przez długie lata służby w linii widziałem prawdziwą wojnę, poznałem ją w pełnym tego słowa znaczeniu i dlatego coraz bardziej zastanawiałem się nad tym, z czym spotka się nasz nieostrzelany żołnierz idąc do boju.

Oto szczegół, który może pomóc czytelnikowi należącemu do młodego pokolenia w zrozumieniu toku myśli dowódcy korpusu w pierwszym dniu tak nagle rozpoczętej wojny. Podczas przygotowań do marszu po alarmie zabroniłem wydawać oficerom i podoficerom patki i dystynkcje koloru ochronnego. Oficer powinien wyraźnie się wyróżniać w szeregu. Żołnierze muszą go widzieć. On sam również powinien odczuwać, że go widzą i obserwują, że pragną mu dorównać.

O godzinie czternastej, 22 czerwca korpus ruszył trzema marszrutami w ogólnym kierunku: Nowogród Wołyński, Równe, Łuck. Szosą z prawej strony maszerowała w jednej kolumnie 131 dywizja piechoty zmotoryzowanej, którą prowadził pułkownik Kalinin — wspaniały, bojowy dowódca, były kawalerzysta. Zgodnie z planem marszu dywizja ta wysuwała się znacznie do przodu. Kalinin zdołał, co prawda z wielkim trudem, posadzić całą swoją piechotę na samochody i czołgi. W ostatniej chwili zdążyliśmy podrzucić mu parę samochodów ciężarowych.

W centrum, schodami do tyłu, maszerowała 35 dywizja pancerna generała majora Nowikowa, doświadczonego czołgisty. Z lewej zaś strony — 20 dywizja pancerna. Zorganizowaliśmy rozpoznanie i ubezpieczenie.

Od chwili ogłoszenia alarmu, a także w czasie marszu nie widzieliśmy w powietrzu naszego lotnictwa. Niemieckie samoloty pojawiały się natomiast dosyć często: były to przeważnie bombowce, które przelatywały nad nami na znacznej wysokości i — z niezrozumiałych dla nas przyczyn — bez osłony myśliwców.

Wkrótce zrozumieliśmy, co to znaczy, zobaczyliśmy nasze rozbite i spalone samoloty, tak nieopatrznie ześrodkowane na lotniskach w strefie granicznej.

Przed wybuchem wojny korpus nasz miał prawie etatowy stan ludzi. Brakowało jeszcze sprzętu bojowego, a szkolenia nie doprowadzono do końca. W szczególnej jednak sytuacji można było z tymi żołnierzami iść do walki.

Nieszczęście polegało na tym, że korpus tylko z nazwy był zmechanizowany. Z rozgoryczeniem patrzyłem w czasie marszu na nasze zajeżdżone T-26, BT-5 i nieliczne BT-7, zdając sobie sprawę, że nie wytrzymają one dłuższych działań bojowych. Nie mówię już o tym, że nawet tych czołgów mieliśmy zaledwie trzecią część stanu etatowego. A piechota zmotoryzowana obu dywizji pancernych! Należnych jej samochodów nie miała, ale ponieważ nazywano ją zmotoryzowaną — nie miała również ani koni, ani wozów konnych.

Nie zajmowaliśmy się wtedy analizą i krytyką. Nie poddawaliśmy się ich demobilizującemu wpływowi, lecz staraliśmy się zebrać nasze siły w jedną bojową pięść, lepiej je zorganizować i godnie spełnić żołnierski obowiązek. Ale teraz, przekazując wspomnienia w celach dydaktycznych, można powiedzieć, iż w dyrektywie Sztabu Generalnego nie przewidziano, jak powinien działać korpus, jeśli wydarzenia wojenne zastaną go w stadium formowania, bez sprzętu bojowego i środków transportu. A o tym nie wolno było zapominać.

Dyrektywa dotyczyła pełnowartościowego zmechanizowanego związku taktycznego, dysponującego wszystkim, co jest konieczne do wykonania każdego zadania bojowego.

Musieliśmy już od samego początku wnosić niezbędne poprawki. Zmuszało do tego życie! Podstawowa część oddziałów korpusu — w istocie rzeczy piechota pozbawiona wszelkiej siły pociągowej — wykonała w pierwszym dniu pięćdziesięciokilometrowy marsz. Dla mnie fakt ów aż do tej pory stanowi przykład wytrwałości i ofiarności radzieckiego żołnierza. Ale ludzie zupełnie opadli z sił. Widziałem ich pod koniec marszu. Piechota, prócz osobistego oporządzenia, musiała nieść na plecach ręczne i ciężkie karabiny maszynowe, dyski i taśmy do nich, pięćdziesięcio- i osiemdziesięciodwumilimetrowe moździerze oraz amunicję. I jeszcze w taki upał.

Trzeba było zmniejszyć przemarsze dzienne do trzydziestu, trzydziestu pięciu kilometrów. W nocy omówiliśmy z Nowikowem i Czerniajewem wyniki pierwszego dnia i wyciągnęliśmy wnioski. Ustaliliśmy nowy porządek marszu dla naszych tak zwanych dywizji pancernych. W pierwszym rzucie — czołgi z desantem piechoty i częścią artylerii. Rzut ten maszerował skokami od rubieży do rubieży, odrywając się od piechoty, a następnie na nią czekając. Podstawowa część żołnierzy i artylerii maszerowała w drugim rzucie, według zwykłych zasad obowiązujących piechotę.

Dywizja piechoty zmotoryzowanej, wyposażona w samochody po stukilometrowym przemarszu osiągnęła pod koniec dnia, 22 czerwca rejon Równego, gdzie zatrzymała się na noc. Do tego czasu sztab korpusu nawiązał stałą łączność ze wszystkimi związkami taktycznymi, tak że pod tym względem sytuacja nie budziła niepokoju.

Rano 23 czerwca nadesłał meldunek pułkownik Kalinin. Jego dywizję chwilowo podporządkował sobie dowódca armii M. Potapow i postawił jej zadanie: wyjść nad Styr, zająć do końca dnia obronę na wschodnim brzegu rzeki, na odcinku Żydicze — Łuck — Młynów, i nie dopuścić, by Niemcy przełamali się na wschód. Dywizją zadysponowano z pominięciem dowódcy korpusu.

Z tego meldunku i innych materiałów wyłaniał się mglisty obraz wydarzeń na kierunku łuckim. W każdym razie stawało się jasne, że nieprzyjaciel zdołał przekroczyć granicę i znacznie posunął się naprzód.

Siły główne korpusu, nie zmieniając szyku marszowego, 23 czerwca nadal posuwały się pierwotnie wyznaczonymi marszrutami, wzmocniwszy rozpoznanie na skrzydłach.

W związku z tym, że Kalinin znajdował się daleko przed nami, postanowiliśmy nasze stanowisko dowodzenia wysunąć do przodu, na kierunek marszu 35 dywizji pancernej. Masłow wysłał w tym celu pluton saperów na samochodach, a my pojechaliśmy przyjrzeć się przeprawie oddziałów generała Nowikowa przez rzekę Horyń na południe od Równego.

Prom nie mógł zapewnić przeprawienia dywizji w wyznaczonym czasie. Wnieśliśmy poprawkę, polecając wykorzystać most pod miasteczkiem Hoszcza. Potem sztab nasz ruszył dalej. Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą baterię osiemdziesięciopięciomilimetrowych dział.

Droga prowadziła przez ogromne łany dorodnych zbóż. Nie pamiętam, kto pierwszy dostrzegł niepokojące zjawisko: to w tym, to w tamtym miejscu wśród morza kłosów ukazywali się i znikali dziwnie ubrani ludzie. Jeden w podkoszulku, inny — w chłopskiej odzieży i podartym kapeluszu słomkowym. Kazałem się zatrzymać, przyprowadzić ich i dowiedzieć się, co tu robią. W ten sposób po raz pierwszy spotkaliśmy się z „wychodzącymi z okrążenia". Należeli do rozmaitych pododdziałów. Wśród nich znaleźli się także dwaj żołnierze z plutonu saperów, których wysłaliśmy do przodu z zadaniem urządzenia stanowiska dowodzenia korpusu. Ich przede wszystkim przesłuchaliśmy. Jak twierdzili, pluton natknął się na niemieckie czołgi i motocyklistów, został zaatakowany i okrążony. Rzekomo niemal wszyscy żołnierze zginęli, zaledwie kilku zdołało uciec. Inni przesłuchiwani również wszelkimi sposobami usiłowali dowieść, że ich oddziały zostały rozbite, oni zaś sami cudem się uratowali i w obawie przed niewolą przebrali się, zamierzając w takiej odzieży dotrzeć do swoich. Strach górował w nich nad zdrowym rozsądkiem. Maskarada nie ratowała. Spotykaliśmy później trupy tak poprzebieranych żołnierzy, rozstrzelanych przez Niemców.

Pod koniec dnia spotkała nas jeszcze jedna niespodzianka, ale innego rodzaju. Na wschód od Zdołbunowa, z zagajnika odległego mniej więcej o trzy kilometry, wyszło na nas pięć niemieckich czołgów i trzy samochody z piechotą. Sztab przygotował się do walki. Bateria rozwinęła się, otrzymawszy zadanie otwarcia ognia na wprost. Niemcy wszystko to widzieli i, nie przyjmując walki, szybko zrejterowali do lasu. Fakt ten wielce zasmucił naszych artylerzystów. Taką mieli ochotę postrzelać do wroga!

Stanowisko dowodzenia trzeba było urządzić nieco bardziej na północ. Należało wyjaśnić sytuację i w zależności od niej przejść do działań, pozwalając wojskom chociaż trochę odpocząć po forsownych przemarszach i zaprowadzić porządek.

Gdzieś z przodu lub z boku powinny były się znajdować oddziały 19 i 22 korpusu zmechanizowanego, generałów Fieklenki i Kondrusiewa. Na poszukiwania wysłaliśmy grupy rozpoznawcze pod dowództwem oficerów ze sztabu korpusu. Z jedną z nich, jak zwykle na motocyklu, pojechał szef sztabu korpusu.

Ustaliliśmy, że Kondrusiew udał się w kierunku Kowla i jego oddziały przednie walczą już na północ od Łucka. Korpus Fieklenki maszeruje na Dubno.

Masłow po powrocie zameldował, że zdołał uzyskać kilkuminutowe połączenie z szefem sztabu Frontu, generałem Maksymem Purkajewem, który zdążył przekazać wiadomość, że korpus zostaje podporządkowany 5 armii z zadaniem ześrodkowania się w rejonie Klewań — Olyka.

— Co powiedział o położeniu na froncie?

— Nic nie powiedział. Prawdopodobnie sam nie wie dokładnie, gdzie i co...

Nasze oddziały maszerowały naprzód. Z przeciwnej strony, szosą Łuck — Równe, płynął bezładny strumień ludności cywilnej, ewakuującej się na wschód. Nad szosą teraz już często pojawiały się niemieckie samoloty. Bombardowały wojsko i uchodźców.

24 czerwca 9 korpus osiągnął rejon ześrodkowania i wszedł do walki.

131 dywizja piechoty zmotoryzowanej, po odrzuceniu za Styr oddziałów przednich nieprzyjaciela, które zdołały sforsować rzekę, prowadziła walki na rubieży Łucka i na południe od miasta, udaremniając podjętą przez wroga ponowną próbę przeprawienia się na wschodni brzeg Styru.

35 dywizja pancerna toczyła walki na południowy zachód od Klewania, mając przed sobą oddziały niemieckiej 13 dywizji pancernej.

20 dywizja pancerna o świcie 24 czerwca siłami czołowego pułku zaatakowała z marszu znajdujące się na biwaku w rejonie Olyki oddziały piechoty zmotoryzowanej niemieckiej 13 dywizji pancernej, która w rezultacie poniosła poważne straty; dywizja nasza wzięła jeńców i sporo zdobyczy wojennej. Już w tym pierwszym dniu pułkownik Czerniajew dowiódł, że ma prawdziwie żołnierską żyłkę. Jego oddziały, zająwszy obronę, przez cały dzień pomyślnie odpierały ataki nadciągających sił pancernych przeciwnika.

Stanowisko dowodzenia korpusu znajdowało się w rejonie Klewania. Następnego dnia wszystko powtórzyło się: uporczywe walki obronne na rubieży Łuck — Olyka oraz na południe od Klewania z czołgami i piechotą zmotoryzowaną dwóch niemieckich dywizji (14 i 13). Nieprzyjaciel dążył do przecięcia drogi Równe — Łuck i zdobycia Łucka. Dzięki bohaterstwu żołnierzy oraz męstwu i umiejętnościom oficerów nasze oddziały udaremniły te próby. Dopiero pod wieczór zaczęło się uspokajać. W tym okresie Niemcy jeszcze nie kontynuowali natarcia w nocy. Po zachodzie słońca zatrzymywali się na odpoczynek, znacząc linię frontu łunami podpalonych wsi.

26 czerwca, zgodnie z rozkazem dowódcy armii Potapowa, korpus wykonał przeciwuderzenie w kierunku Dubna. W tym samym kierunku, na lewo od nas nacierał 19 korpus zmechanizowany, na prawo — generał Kondrusiew. Nikomu nie polecono koordynowania działań trzech korpusów. Do walki rzucano je częściami, z marszu, przy czym nie uwzględniono stanu wojsk mających za sobą dwie doby zmagań z silnym przeciwnikiem, nie brano pod uwagę odległości dzielącej je od rejonów przypuszczalnego zetknięcia się z nieprzyjacielem.

Okres był gorący, trudności — wyjątkowe, a niespodzianki czyhały zewsząd. Lecz spójrzmy na dyrektywę Frontu: „Wykonać potężne przeciwuderzenie na skrzydło zgrupowania nieprzyjacielskiego, które wdarło się w nasze ugrupowania bojowe, zniszczyć je i przywrócić poprzednie położenie". Czy dyrektywa ta uwzględniała sytuację na odcinku, którego dotyczyła, nie mówiąc już o sytuacji w dniu 26 czerwca na kierunkach żytonnerskim, włodzimiersko-wołyńskim i równieńskim, na których Niemcy wykonywali swe główne uderzenie? Oczywiście, nie uwzględniała. Odniosłem wrażenie, że w tym wypadku dowódca Frontu i jego sztab po prostu przepisali dyrektywę Sztabu Generalnego, który mógł nawet nie znać prawdziwego położenia. Słuszniejsze byłoby wzięcie na siebie odpowiedzialności i postawienie wojskom realnych zadań, dostosowanych do położenia, jakie się ukształtowało w chwili otrzymania dyrektywy Sztabu Generalnego.

Korpusy nadal toczyły ciężkie walki z nieprzyjacielem, który stale zwiększał nacisk. Prócz działających w tym rejonie dywizji pancernych i zmotoryzowanych zaczął wprowadzać do walki dywizje piechoty.

Łączność z sąsiadami wciąż się urywała. Dowiedzieliśmy się jednak, że 22 korpus zmechanizowany sam został zaatakowany przez liczne siły nieprzyjaciela, poniósł straty i został odrzucony na północny wschód od Łucka. Już na początku walki zginął generał Kondrusiew, a dowództwo objął szef sztabu, W. Tamruczi. Także nasz sąsiad z lewej strony — 19 korpus — w momencie gdy usiłował rozpocząć natarcie, został zaatakowany przez nieprzyjaciela, z rejonu Dubna, i odrzucony w kierunku Równego, gdzie prowadził walki obronne.

Wieczorem na nasze stanowisko dowodzenia przyszedł dowódca dywizji pancernej z 22 korpusu zmechanizowanego. Był całkowicie wyczerpany nerwowo, miał obandażowaną rękę. Ton jego meldunku zmusił mnie do dość ostrej reakcji:

— Natychmiast skończcie z banialukami o zagładzie korpusu! Dwudziesty drugi walczy, dopiero co rozmawiałem z Tamruczim. Idźcie i szukajcie swoich oddziałów, przyłączcie się do nich...

Udaliśmy się z grupą oficerów sztabu na wzgórze, które znajdowało się w rejonie rozmieszczenia walczących oddziałów 20 dywizji pancernej. Stąd obserwowaliśmy przemarsz ogromnych kolumn samochodów, czołgów i artylerii nieprzyjaciela z Dubna w stronę Równego. Od południa w kierunku naszego odcinka obrony również szły nieprzerwanie coraz to nowe kolumny.

Wszystko, co mógł uczynić dowódca korpusu, mając tak słabe siły pancerne, to oprzeć się na artylerii. Tak też postąpiłem. Nie mogę sobie odmówić przyjemności przypomnienia pewnego jaśniejszego momentu z okresu owych trudnych nad wyraz walk.

Znów otrzymaliśmy rozkaz wykonania przeciwuderzenia. Jednak nieprzyjaciel miał nad nami tak dużą przewagę, że na własną odpowiedzialność postanowiłem nie wykonać przeciwuderzenia, lecz spotkać nieprzyjacielskie oddziały pozostając w obronie. W tamtym lesistym i bagnistym terenie Niemcy maszerowali tylko większymi drogami. Osłoniwszy dywizją Nowikowa wybraną przez nas rubież na szosie Łuck — Równe, przerzuciliśmy tu z lewego skrzydła 20 dywizję pancerną wraz z jej pułkiem artylerii, wyposażonym w nowe siedemdziesięciopięciomilimetrowe działa. Szef sztabu zaplanował, a Czerniajew w szybkim tempie zrealizował ów manewr.

Działa ustawiliśmy w rowach przydrożnych i na wzniesieniach koło szosy, a część na koronie drogi — do strzelania na wprost.

Nadeszła chwila spotkania. Niemcy nadciągali liczną grupą w kształcie rombu. Na czele motocykliści, za nimi samochody pancerne i czołgi.

Widzieliśmy z punktu obserwacyjnego, jak na naszą 20 dywizję pancerną szły imponujące siły nieprzyjaciela. I zobaczyliśmy, co się z nimi stało. Artylerzyści otworzyli ogień, kiedy Niemcy podeszli już blisko. Na szosie pozostała potworna mieszanina — motocykle, wraki samochodów pancernych, trupy. Siła bezwładności nacierających wojsk dostarczała naszym działom wciąż nowych celów.

Nieprzyjaciel poniósł tu wielkie straty i został odrzucony. Wykorzystując piękny sukces Czerniajewa, generał Nowikow ruszył do przodu i zdołał zająć interesujące nas wzgórze.

Do sztabu korpusu nadesłano ciekawe zeznania wziętego do niewoli niemieckiego pułkownika, który w czasie przesłuchania między innymi powiedział:

— Macie doskonałych artylerzystów, wasza artyleria jest potężna, a duch rosyjskiego żołnierza bojowy.

Zmusiliśmy nieprzyjaciela, by dość długo, jak na tamte czasy, dreptał w miejscu.

Z książki „Żołnierski obowiązek"

Polemiki • Listy • Opinie

POLCON

Fantastyka doczekała się nareszcie realizatorów dla imprez skupiających fanów S-F. Tak wielkiej imprezy dotąd nie było. Przyjechało na „POLCON" do Katowic 550 osób z około 27 klubów fantastyki w całej Polsce. A przecież nie tylko przedstawiciele klubów uczestniczyli w tym olbrzymim konwencie.

Jedno jest zastrzeżenie. Jeżeli się chciało uczestniczyć we wszystkich imprezach trzeba się było rozpięcio- albo rozsześciorzyć. Cztery sale video, sala kinowa i zabawki komputerowe uniemożliwiały jakiekolwiek bliższe zapoznanie się uczestników. Młodzież klubowa przebiegała galopem z „Firestartera" na „Soylent Green", zaś niezdecydowani, którzy w rodzinnym klubie oglądali niewiele, zasypiali na krzesłach i fotelach w środku „Zombie", zastanawiając się potem czy Malcolm McDoell kreuje w „Mechanicznej pomarańczy" człowieka — zombie, czy też może zaraz zamieni się w czarną panterę.

Z jednej strony ta niesamowita ilość imprez zachwycała, ale z drugiej zmuszała do przemyśleń. Rozumiem: 27 klubów, uczestnicy indywidualni, kilka osób z prasy; jednym słowem olbrzymia ilość ludzi. Ale czy fantastykę należy traktować tak konsumpcyjnie jak robi to SKF? Konwent ma być miejscem wymiany poglądów i doświadczeń w pracy klubowej. A tu, owszem, można zobaczyć, jak musi chodzić dobrze naoliwiona maszyna podawania ludziom masy informacyjnej, lecz w sposób całkowicie niestrawny.

Można było na „POLCON-ie" kupić wszystko, co związane z fantastyką. Nieźle wydane fanziny, trochę wydawnictw książkowych (m. in. Gordona Dicksona „Smoka i Jerzego", czy Henry Kuttnera zbiór „Czego ci trzeba"). Również przeźrocza w bardzo dużym wyborze reprodukcji: Achilleos, Foss, Beautis, Vallejo (po kilka zestawów 12-slajdowych). Niezależnie od oficjalnej księgarni przeprowadzane były giełdy książek i prac graficznych. Dużo śmiechu wywołała działalność jednego z naszych kolegów z Czechosłowacji, który starał się kupować książki na giełdzie za jak najwyższą cenę. Tak na przykład za trylogię Tolkiena, po wielu usilnych staraniach udało mu się zapłacić jedenaście tysięcy złotych (słownie!) gotówką.

Ale wracajmy do organizacji. Kolej chyba na wydawnictwo okolicznościowe. 160-stronicowy (!) Informator Konwentowy POLCON '86. Zawiera coś dla każdego. Jest nie tylko szczegółowym przewodnikiem po labiryntach całej imprezy, ale jest w nim również Mały Leksykon Filmów (w założeniu rzecz niezmiernie potrzebna, choć na pierwszy rzut oka widać, że pisany w wielkim pośpiechu). Są nominacje do nagrody im. J. Zajdla i nominacje do nagrody „Złoty Meteor" (wbrew pozorom jest to nagroda dla najlepszych autorów).

Dywagując: cały polski fandom obserwował poczynania członków Rady Głównej Polskiego Związku Miłośników Fantastyki. Spodziewano się, że ulubieniec fanów, Maciej Makowski będzie darł włosy z głowy na widok imprezy zrobionej dobrze, w przeciwieństwie do imprez RG PSMF. Otóż nie: nasz ulubieniec zachował spokój, ale mówić już nie mógł.

Interesująca jest rubryka: „Kluby o sobie". Krótka historia siedmiu klubów w walce z PSMF. Następuje po nich seria charakterystyk ciekawszych autorów zaproszonych na POLCON. Naturalnie potem seria usprawiedliwień na temat niemożności przyjazdu do Polski. Szalone zdziwienie ukazało się na twarzach uczestników na widok Jamesa Gunna, który nie odmówił, a nawet przyjechał.

Dwa opowiadania Brunnera i Bułyczowa oraz kilka nierealnych zapowiedzi wydawniczych mniej więcej kończą numer, choć podsumowaniem jest część dla szaradzistów i spis uczestników, którego tu jednakże nie będziemy podawać. Można być rzeczywiście pełnym podziwu dla pracy kolegium redakcyjnego. No, ale jak się dysponuje takimi funduszami...

Jednym słowem, mimo wszystkich zastrzeżeń co do komercjalizmu i braku więzi w fandomie należy imprezę pochwalić i postawić za wzór (tylko nie pod względem ilości uczestników). Gigantyczna praca Piotra Kasprowskiego i ekipy ŚKF-u dała znakomite owoce. Mam nadzieję, że finansowo klub także sobie nie krzywdował.

Za rok następny POLCON. Prawdopodobnie w Warszawie...

MICHAŁ BORZECKI

WITAJ REKLAMO!

Zaczęło się bodaj od sławnych perfum „Masumi" i reklamy Coca Coli, której piana niemal wylewała się z ekranu. A teraz, całkiem niedawno — za sprawą przedsiębiorstw zagranicznych i polonijnych — pojawiła się na telewizyjnym ekranie cała seria reklam: soków, sosów, kosmetyków, samochodów i środków owadobójczych.

Dziś każdy telewidz wie, co to „Prusakolep", bo w sobotnie wieczory, tuż przed kinem nocnym (chyba w ramach preludium do horroru) pewna miła pani oferowała tym, **„którzy jeszcze mają kłopoty z prusakami i karaluchami"**, ów skuteczny z pewnością środek. Z niepokojem rozgląda się człowiek po domu, czy do niego nie przywędrowały uciekające przed nęcącymi pułapkami robaki i czy na wszelki wypadek nie kupić paru pudełek, mimo że reklama to niezbyt udana.

Jak reklama, to niech będzie inteligentna, dyskretna, dowcipna — tego oczekujemy. Rodzaj subtelnego drażnienia — rzekłbym ambicjonalnego łaskotania — przyniosły dwa obrazki reklamujące czar „czterech kółek". Wpierw firma „Micromex" oferowała pośrednictwo w zakupie samochodu za twardą walutę, pokazując scenkę rodzajową, w której zwykły obywatel z rodzinką pakuje walizy do ślicznego Golfa czy Charady i wyjeżdża na weekend, zapewne do najzwyczajniejszej willi pod miastem.

Znana firma Nissan niemal rutynowo, lecz dalece dyskretniej zaofiarowała swe usługi: ulicami Paryża czy Brukseli jedzie piękny Datsun, za kierownicą nienagannie ubrany pan, śliczne dziewczyny oglądają się za lśniącą limuzyną, a za chwilę znajomy kontur Polski i zaznaczone na mapie miejscowości z serwisem firmy Nissan. No cóż, pozostaje tylko życzyć szerokiej drogi tym, którzy nie próbowali szczęścia w losowaniu „maluchów". Pamiętajmy, że bez reklamy nie ma tzw. demokratyzacji luksusu i zapewne usłyszę gdzieś w zatłoczonym, ogrzewanym przez pasażerów tramwaju dyskusję dwóch młodzieńców lub dojrzałych panów, o tym, który wóz warto byłoby kupić, gdyby...

Klasyczne chwyty reklamowe stosuje (chyba skutecznie?) przedsiębiorstwo Comindex — widać robotę profesjonalistów. Ponoć, o wiele łatwiej napisać dziesięć bogatych w efekty sonetów, niż jedno skuteczne hasło reklamowe, a to porównanie z poezją, choć może brutalne, nie jest bynajmniej bezzasadne. Reklama od dawna i często sięga po metaforę — nawet, jak twierdzą niektórzy, przyswoiła sobie uświęcone tradycją środki języka poetyckiego.

Zbyt wieloma przykładami na gruncie naszej reklamy nie dysponuję, lecz choć przez chwilę zatrzymajmy się przy haśle: **„Soki Billy są jak świeże owoce"**. Niby zwyczajne porównanie, lecz kryjące w sobie poetycką magię. Rzeczywistość marzenia przewyższająca zwyczajność, cud objawienia się soków, które są jak świeże owoce, nie zaś z nich sporządzone, ewokacja stanu naturalnego produktu, który w istocie jest wytworem człowieka — to dyskretna zamiennia, swoisty chwyt poetycki. Ilustracją tego hasła mógłby być plakat przedstawiający drzewo cytrusowe, na którym „rosną" zgrabne buteleczki soków Billy. Pozostaje tylko naiwne pytanie dziecka: **„Tato, a jak smakują świeże owoce?"**.

Nie od dziś wiadomo, że reklama (głównie telewizyjna) zawiera elementy dramatu, wykorzystuje dramatyczną formę. W badania nad obrazkami reklamowymi wplątano nawet Arystotelesa, usilnie poszukując struktury antycznej tragedii w sprasowanych do kilkudziesięciu sekund telewizyjnych minidramatach.

Zadatki dramatyczne, mimo braku dialogu, posiada z pewnością reklama sosów Billy. Ekspozycja: pan degustujący niezbyt smaczną rybę (problem jakby znany); kilkusekundowe rozpoznanie — olśnienie i zwrotny punkt akcji (peripeteia) — sos Billy!; „akt trzeci", szczęśliwe rozwiązanie — smoking, srebrny półmisek, wysmażona ryba z plastrem cytryny (?!) i natką, uśmiech radości. Sosy Billy odmieniają zły los na modłę „deus ex machina". Sosy Billy („w każdej chwili!") rzeczywiście dostępne, tylko z rybami trochę gorzej. Ciekawe, jak przyprawy odmienią smak smutnego śledzia owiniętego w gazetę? Może przy okazji odmienią sytuację na rynku rybnym, bo niedługo świątecznymi karpiami przyjdzie znaczyć mijające lata.

Reklama zmysłowa sięga po wątki erotyczne — a jakże, i taka zawitała na nasz ekran (perfumy „ELLE", seria kosmetyków „My love"). Te obrazki cieszą oko — ładnie sfilmowane, w rozproszonym świetle intymne scenki, stanowią niewątpliwie wartość samą w sobie. Pachnidła pozostają jedynie subtelnym dodatkiem.

Żelazną zasadę kupiecką wyzyskała wspomniana firma Comindex oferując dezodoranty dla panów. Reklama wraz z towarem rozpowszechnia sposób i styl życia, dąży do postawienia potencjalnego klienta w sytuacji wyboru i dyskretnie podpowiada co dla kogo. Charakter i temperament mężczyzny określony z nazwy i w obrazie modelem kapelusza — pozostaje dobrać odpowiedni zapach. Osobnik frywolny — Panama, solidny — Stetson, romantycznie usposobiony — Eden, wreszcie Borsalino — czyli filmowy gangster rodem z Korsyki, słowem brutal.

Co dla pań?

Przed kolejkowymi postojami i po skończonych zakupach najlepszy dezodorant do stóp — Per pedes. Na noc, eliksir młodości — znakomity krem prosto z Paryża (cena wywoławcza 2100 zł).

Tak, z grubsza biorąc, wygląda stan reklamy w polskiej TV. Może za mało jeszcze na wnikliwe analizy, ale zjawisko wyraźnie zaczyna rysować się na horyzoncie. Jeśli idzie o opinie rodzimej klienteli, sądzę, że są zróżnicowane. Od optymistycznych — musi wszak cieszyć fakt pojawienia się reklamy, bo ta występuje tylko tam, gdzie jest towar — do sceptycznych. Te ostatnie nie dziwią, bo zaprezentowana wyżej reklamowa hybryda (Prusakolep — zagraniczne samochody — soki — sosy — dezodoranty, tudzież szwajcarska Omega i herbatki ziołowe z Pewexu) może wywołać pobłażliwy uśmiech, gdy weźmiemy pod uwagę występujące jeszcze trudności i uciążliwości codziennego życia.

Za pozornie błahą sprawą telewizyjnych reklamówek kryje się — moim zdaniem — symptom przemian reformowanego polskiego rynku. Powinna występować w coraz szerszej skali reakcja łańcuchowa: towar — reklama — zadowolenie kupujących, a dalej korzystna dla nas konkurencja cen i wzrastająca jakość produktów, ponadto zapobiegliwość przedsiębiorstw (ciekawe, kiedy staną do reklamowych bojów rodzime firmy) i ogólny wzrost kultury handlu. Reklama winna być ozdobą współczesnego życia, manifestacją optymizmu i radości, rozrywką dla oka i umysłu, sztuką użytkową, zmieniającą otoczenie, „estetyczną kąpielą" — jak mówią niektórzy. Dlatego trzeba obserwować poczynania specjalistów od reklamy, by sprostali społecznym wymaganiom. Być może należałoby w zarodku kształtować styl i poziom reklamy „made in Poland", zaprosić do współpracy artystów plastyków, filmowców, ludzi pióra. Wszak sam Włodzimierz Majakowski z lubością układał wierszowane slogany do plakatów reklamujących m. in. smoczki dla dzieci i margarynę. Wstępnie można zapalić neony (choćby te na Piotrkowskiej), ożywić barwą szare miasta, zadbać o witryny i wnętrza sklepów oraz powracać do starej dewizy **„klient nasz pan"**.

ARKADIUSZ GRZEGORCZYK

„O GAŁĄZKĘ TOPOLI"

Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli i Wydział Kultury Urzędu Miejskiego w Zduńskiej Woli ogłaszają konkurs na wiersz lub poemat o tym fabrycznym mieście, położonym na ziemi sieradzkiej. Konkurs „O gałązkę topoli" nawiązuje do przeszłości i współczesnego krajobrazu miasta, którego topolowy drzewostan ma odbicie w naszej poezji (m. in. Bogdan Ostromęcki, Jan Koprowski, Rafał Orlewski).

Organizatorzy zamierzają wartościowe pokłosie tego konkursu włączyć do przygotowywanej do druku antologii wierszy o zduńskowolskim grodzie. W konkursie mogą brać udział poeci różnych pokoleń, niezależnie od miejsca zamieszkania i uczestnictwa w związkach twórczych.

Prace konkursowe (do 5 wierszy), opatrzone godłem, należy nadsyłać w 3 egzemplarzach maszynopisu do **30 października 1986 r.** pod adresem: **Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli, ul. Łaska 12, 98-220 Zduńska Wola.**

Na nagrody i wyróżnienia przeznacza się 30 tys. zł Rozdysponowanie tej kwoty powierzy się jury, z tym, że I nagroda nie może być mniejsza niż jedna trzecia całej puli.

„CZERWONA RÓŻA"

Klub Studentów Wybrzeża ŻAK oraz Akademickie Biuro Kultury i Sztuki ZSP „Alma-Art" w Gdańsku ogłaszają XXVII Ogólnopolski Konkurs Poezji Społecznie Zaangażowanej o nagrodę „Czerwonej Róży". Konkurs ma charakter otwarty. Mogą w nim wziąć udział autorzy niezrzeszeni i członkowie związków twórczych.

Zestaw 3 wierszy lub poemat (ilość zestawów jednego autora — dowolna) w 4 egz. maszynopisu opatrzonego godłem wraz z zapieczętowaną kopertą zawierającą personalia autora, należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do **15 listopada 1986 r.** pod adresem: **Klub Studentów Wybrzeża ŻAK, 80-827 Gdańsk, ul. Długa 57.**

Utwory zgłaszane na konkurs nie mogą być wcześniej publikowane.

Jury konkursu, którego skład zostanie podany w terminie późniejszym, przyzna następujące nagrody:

— nagroda główna — 25.000 zł oraz statuetka „Czerwonej Róży".

— pierwsze wyróżnienie — 20.000 zł,

— drugie wyróżnienie — 15.000 zł.

Jury XXVII Konkursu „Czerwonej Róży" przyzna też nagrody honorowe w wysokości 20.000 zł:

— „Peleryny" — za najlepszy debiut poetycki roku,

— „Pierścienia" — za całokształt twórczości poetyckiej,

— „Pióra" — za twórczość krytycznoliteracką,

— „Pegaza" — za twórczość przekładową.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie o nagrodę „Peleryny" jest nadesłanie tomiku poetyckiego przez autorów, wydawców, związki twórcze, instytucje kulturalne.

Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo publikowania nagrodzonych utworów. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone podczas „Spotkań Jesiennych" w KSW ŻAK.

„W ŚRODKU POLSKI, W ŚRODKU ŻYCIA'86"

Łódzki Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, Krajowa Agencja Wydawnicza Oddział w Łodzi, redakcja tygodnika „Odgłosy" organizują regionalny konkurs dziennikarski: **„W ŚRODKU POLSKI, W ŚRODKU ŻYCIA '86".**

I. Cele konkursu: a) dziennikarska dokumentacja współczesności we wszystkich aspektach; b) inspirowanie ambitnego reportażu, artykułu publicystycznego, wywiadu; c) stworzenie dodatkowych możliwości wypowiedzi publicystom, których w macierzystych redakcjach wiążą niekiedy rygory objętości materiału; d) zachęty do doskonalenia warsztatu zawodowego.

II. Tematyka dowolna: społeczna, ekonomiczna, kulturalna, partyjna, młodzieżowa, obyczajowa, światopoglądowa, rolna.

III. Organizatorzy oczekują prezentacji: a) faktów i zdarzeń znaczących dla regionu; b) ludzi czynu — zarówno już znanych, jak i cichych bohaterów, których nazwiska nie trafiły do gazet, radia czy telewizji; c) szlachetnych inicjatyw, ale także (jeżeli się zdarzyły) zmarnowanych okazji i nie docenionych jednostek; d) przykładów bezinteresownej życzliwości (ale również zasługujących na napiętnowanie); e) zrealizowanych aspiracji, ale i rozczarowań; f) kształtowania postaw jednostek i grup środowiskowych.

IV. Regulamin konkursu:

1. W konkursie mogą wziąć udział wszyscy dziennikarze z województw: miejskiego łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego.

2. Publikacje powinny przedstawiać problematykę wymienionych województw oraz tej części płockiego, do której dociera prasa łódzka; prezentować ludzi związanych z naszym regionem; mieć odniesienie do zdarzeń i faktów z 1986 r.

3. Każdy autor może złożyć dowolną ilość prac.

4. Rozpatrywane będą wyłącznie publikacje nigdzie nie ogłaszane.

6. Objętość — do 20 stron maszynopisu (60 znaków w wierszu, 30 wierszy na stronie).

6. Nagrody (ufundowane przez SD PRL, KAW i Łódzkie Wydawnictwo Prasowe):

— I — 40 tys. zł,

— dwie II — po 30 tys. zł,

— dwie III — po 20 tys. zł,

— dwa wyróżnienia — po 10 tys. zł.

Jury może dokonać innego podziału nagród.

7. W wypadku mniejszej liczby nagrodzonych prac niż wynosi suma nagród — nie wykorzystana kwota zostaje przeniesiona na rok następny, z przeznaczeniem na ten sam cel.

8. Każda praca powinna być umieszczona w zamkniętej kopercie opatrzonej godłem. W drugiej kopercie, z identycznym godłem, należy umieścić kartę z imieniem i nazwiskiem, adresem albo nazwą redakcji.

9. Publikacje na konkurs — w 3 egzemplarzach — należy dostarczyć do Zarządu Oddziału Łódzkiego SD PRL do **31 grudnia 1986 r.** Na kopertach należy napisać: Konkurs „W środku Polski, w środku życia '86".

10. Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi w styczniu 1987 r., w ramach uroczystości związanych z rocznicą wyzwolenia regionu.

11. Jeżeli konkurs spełni oczekiwania organizatorów, istnieje możliwość opublikowania najciekawszych prac (nie tylko nagrodzonych) w wydawnictwie książkowym lub ich druku w „Odgłosach".

12. Ewentualne inne kwestie związane z konkursem, nie wymienione w regulaminie, rozstrzyga Jury.

Łódź, 2 czerwca 1986 r.

„SEKS NA FALACH"

Proszę o umieszczenie w najbliższym numerze „Odgłosów" następującego listu:

Od wielu lat drukuję na łamach „Odgłosów" swoje utwory. Wielekroć Redakcja skracała moje teksty, a moje prośby, aby tego nie czynić bez porozumienia ze mną pozostawały i pozostają do dziś bez dalszego ciągu.

W numerze 24 (1472) z dnia 14 czerwca br. wydrukowano moje wrażenia z Hamburga pod tytułem „Seks na falach" skracając o wiele zdań początek i koniec tekstu. W rezultacie zachwiane zostały akcenty treściowe — z całego Hamburga została tylko pornografia, a tytuł stracił jakikolwiek sens.

Ja wiem — w podobnym sporze autor nigdy nie wygra z Redakcją — może najwyżej bezsilnie protestować, co niniejszym czynię, z nadzieją, że moje przyszłe teksty — o ile takie będą — potraktuje Redakcja z mniejszą niż dotychczas niefrasobliwością.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

RYSZARD NAKONIECZNY

Krajobraz po bogach

Na placu kamienne słońce, nieruchome, w górze, słońce ogniste i wirujący czas; ruch jest słońcem a słońce jest kamieniem.

O. Paz „W Uxmal".

„Oto opowieść o tym, jak wszystko znajdowało się w zawieszeniu, w spokoju, w ciszy: wszystko nieruchome, ciche, a przestrzeń nieba pusta.

Oto pierwsza opowieść, pierwsze opisanie. Nie było jeszcze człowieka ni zwierzęcia, ptaków, ryb, krabów, drzew, kamieni, pieczar, wąwozów, ziół ani lasów: jedno tylko niebo istniało". — Tak brzmi początek „Popol Vuh", Księgi Rady Narodu Quichè.

„Nie było jeszcze człowieka..." Ale wszystko na niego czekało, on miał być celem ostatecznym, bez niego przecież nie mogliby istnieć nawet bogowie. Zanim jednak się pojawił, musiał urodzić się człowiek — Bóg-Quetzalcoatl. Stało się to dnia 9 Wiatr, roku 10 Dom — jak zapisano w „Kodeksie Nutall". Quetzalcoatl wyszedł z brzucha kamienia jadeitu, kamienia perłowego, kamienia kwarcu, kamienia ze strzały, kamienia tygrysa, lwa, żółwia, pszczoły, kamienia mieniącego się, kamienia nieba, kamienia skręconego... A kiedy ukończył dziesięć lat zstąpił na ziemię i podniósł z niej niebo wody. Od tego momentu grunt był przygotowany. Ale konstrukcja człowieka szła bogom znacznie trudniej niż potem człowiekowi konstrukcja bogów. Aż dwie pierwsze próby okazały się zupełnie chybione: człowieka z gliny bogowie musieli własnoręcznie zniszczyć (warto zauważyć, że Bóg chrześcijański go zaakceptował i kto wie czy w tym właśnie boskim lenistwie i niechęci do dalszych prób nie kryje się tajemnica naszej niedoskonałości), na człowieka z drewna spuścili potop (zbieżności między różnymi wierzeniami są już od dawna oczywistością; niektóre elementy pojawiają się uparcie wszędzie, choć nie zawsze w zgodzie z logiką — drewno unosi się na wodzie, człowiekowi z drewna potop nie powinien więc zagrażać — ale w końcu wiara i logika to sfery zupełnie różne).

DOPIERO CZŁOWIEK Z KUKURYDZY

mniej więcej się udał, choć przed wypuszczeniem na szerokie wody trzeba mu było nieco przyćmić wzrok — zabieg w praktyce ogromnie pożyteczny, o którym też zresztą zapomniał Bóg chrześcijan większości swoich poddanych odbierając zdolność widzenia w ogóle, a nieliczną garstkę obdarowując nią w nadmiarze.

Na tym skończyła się piękna mitologia kodeksów. Czas przestał biec dookoła i ruszył naprzód; zaczęła się ekonomia i polityka, zaczęły się wahania i strach, zaczęło się poszukiwanie bezpieczeństwa za wszelką cenę, coraz mniej rzeczy było jasnych i prostych — mit zmienił się w historię. *„Niech nie padają ani wchodząc, ani schodząc. Niech nie napotkają na przeszkody za sobą ni przed sobą ani rzeczy która by im zadała cios. Daj im dobre drogi, piękne, równe drogi"* — modlili się w imieniu swoich współplemieńców kapłani, wznosząc twarze ku niebu... i zapominając, że nastał także czas niespełnionych modlitw. Piękne i równe drogi miały prowadzić ludzi tylko przez mgnienie oka (choćby to mgnienie trwało sześć wieków), potem jedna po drugiej zaczęły się urywać, aż wreszcie urwały się zupełnie.

Uczeni do dziś zastanawiają się nad przyczynami gwałtownego krachu wspaniałych cywilizacji prekolumbijskich, głównie Majów, na długo przed przybyciem do Meksyku pierwszych Hiszpanów. Jest ich tak wiele, że w gruncie rzeczy — jak zwykle w takich sytuacjach — nie ma żadnej. Jedno jednak wydaje się pewne: jakakolwiek presja zewnętrzna — szczególnie w przypadku cywilizacji doliny rzeki Usumacinta w dzisiejszej prowincji Chiapas — nie była tu kwestią decydującą. Za gwałtowny upadek swoich kultur w przeważającej części odpowiedzialni są sami Indianie. Tym bardziej smutno wyglądają pustka i ruiny wspaniałych niegdyś miast tworzonych na miarę najwyższych aspiracji człowieka, który jeszcze miał odwagę zmierzyć się z nieznanym i chciał tę walkę wygrać. Dopóki wierzył, że nieznane może przynieść mu wspaniałe dary — choć nie bez ryzyka, wysiłku i wyrzeczeń — szedł do przodu, a kiedy obrócił się w stronę znanego, uznał, że może przewidzieć przyszłość i wybrać wariant bez ryzyka, wysiłku i wyrzeczeń — choć nie obiecujący zbyt wiele — zatrzymał się i zniweczył wszystko. Hiszpanom w istocie zostały tylko strzępy; to, co dało się schować do kufrów. Reszta przepadła.

„Światło trwa,
czas opróżnia się z minut.
Ptak zatrzymał się w powietrzu."

O. Paz „W Uxmal".

Liczba kwalifikowanych stref archeologicznych w Meksyku, takich, które wymieniane są w przewodnikach, sięga kilku setek. Razem z mniej znaczącymi, to znaczy takimi, którymi archeolodzy nie zdążyli się jeszcze dostatecznie zainteresować, można by ich naliczyć dziesiątki tysięcy. W zasadzie niemal

KAŻDY WIĘKSZY KOPIEC

czy kwartał zwrotnikowej selwy, może kryć w sobie skarby — i to nie tylko w znaczeniu metaforycznym, ale i całkiem dosłownym. Może to już jeden z ostatnich terenów tego typu na ziemi.

W roku 1956, kiedy wszystko co najważniejsze wydawało się już dawno wykopane i zbadane, ekspedycja Uniwersytetu w Tulane rozpoczęła rutynowe prace w Dzibilchaltun, koło Mèridy. Spodziewano się co najwyżej jakiejś kolejnej przeciętnej osady, a odkryto największy ośrodek, jaki kiedykolwiek wznieśli Majowie. Nieco wcześniej podobna niespodzianka zdarzyła się archeologom w Mayapàn. Nikt nie może zaręczyć, że to już koniec, że cuda przestaną się zdarzać; znacznie gorzej z ludźmi, którzy mieliby dostatecznie dużo entuzjazmu aby w nie uwierzyć i dostatecznie dużo odwagi, aby za nimi pójść. Bez nich niewiele da się zrobić.

Historia największych odkryć osad prekolumbijskich, to historia snów takich właśnie ludzi. John Lloyd Stephens pierwszy po tysiącu lat wkroczył do Palenque, Chichén-Itzà, Uxmalu, Kabah, Labny i Sayil. Edward Herbert Thompson dogłębnie zbadał tajemnice Chichèn-Itzà, głównie mieszczącego się tam Świętego Źródła. Giles H. Healey ukazał światu freski Bonampak. Alberto Ruz Lhuiller dotarł do słynnej płyty grobowej w Świątyni Inskrypcji w Palenque. Alfonso Caso położył nieoszacowane zasługi w Monte Albàn...

Tylko dwaj ostatni byli zawodowcami — i to też zupełnie nietypowymi. Trzej pierwsi to amatorzy — prawnik, dyplomata i fotograf — którzy znaleźli inspiracje w bibliotekach, jak niegdyś Schliemann u Homera, i gotowi byli poświęcić wszystko, łącznie z życiem, aby pójść do końca drogą marzeń; wbrew trudnościom, rozsądkowi i powszechnym przekonaniom. To, co przeżyli, było najwspanialszą nagrodą; samym bohaterom zabrakło słów. Dziś do miejsc, które zastali przywalone ziemią, albo zarośnięte tropikalną roślinnością, prowadzą wygodne asfaltowe szosy. Ale nie znaczy to, że w Monte Albàn, Palenque czy Uxmal odkrycia są już niemożliwe. Niemożliwe jest tylko to, co kiedyś udało się Stephensowi: kupienie całego miasta Majów za pięćdziesiąt dolarów (Stephens nabył za tę cenę Copàn w Hondurasie od niejakiego Don Josè Maria). Reszta zależy od tych, którzy stają naprzeciw piramid i świątyń.

Już

DROGA DO OAXACA

nie należy do najłatwiejszych, a osiem kilometrów z Oaxaca do Monte Albàn to wspinaczka dosłownie karkołomna — strefa archeologiczna położona jest czterysta metrów nad miastem. Jeszcze w 1926 roku wzgórze regularnie obsiewali miejscowi rolnicy i ciężko ich było przekonać, żeby ustąpili pola archeologom. Przełomowym momentem był rok 1932: w tzw. grobowcu numer 7 Alfonso Caso znalazł jeden z najbogatszych skarbów Ameryki — pektorał Xipe Toteca, Pana Zmieniającego Powłokę, Boga Ziemi i Wiosny, przekonując po raz pierwszy świat, że list Cortèsa do Karola V zachwalający skarby Montezumy był najprawdziwszą prawdą. Tyle tylko, że okoliczności się zmieniły: żołnierze nie grali tym razem o łupy rzucanymi na bębny kartami — tak jak tamtej, słynnej nocy w Tenochtitlàn, którą opisał Bernal Diaz — Alfonso Caso wyniósł bezcenne klejnoty z krypty w zwykłym, tekturowym pudełku do butów wysłanym watą. Był tak oszołomiony, że dopiero kiedy na powierzchni zobaczył jednego ze strażników i kierowcę, którzy stali jak wmurowani z otwartymi ustami i dyszeli z przejęcia, zrozumiał wagę całego wydarzenia. Od razu też jednak wiedział, ile kłopotów go jeszcze czeka.

„W życiu wybacza się wszystko z wyjątkiem sukcesu" — powiedział do swojego współpracownika Martina Bazàn Cale szczęście, że Caso należał do tych, których ta świadomość nie obezwładniała, jeszcze silniejsze było w nim przekonanie, że nie można zaprzepaścić cudu i od tamtej chwili Monte Albàn coraz wyraźniej zaczęło wychylać się z ziemi, choć były dni zniechęcenia i dni nadludzkiego wysiłku.

MONTE ALBAN

rozciągnięte na olbrzymim płaskowyżu porośniętym spaloną słońcem trawą, tylko pozornie ogranicza się do wymiarów przestrzennych. Jak przystało na miasto bogów ma także swój wymiar czasowy, i to bardzo konkretny: archeolodzy wyróżniają siedem Monte Albàn, od 800 roku p. n. e. do czasów konkwisty, wybudowanych jedno na drugim — od plemion Olmeków, poprzez najbardziej reprezentatywny okres Zapoteków, Mixteków, do Azteków. Razem 2300 lat. Pozostałości z okresu najstarszego jest, oczywiście, najmniej, ale i one patrzą zapewne na przybysza i trzeba o tym pamiętać choć to spojrzenie czyni panujący tu nastrój jeszcze bardziej surowym.

Monte Albàn bowiem to same nagie, proste konstrukcje, symetrycznie otaczające główny plac: piramidy bez świątyń, platformy dla tańczących bez tancerzy, połamane obeliski bez ofiar. Dominującym wrażeniem jest pustka; nie ma się gdzie schować przed palącym spojrzeniem Boga-Słońca, żadne ułomności nie mogą tu liczyć na wybaczenie. W Monte Albàn albo trzeba być równym bogom, albo uciekać w dół do wyglądającej stąd jak dziecinna zabawka Oaxaca.

Chichèn-Itzà, jedna z najsłynniejszych i najczęściej odwiedzanych stref archeologicznych, chociaż swoje apogeum przeżywała w burzliwym okresie Majów i Charles Gallenkamp nazwał ją Mekką Bogów Wojny, jest skrojona znacznie bardziej na miarę człowieka na pewno także dlatego, że została wzniesiona na równinie i wśród wyjątkowo bujnej roślinności Yucatanu; jeżeli ktoś nie czuje się godny spotkania z bogami prawie na każdym kroku może tu po prostu wejść w zielony gąszcz i umknąć przed ich wymagającym spojrzeniem. Schronienia może także dostarczyć wyglądający nieoczekiwanie swojsko ślimak Obserwatorium, okrągła i już przez to wyjątkowa w świecie Majów budowla. Paradoksalnie nawet wielka świątynia Kukulcana (tak Majowie nazywali Quetzalcoatla), choć jedna z najbardziej okazałych w Meksyku — na jej szczyt wiedzie z każdej strony 91 stopni, co razem czyni 364 plus górna platforma równa się 365, ilość dni w roku — i imponująca Świątynia Wojowników z tysiącem kolumn, a nawet Tzompantli, platforma otoczona fryzem z ludzkich czaszek, nie wydają się aż tak groźne jak powinny...

Swoją rolę mają w tym i turyści. Niby po ostatnim trzęsieniu ziemi ich liczba w Meksyku katastrofalnie spadła, w Chichèn-Itzà jednak zupełnie tego nie widać. Chac Mool, mężczyzna siedzący z wystawionymi w górę kolanami i podniesioną głową, który znajduje się na najwyższej platformie Świątyni Wojowników jest bez przerwy zajęty przez urodziwe i nawet mniej urodziwe panienki fotografowane bez opamiętania przez swoich towarzyszy podróży. Ale to i tak nic w porównaniu z 21 marca i 21 września. Wtedy na cienistej stronie głównych schodów piramidy Kukulcana tworzy się seria trójkątów, które sprawiają wrażenie falującego węża schodzącego (w marcu) lub wchodzącego (we wrześniu) po schodach aby połączyć się z własną głową.

Cały spektakl trwa 3 godziny i 20 minut i świadczy o geniuszu astronomicznym Majów, jest misterium — ale pewnie mało kogo z widzów to dziś obchodzi. Idzie już tylko o widowisko i zaraz potem wszyscy udają się wytapetowaną zdzierającymi skórę handlarzami Drogą Świętą do Cenote Sagrado (Świętego Źródła), to znaczy do mieszczącej się przy nim pijalni wód gazowych.

Źródło jest wspaniale wyrzeźbione w skale i łącznie mierzy 39 metrów głębokości. Majowie w ostatnim okresie swojej cywilizacji uprawiali tu swoisty proceder: o świcie

WRZUCALI DO WODY PIĘKNE DZIEWCZĘTA

i jeńców słynących z męstwa, a koło południa — jak pisał Diego Sarmiento de Figueroa — wyciągali tych, którzy jeszcze nie utonęli, aby powiedzieli zgromadzonym co czeka miasto w przyszłości, wierzono bowiem, że na dnie Źródła mieszkają bogowie i niedoszli topielcy musieliby z nimi rozmawiać. Niełatwo było jednak dowiedzieć się czegoś na temat boskich wyroków: po prostu prawie nikt nie wytrzymywał tylu godzin w lodowatej wodzie. W efekcie wychodziło na to, że trzeba oddać się w ręce ślepego losu, a raczej znów pogodzić z kaprysami mocnych.

Pewnego razu jednak całe zdarzenie zakończyło się nietypowo: z orszaku obserwujących wysunął się człowiek i sam skoczył do Źródła, a w kilka chwil później wynurzył się i oświadczył, że rozmawiał z bogami, którzy mianowali go swym władcą. Człowiek ten nazywał się Hunac Ceel i był założycielem przedostatniej dynastii Majów. Aż dziw bierze, że całej tej historii nie wykorzystali specjaliści od reklamy firmy „Coca-Cola": *„Współczesny Hunac Ceel, zamiast skakać do Źródła, orzeźwia się obok butelką „Coca-Coli"!*

Ale jest miejsce w Chichèn-Itzà, które zmusza do obcowania z bogami: boisko do gry w pelotę. Boiska takie są wszędzie (niektóre dobrze zachowane, jak na przykład w Xochicalco koło Cuernavaca), ale tu wywołuje ono szczególne wrażenie, głównie swoimi wymiarami: 95 metrów długości, 70 metrów szerokości, otoczone ścianami wysokości 8 metrów, z dwoma potężnymi pierścieniami, przez które trzeba było przerzucić piłkę, zamocowanymi 7 metrów nad murawą. Wydaje się — jeżeli zachowywano klasyczne reguły gry, według których piłkę można odbijać tylko łokciem lub kolanem — że grać mogli tu tylko sami bogowie. Ale w takim razie kto siedział na równie monumentalnej trybunie?

A jeżeli grali jednak ludzie? W jaki sposób mogli sprostać tym wymiarom, zwłaszcza, że przegrywającym obcinano głowy? Nasuwa się tylko jedno rozwiązanie: każdy, kto stawał do gry, czy też każdy, kogo gra spotykała, bo przecież nie zawsze są możliwości wyboru, podciągał się do boiska, zmieniał się w giganta, boga... Nie miał innego wyjścia; gdyby tego nie zrobił, musiałby umrzeć. Ale za to na zwycięzców czekały wszystkie klejnoty zgromadzonych...

Im więcej stref, tym większe znużenie, ogarniające szczególnie tych, którzy nie mają specjalnego nabożeństwa do starych kultur, bądź którym brakuje po prostu ciekawości i wyobraźni. Zaczyna się zaliczanie: Coba, Kabah, Labna, Sayil, Etznà...

Chwilę fascynują pozornie bardzo bliskie współczesności

BUDOWLE UXMALU

szczególnie elegancka sylwetka Pałacu Gubernatora i Czworoboku Klasztornego, monumentalność Teotihuacàn, taniec przywiązanych za nogi do szczytu trzydziestometrowego pala i wirujących przy akompaniamencie własnej muzyki Indian w Tajin, dająca wyobrażenie o dawnym życiu cicha rozległość Xochicalco, olbrzymie głowy w La Venta, barwne freski z codziennego życia w Bonampak, wąskie spiczaste korytarze w Cholula, przerośnięta dżunglą tajemniczości Rio Bec...

I dalej: do Mitli, San Cristobal de las Casas, albo lepiej do Cancùn czy Acapulco.

Ale jest jedna strefa, która musi zrobić wrażenie na wszystkich, choćby widzieli już przedtem sto innych: Palenque. Najlepiej i najkrócej określił ją Stephens: *„niezwykła i nieskończenie piękna"*. Jej dwiema głównymi budowlami są Pałac i Świątynia Inskrypcji. Pałac jest wyjątkowo rozległy, z otwartymi, porośniętymi soczystozieloną trawą i ozdobionymi wielkimi reliefami patiami i piętnastometrową wieżą.

Wewnątrz Świątyni Inskrypcji znajduje się słynna płyta grobowa przedstawiająca naczelnego kapłana imieniem Pacal (VII wiek n.e.) w momencie śmierci, kiedy wpada w pysk potwora, tak, jak słońce kryje się na zachodzie. I ceibę, święte drzewo Majów, którego korzenie są w piekle, pień w tym życiu, a gałęzie w niebie.

W Palenque jest jeszcze kilkanaście innych świątyń, z których najpiękniejsze, wznoszące się na małych wzgórzach to: Świątynia Słońca, Świątynia Krzyża i Świątynia Krzyża Zasłoniętego, w której znajduje się tajemniczy relief wyobrażający krzyż stylizowany na kukurydze, czy może kukurydzę stylizowaną na krzyż. Już w lesie kryją się szczątki małej Świątyni Lwa, zaś między bu-

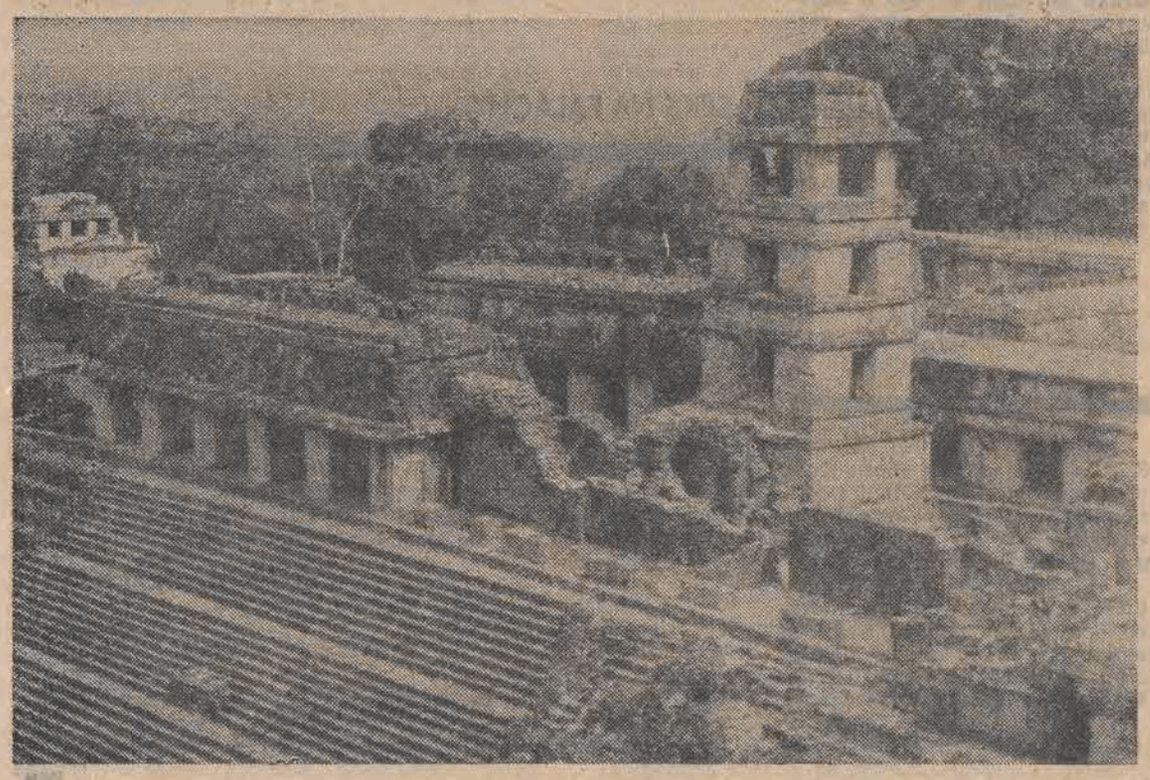

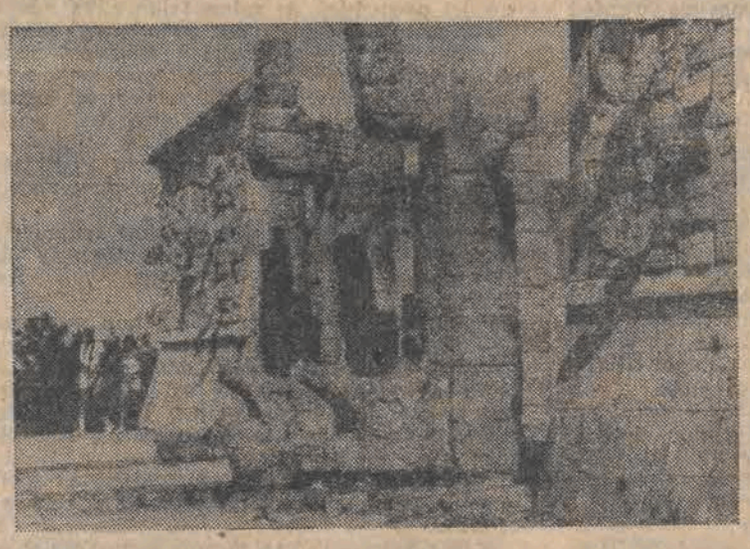

dowlami płynie krystalicznie czysty strumień Otuiùn z Łaźnią Królową. I to wszystko zaledwie tysiąc kilometrów od Meksyku, i kilkanaście tysięcy kilometrów od Łodzi!

Chichèn-Itzà, Uxmal, Paleque; wszystkie odkrywane dziś miasta Indian były niegdyś centrami ceremonialnymi poświęconymi bogom, a także śmierci i czasowi — tajemnicom, wokół których obracała się egzystencja Majów i Azteków. Strzegący je kapłani zwykłych śmiertelników zapraszali tylko w dni świąteczne, których zresztą było bardzo dużo; i do dzisiaj tak już w Meksyku zostało. Kapłani jednak rozsypali się w proch; nie ma kto pilnować świętych miejsc przed intruzami. Nawet bogowie stracili wiele swoich możliwości. Ale zupełnie za wygraną nie dali — nadal wymagają hołdów.

Każdy, kto wejdzie w obręb strefy archeologicznej za punkt honoru uważa natychmiastowe wdrapanie się na najwyższą w okolicy piramidę.

STOPNIE PIRAMID SĄ WYSOKIE,

wąskie i wyślizgane milionami stóp. Dopóki nie patrzy się za siebie, wszystko w porządku. Gorzej, kiedy na szczycie trzeba się odwrócić; wydaje się, że piramida jest niemal pionowa. Mało kto schodzi przodem, wyprostowany. Większość idzie tyłem, na czworakach, bez butów, wypinając siedzenia do słońca...

Być może ten hołd na miarę obywateli XX wieku niezupełnie zadowala Quetzalcoatla i jego otoczenie, ale przynajmniej ich rozśmiesza — jeżeli, oczywiście w ogóle można sądzić cokolwiek o zachowaniu się bogów.

„Światło pogrąża się,
budzą się kolumny
i, nie poruszając się, tańczą."
O. Paz „W Uxmal".

„Człowieka przeznaczonego na ofiarę rozbierano, ciało jego malowano na niebiesko i przybierano go w specjalne, spiczaste nakrycie głowy, po czym prowadzono na plac ofiarny. Był to zazwyczaj dziedziniec świątyni lub wierzchołek piramidy podtrzymującej świątynię. Najpierw wypędzano złe duchy i smarowano niebieską farbą ołtarz, zbudowany z wypukłego kamienia, na takim wzniesieniu bowiem lepiej wyprężała się ku górze klatka piersiowa ofiary. Czterech chacs, również pomalowanych na niebiesko, chwytało ofiarę za ramiona i nogi i rozpościerało na tym ołtarzu kładąc ją na plecach na kamieniu. Następnie zbliżał się nacom ze specjalnym ofiarnym nożem krzemiennym i wbijał jego ostrze pod żebro ofiary, poniżej lewej piersi. Zanurzywszy rękę w ranie wyciągał tętniące jeszcze serce i podawał je odprawiającemu rytuał kapłanowi chilan, który krwią spływającą z serca smarował posąg bóstwa, na którego cześć spełniano ofiarę. Jeżeli składano ofiarę na wierzchołku piramidy, chacs zrzucali ciało zabitego na położony poniżej dziedziniec, gdzie kapłani niższej rangi obdzierali zwłoki ze skóry, pozostawiając ją tylko na stopach i dłoniach. Następnie chilan zdejmował swe szaty obrzędowe, zakładał na siebie skórę ofiary i odbywał wraz z widzami uroczyste pląsy. Jeżeli złożony w ofierze był dzielnym i walecznym żołnierzem, często się zdarzało, że jego ciało dzielono i zjadano".

Ten opis składania ofiar przez Majów pióra Sylvanusa G. Morleya nie powinien nadmiernie przerażać w czasach obfitości ofiar anonimowych, nie składanych w intencji przebłagania jakiegokolwiek boga, choć z drugiej strony, nigdy tego na pewno nie wiadomo. Zresztą krwawe ofiary ludzkie pojawiły się u Indian dopiero u schyłku ich cywilizacji, na skutek konieczności swoistego fortissimo kończącego wielką mszę. Wcześniej kontakt z bogami był znacznie bardziej pogodny: ścigano się z wiatrem, wspinano na górę, aby zdobyć potęgę jej ducha...

Żyjące do niedawna w dolinie Usumacinty plemię Lakandónów, potomków dawnych Majów i ich najczystszych spadkobierców, zwracało się właśnie do tamtych czasów. Lakandónowie byli ostatnimi ludźmi, w których żyli dawni bogowie: w określonych terminach przekradali się do Yaxchilàn, palili copal, składali dary z kukurydzy — rysy przeżartych selwą wizerunków bóstw znajdowały odzwierciedlenie w rysach ich własnych twarzy. W miarę jednak jak Yaxchilan było oczyszczane z lasu i zaczęli pojawiać się tam turyści i w miarę jak ostatni Lakandónowie wymierali — na ogół z nędzy, na którą skazał ich współczesny, piękny świat — ginęli też bogowie. Ostatecznie.

DZIŚ W YAXCHILAN

i innych centrach pozostały już tylko wspaniałe posągi i budowle, a bogowie odzywający na chwilę w wyobraźni turystów są karłowaci i spotworniali. A nocą, kiedy strefy pustoszeją i nie ma już nadziei na przyjście żadnego Lakandóna, rozwiewają się zupełnie. Zostaje pustka.

„Mur oddycha słońcem, wibruje, faluje,
kawałek żywego, wytatuowanego nieba:
człowiek pije
słońce, jak wodę,
jak ziemię.
A nad tym życiem wąż
który podnosi głowę wśród gardzieli:
bogowie piją krew, jedzą ludzi".
O. Paz „W Uxmal".

Na wielkiej, zarośniętej trawą i w dużej części zniszczonej piramidzie w Cholula, Hiszpanie — zamiast świątyni Indian zbudowali piękny kościół w kształcie krzyża o lśniących kopułach. W Cholula jest wiele kościołów, ale najwięcej ludzi wspina się mozolnie na niedzielną mszę właśnie tam. A już obowiązkowo robią to turyści. Kościół i piramida urastają do symbolu relacji chrześcijaństwa i starych religii.

Ksiądz katolicki wygłasza do biednych Indian i bogatych przybyszów kazanie o wyższości biedy nad bogactwem. W pocałunku pokoju stykają się szerokie, pełne powstrzymywanego krzyku usta z zaciśniętymi wargami, wokół których igra pełen wyższości uśmiech...

Trzeba wierzyć, że nie jest to pocałunek Judasza, ironiczny symbol krajobrazu po bogach, ale zapowiedź nowych bogów, najlepiej takich, którzy nie będą pić krwi i jeść ludzi...

Afera A-A czyli historia wielkiej kompromitacji (4)

Rewelacje Ali Agcy
Kim jest Bekir Celenk?
Trzecia tajemnica Fatimy

EDMUND TULKO

28.5.1985. Wczoraj po śledztwie trwającym dwa i pół roku rozpoczęła się w Rzymie rozprawa sądowa przeciwko Siergiejowi Antonowowi, Ali Agcy i kilku innym (dwaj Bułgarzy — Ajwazow i Wasilew i jeden Turek odpowiadają zaocznie i przebywają w Bułgarii).

Już pierwszego dnia Ali Agca „zakłócił tok procesu" (jak to określa „Głos Ameryki", krzycząc, że jest Jezusem Chrystusem i może spowodować koniec świata. Wszystko to potwierdza, że Turek, który 13 maja 1981 r. strzelał do Jana Pawła II jest nieobliczalny i może zgotować jeszcze wiele niespodzianek. Sam akt oskarżenia wraz ze „śladem bułgarskim" oparto wyłącznie na zeznaniach Ali Agcy.

Jednocześnie po stronach — umownie je nazywając — pro- i antybułgarskich trwa batalia psychologiczna. Obrońca Consolo np. twierdzi, że wokół procesu stworzono „ciężką atmosferę". Bułgarzy zaś zwracają uwagę na psychologiczną presję, jaką wywiera się na sędziów. Kilka dni temu włoska agencja ANSA doniosła o wszczęciu przez zastępcę prokuratora generalnego Włoch Giacomo Paoliniego śledztwa w związku z „pewnymi wypowiedziami" (tak to określa PAP) szefa bułgarskiej agencji BTA Bojana Trajkowa. Śledztwem objęty też jest francuski adwokat Roulet.

Po stronie zwolenników „śladu bułgarskiego" też trwają propagandowe przygotowania na różne warianty wyroku. Sens artykułu z gazety amerykańskiej (nie zapamiętałem tytułu): tak czy owak Bułgarzy maczali palce w zamachu na papieża, bo ich udział w międzynarodowym handlu narkotykami i bronią oraz powiązania z Turkami są — podobno — udowodnione. Piszę podobno, „ponieważ źródłem jest CIA i sławetna pani Claire Sterling, która sprawę „śladu bułgarskiego" rozdmuchała.

Jak się wydaje strona „antybułgarska" trzech możliwych werdyktów sądu z radością przyjmie skazanie Antonowa, ale będzie się też cieszyć, jeśli Antonow zostanie zwolniony z braku dowodów winy, lecz nie uniewinniony, co jest trzecim wariantem. Wariant ten pozwoli pani Claire Sterling i jej popleczn kom podtrzymać wersję „śladu bulgarskiego".

Odnotuję jeszcze, że kilka dni temu ukazało się doniesienie o odwiedzinach Siergieja Antonowa przez jego siostrę. Stwierdziła ona, iż stan fizyczny i psychiczny jej brata jest zły.

We wczorajszej prasie, wcześniej w radiu pojawiła się też informacja o aresztowaniu 14 maja 1985 r. (tzn. fakt ten trzymano dotychczas w tajemnicy) w Holandii Turka podającego się za Esmeta Aslana. Przybył on z RFN z pistoletem, który uznano za podobny do użytego przez Ali Agcę na placu św. Piotra 13 maja 1981 r. Esmeta Aslana podejrzewa się o przygotowanie zamachu na papieża, który 14 maja 1985 r. odprawiał mszę pod gołym niebem na lotnisku pod Maastricht w Holandii.

16.6.1985 r. Ali Agca nadal zeznaje „ekscentrycznie" (tak jak określił wczoraj „Głos Ameryki"). Niby to potwierdza pierwotne zeznanie w śledztwie, ale zamiast odpowiadać na konkretne pytania głosi nowe rewelacje tak nieprawdopodobne, że zwolennicy „śladu bulgarskiego" zwątpili, czy uda się ten ślad udowodnić. Oto wspomniane „rewelacje".

— Ali Agca wymienił dyplomatę z Ambasady ZSRR w Sofii nazwiskiem Malenkow, który miał być motorem poczynań terrorystycznych i spiskowych.

— Istniały plany zamachów na życie prezydenta Tunezji Bourgiby, premiera Malty Mintoffa i Lecha Wałęsy.

— Córka pracownika Watykanu, Emanuela Orlandi porwana dwa lata temu, żyje. Porwali ją członkowie Loży P-2 (skompromitowani powiązaniami ultraprawicowymi i mafijnymi) żądając w zamian za jej zwolnienie wypuszczenia Ali Agcy, a to dlatego, że wiedzieli, iż Turek jest wcieleniem Chrystusa i chcieli go wykorzystać do doświadczeń okultystycznych.

W sumie stek bzdur. Mimo to prokurator Marini, chyba do spółki z sędzią Severino Santiapicchi, wciąż mają nadzieję, że potrafią oddzielić obecne fantazje Ali Agcy od uprzednich zeznań obciążających Bułgarów — Siergieja Antonowa, Ajwazowa i Wasilewa.

23.6.1985. (...) Zdawałoby się, że rzymski proces Ali Agcy, Siergieja Antonowa i innych, po wielomiesięcznej kampanii antybułgarskiej, którą w tych zapiskach wielokrotnie odnotowywałem, znajduje się w polskojęzycznych rozgłośniach Zachodnich na czołowych miejscach. Bądź co bądź proces dotyczy zamachu na papieża — Polaka. Nic z tych rzeczy! Gdy okazało się, że Ali Agca nie będzie zeznawał według spodziewanego scenariusza. „Głos Ameryki" zaczął informację o procesie spychać na dalekie miejsca, bądź nawet przemilczać. Nie podano nawet, kiedy nastąpiła przerwa w procesie i kiedy w przyszłym tygodniu będzie wznowiony. Za to o procesie gdańskim Bogdana Lisa i Adama Michnika poinformowano na miejscu czołowym, jak również o tym, co powiedział na ten temat Lech Wałęsa.

A propos procesu rzymskiego. Jeden z szefów Camorry, który przebywał z Ali Agcą w tym samym więzieniu, niejaki Giuseppe Pandico w wywiadzie dla „Espresso" oznajmił, że Ali Agca złożył zeznania obciążające Bułgarów na skutek podsuniętej mu przez włoski wywiad legendy. Giuseppe Pandico wymienił nazwisko byłego szefa tego wywiadu, gen. Musumeci.

Być może te zapiski staną się jakimś tam przyczynkiem do oceny czasów, jakie przeżywamy, a z pewnością do historii wojny informacyjnej, czy jak kto woli — psychologicznej.

27.6.1985. Dalsze „rewelacje" Ali Agcy. Głosi, że potrafi wskrzeszać zmarłych. Wczoraj oznajmił o wycofaniu zeznań obciążających Antonowa i ma odtąd milczeć.

„Głos Ameryki" zupełnie stracił zainteresowanie dla procesu rzymskiego, bo lansowany przez kilkanaście miesięcy „ślad bułgarski", wyraźnie się zagubił. Całe oskarżenie może okazać się jedną wielką kompromitacją Włochów. Nieodparcie przypomina się lipski proces Georgi Dymitrowa o podpalenie Reichstagu.

8.7.1985. Kolejna sensacja w aferze Agca — Antonow i w procesie toczącym się w Rzymie. Bekir (Beqir) Celenk sądzony w Rzymie zaocznie jako wspólnik Ali Agcy w zamachu na papieża, a przebywający dotychczas w areszcie bułgarskim został w niedzielę nieoczekiwanie zwolniony i znalazł się w Turcji, a konkretnie w Stambule. Jest tam przesłuchiwany przez władze tureckie. W Sofii oznajmiono, iż w toku śledztwa prowadzonego przez organa śledcze nie dopatrzono się udziału Bekira Celenka w spisku na życie Jana Pawła II.

Z kolei sąd w Rzymie na wieść o uwolnieniu Bekira Celenka zwrócił się do władz tureckich o jego ekstradycję. Natomiast Ali Agca nie stawił się dziś na sali rozpraw i w liście do przewodniczącego sądu oznajmił, iż w ten sposób protestuje przeciwko... uwolnieniu Bekira Celenka przez władze bułgarskie.

To się dopiero narobiło. Bułgaria wypuszcza na wolność faceta, który rzekomo uczestniczył w spisku razem z Antonowem i innymi Bułgarami. Ciekawe, jakie będzie stanowisko Turcji, wobec włoskiego wniosku o ekstradycję Bekira Celenka. Bądź co bądź Turcy to sojusznicy.

19.7.1985. Bekir Celenk, rzekomy wspólnik Ali Agcy, nie zostaje wydany Włochom, albowiem prawo Turcji nie przewiduje wydawania jej obywateli sądom innych krajów.

Kim jest Bekir Celenk? Jednym z oskarżonych w procesie rzymskim Turków i podobnie jak Bułgarzy — Ajwazow i Wasilew oraz jeszcze jeden Turek sądzony jest zaocznie. Bekir Celenk, to biznesmen turecki, którego interesy obejmowały Bułgarię, Szwajcarię (gdzie przez pewien czas miał małe przedsiębiorstwo). Po przewrocie wojskowym (bodaj w 1979 r.) zbiegł do Bułgarii. W Turcji oskarżono go o przemyt kruszców i za to zapewne, po powrocie do kraju, będzie odpowiadał przed sądem. Szwajcarzy twierdzą, iż miał też coś wspólnego z przemytem heroiny.

Według zeznań Ali Agcy, to Bekir Celenk miał go skontaktować z Bułgarami i on mu też przekazał w markach zachodnioniemieckich kwotę odpowiadającą wartości 1200 tys. dolarów. Oczywiście za zorganizowanie i przeprowadzenie zamachu na Jana Pawła II.

Wobec odmowy Turcji wydania Bekira Celenka powstaje pytanie: co dalej? Prawdopodobnie Włochom umożliwi się przesłuchanie Bekira Celenka w areszcie stambulskim. Bekir Celenk był już przez Włochów, z sędzią Ilario Martellą na czele przesłuchiwany w Sofii. Zaprzeczył, jakoby miał coś wspólnego z Ali Agcą i spiskiem na życie papieża. Martella dopatrzył się jednak w zeznaniach Bekira Celenka jakichś sprzeczności i postawił w stan oskarżenia. Czy Bekir Celenk zmieni teraz zeznania? Wątpić należy. Czyżby Bułgarzy zwalniali faceta, który może potwierdzić ich udział w spisku? Jeśli go zwolnili, tzn., że nie tylko nie mają takich obaw, ale nawet nie boją się „spreparowania" Bekira Celenka do złożenia zeznań ich obciążających. Tak sądzę.

A tymczasem Ali Agca miał wczoraj kolejne teatralne zagranie. Oznajmił, że wyzna wszystko szczerze, jeśli papież lub sekretarz generalny ONZ Perez de Cuellar zaapelują o uwolnienie Emanueli Orlandi, która znajduje się w rękach „Szarych wilków" i... Bułgarów.

Poprzednio Ali Agca twierdził, iż Emanuelę Orlandi porwali członkowie loży P-2, a więc kolejne niedorzeczne oświadczenie Ali Agcy. Kto uwierzy, że Bułgarzy wspólnie z faszystami tureckimi utworzyli szajkę dla porwania włoskiej dziewczyny? Chyba tylko pani Claire Sterling, która rozdmuchała „bułgarski ślad" w „Readers Digest".

Kilka tygodni temu rozmawiałem z E. Zna Turcję z autopsji. Całą aferę z Ali Agcą określił mianem mafii. Ali Agca według informacji posiadanych przez E. ma bardzo zaawansowaną gruźlicę i pozostało mu niewiele życia. E. poznał w Turcji Omera Bagci, jednego z oskarżonych w procesie rzymskim.

11.7.1985. Wczoraj „Głos Ameryki" nie podał żadnej informacji o środowym posiedzeniu sądu w Rzymie. Dopiero na dalekim miejscu w komentarzach zrelacjonowano „zaskakujące oświadczenie" — jak to określano — Ali Agcy, ale to wcześniejsze. Dodano, że Ali Agca zapytany przez sędziego skąd wie o przechowaniu Emanueli Orlandi przez „Szare wilki" i bułgarską służbę bezpieczeństwa, oznajmił, iż wyjaśni to... później.

I jeszcze jedna „rewelacja" Ali Agcy. ZSRR miał zagrozić Watykanowi wzmożeniem prześladowań Kościoła rzymskokatolickiego w Europie Wschodniej, jeśli Stolica Apostolska nie postara się o uwolnienie kilku spośród oskarżonych w procesie. Których? Tego Ali Agca nie powiedział.

W tych „rewelacjach" Turka najwyraźniej przebija się wiedza czerpana z zachodniej prasy, zwłaszcza bulwarowej, która często temat prawdziwych lub urojonych prześladowań Kościoła — na wschód od Łaby — podejmuje. W sumie prokurator, jak na razie, ma niewiele pociechy z koronnego świadka oskarżenia. Charakterystyczne, iż Ali Agca w swoich zeznaniach (jeśli tak je można nazwać) nie wymienia zasiadającego z nim na ławie oskarżonych Siergieja Antonowa.

Przy tym tempie procesu trwać on może jeszcze wiele miesięcy. Samych świadków jest ponoć około 100.

Wiadomo już, że Bekir Celenk ma stanąć przed sądem tureckim oskarżony o przemyt. Podobno po odsiedzeniu wyroku mógłby zostać wydany Włochom. Ale jaki będzie ten wyrok, tego nie powiedziano.

13.7.1985. Na procesie rzymskim oskarżony Turek — Serdar Musa Celebi zaprzeczył powiązaniom z organizacją „Szarych wilków". Przypadkowo w grudniu 1980 r. w Mediolanie miał poznać Ali Agcę, ale nic w trakcie spotkania nie mówiono o zamachu na papieża. Według Ali Agcy — Serdar Musa Celebi to szef zachodnioniemieckiej sekcji „Szarych wilków".

Celebi zeznawał w środę, natomiast w czwartek Siergiej Antonow. Zaprzeczył on, jakoby kiedykolwiek znał Ali Agcę, a więc automatycznie niejako odrzucił zarzut oskarżenia o udział w spisku na życie Jana Pawła II.

Przy okazji. W najnowszej „Kulturze" (nr 6) Jerzy Ambroziewicz, uczestniczący w procesie, kreśli sympatyczną sylwetkę sędziego Severino Santiapicchi i pisze m. in. tak:

„W ciągu trzech tygodni procesu rzymskiego — sędzia przewodniczący Severino Santiapicchi zdemolował tę konstrukcję" (tj. konstrukcję „bułgarskiego śladu" zawartą w akcie oskarżenia).

Przewodniczący jest cierpliwy, przywołuje Ali Agcę do rzeczy itd.

Jak się okazuje Ali Agca ma dostęp do prasy włoskiej, a języka włoskiego nauczył go w więzieniu prof. Senzani z „Czerwonych Brygad". Stąd jego stosunkowo dobra wiedza o tym, co się dzieje na świecie i we Włoszech. Np. o tzw. trzecim sekrecie Fatimy Ali Agca dowiedzieć mógł się dopiero w więzieniu, gdy rozpisywała się o tym prasa włoska. 13 maja 1981 r. — jak pisze Ambroziewicz — „Fatima mogła mu się kojarzyć wyłącznie z córką Mahometa, matką Hasana i Husajna oraz imieniem własnej siostry (...). Dzisiaj Agca zeznaje, że zamach na papieża wiąże się z trzecią tajemnicą Fatimy i żąda od Watykanu jej ujawnienia".

Dziennikarskich zgłoszeń na proces było tysiąc, a przepustki dostało czterystu. Obecnie większość akredytowanych zwinęła manatki. Proces przestał być ciekawy, bo rozmywa się „ślad bułgarski".

EDMUND TULKO
C.D.N.

AGATHA CHRISTIE (2)

Król trefl

Panna Oglander zaprowadziła nas na górę do obszernej, jasnej sypialni. Kiedy wchodziliśmy, dziewczyna leżąca na kanapie pod oknem zwróciła głowę w naszą stronę. Od razu zauważyłem, jak bardzo te dwie kobiety różniły się od siebie. W pewnym sensie były nawet podobne, jeśli chodzi o rysy twarzy czy karnację — ale och, cóż za przeciwieństwo! Każdy ruch, każdy gest Valerie Saintclair nacechowany był dramatyzmem, wszystko wokół niej tchnęło atmosferą romantyczności. Stopy miała przykryte szkarłatnym, flanelowym szlafrokiem — lecz czar jej osobowości nadawał temu prozaicznemu, domowemu strojowi tak egzotyczny posmak, że można było go wziąć za jakąś bogatą, wschodnią szatę. Duże, ciemne oczy Valerie spojrzały przeciągle na Poirota.

— Przychodzi pan od Paula? — głos był dopełnieniem jej aparycji — był dźwięczny i rozmarzony.

— Tak jest, mademoiselle. Jestem tu, by służyć pomocą jemu — i pani.

— Co chciałby pan wiedzieć?

— Wszystko, co wydarzyło się wczorajszego wieczora. Muszę znać całą prawdę!

Uśmiechnęła się jakby znudzona.

— Sądzi pan, że mogłabym kłamać? Nie jestem głupia. Dobrze wiem, że nie powinnam niczego ukrywać. Ten człowiek znał moją tajemnicę, groził, że ją ujawni. Próbowałam dogadać się z nim przez wzgląd na Paula. Nie mogłam go stracić! Teraz, kiedy ten człowiek nie żyje, czuję się bezpieczna. Ale mimo wszystko to nie ja go zabiłam.

Poirot potrząsnął głową z uśmiechem.

— Nie trzeba mi tego mówić, mademoiselle. Proszę opowiedzieć, co stało się wczoraj wieczorem.

— Zaoferowałam mu pieniądze. Wydawało się, że będzie skłonny pójść na ugodę, wyznaczył mi spotkanie wczoraj o dziewiątej wieczorem. Miałam przyjść do Mon Desir. Znałam to miejsce, byłam tam już kiedyś. Reedburn kazał mi wejść przez boczne drzwi do biblioteki, żeby nie zobaczyła mnie służba.

— Przepraszam, mademoiselle, ale czy nie obawiała się pani iść tam w nocy, sama?

Czy była to moja wyobraźnia, czy też Valerie zawahała się chwilę, nim odpowiedziała?

— Chyba tak. Tylko, że nie miałam nikogo, kto mógłby mi towarzyszyć, a ja byłam w rozpaczy. Reedburn wprowadził mnie do biblioteki. Och, co za człowiek! Cieszę się, że nie żyje! Bawił się ze mną jak kot z myszą, drażnił mnie. Błagałam i zaklinałam go na kolanach, dawałam mu wszystkie moje kosztowności, lecz na próżno! Potem on zaproponował swoje warunki — domyśla się pan pewnie, o co mu chodziło. Odmówiłam. Powiedziałam mu, co o nim myślę. Doprowadził mnie do szału, zaczęłam krzyczeć. Uśmiechał się spokojnie. I potem, kiedy wreszcie umilkłam, zza zasłony okiennej dobiegł mnie jakiś dźwięk... On także go usłyszał. Podszedł do okna i szeroko rozsunął zasłony. Stał tam ukryty człowiek — okropny, odrażający włóczęga. Uderzył Reedburne'a — potem jeszcze raz, i Reedburn upadł. Włóczęga usiłował mnie pochwycić zakrwawioną ręką. Wyrwałam mu się, wymknęłam się przez oszklone drzwi i uciekłam. Zobaczyłam światło w tym domu i pobiegłam w jego kierunku. Story w oknach były podciągnięte i dostrzegłam jakichś ludzi grających w brydża. Niemal wpadłam do pokoju; zdołałam z trudem wykrztusić: Morderstwo, a potem była już tylko ciemność.

— Dziękuję, mademoiselle. Nie wątpię, że pani nerwy zostały wystawione na straszliwą próbę. Ten włóczęga, czy mogłaby go pani opisać? Pamięta pani, jak był ubrany?

— Nie — to wszystko stało się tak szybko. Ale poznałabym tego człowieka wszędzie. Jego twarz odcisnęła się w mej pamięci.

— Jeszcze jedno pytanie, mademoiselle. Czy zasłony drugiego okna, wychodzącego na alejkę, były zasunięte?

Po raz pierwszy na twarzy tancerki pojawił się wyraz zakłopotania. Wydawało się, że usiłuje sobie przypomnieć.

— Eh bien, mademoiselle?

— Myślę — jestem prawie pewna — tak, jestem pewna! Nie były zasunięte.

— To ciekawe, bo drugie okno było zasłonięte. Nieważne. Śmiem twierdzić, że nie ma to większego znaczenia. Jak długo pani tu zostanie?

— Lekarz jest zdania, że będę mogła wrócić jutro do miasta. Valerie rozejrzała się po pokoju. Panna Oglander wyszła już wcześniej. To bardzo mili ludzie, ale oni należą do innego świata. Są mną zgorszeni! A dla mnie — no cóż, nie przepadam za bourgeoisie! Powiedziała to jakby z nutką goryczy w głosie.

Poirot skinął głową.

— Rozumiem. Mam nadzieję, że moje pytania zbytnio pani nie zmęczyły?

— Ależ nie, monsieur. Ogromnie mi zależy, aby Paul jak najszybciej o wszystkim się dowiedział.

— A więc życzę pani dobrego dnia, mademoiselle.

Wychodząc, Poirot przystanął nagle, i drapieżnym ruchem wskazał parę skórzanych trzewików.

— To pani własność, mademoiselle?

— Tak, proszę pana. Wyczyszczono je i przyniesiono na górę.

— Ach! — powiedział Poirot, kiedy schodziliśmy po schodach. — Zaaferowana służba czyści buty, ale zapomina o kominku. Cóż, mon ami, początkowo sądziłem, że mamy tu kilka interesujących szczegółów, ale obawiam się, że musimy uważać tę sprawę za zakończoną. Wszystko wydaje się całkiem proste.

— A morderca?

— Hercule Poirot nie ściga włóczęgów — odparł mój przyjaciel z wyższością.

W hallu spotkaliśmy pannę Oglander.

— Zechciejcie panowie zaczekać chwilkę w salonie, mama pragnęła zamienić z panami kilka słów.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak poprzednio. I Poirot podniósł leniwie karty, tasując je swymi drobnymi, przesadnie wypielęgnowanymi dłońmi.

— Wiesz, co myślę, przyjacielu?

— No? — spytałem skwapliwie.

— Myślę, że panna Oglander popełniła błąd, mówiąc jeden bez atu. Powinna była zgłosić trzy piki.

— Poirot! Jesteś nie do wytrzymania!

— Mon Dieu, czy zawsze muszę mówić tylko o zbrodniach i przemocy?

Nagle Poirot znieruchomiał.

— Hastings — Hastings — spójrz! W talii nie ma króla trefl!

— Zara! — wykrzyknąłem.

— Hę? — chyba nie zrozumiał mojej aluzji. Odruchowo złożył karty i schował je do pudełek. Jego twarz była teraz pełna powagi.

— Hastings — powiedział w końcu — ja, Hercule Poirot, omal nie popełniłem wielkiej omyłki; bardzo wielkiej omyłki.

Spojrzałem na niego wzburzony, ale nic nie rozumiałem.

— Musimy zacząć jeszcze raz, Hastings. Tak, musimy zacząć od nowa. Ale tym razem nie pobłądzimy.

Przerwał, bo do pokoju weszła przystojna, mniej więcej czterdziestopięcioletnia kobieta. W ręce trzymała książki. Poirot pochylił się w ukłonie.

— Rozumiem, że jest pan przyjacielem — hm — panny Saintclair?

— Przychodzę od jednego z jej przyjaciół, madame.

— Ach tak. Myślałam, że może...

Poirot przerwał jej szorstko, ruchem dłoni wskazując okno.

— Story nie były wczoraj opuszczone?

— Nie — przypuszczam, że dlatego panna Saintclair zobaczyła światło.

— Wczoraj była jasna, księżycowa noc. Jak to się stało, że siedząc na wprost okna nie widziała pani panny Saintclair?

— Byliśmy pochłonięci grą. Nic podobnego nigdy się nam przedtem nie przydarzyło.

— Nie wątpię, madame. Uspokoję panią — mademoiselle Saintclair jutro wyjeżdża.

— Och! — Twarz kobiety rozpogodziła się.

— Pani pozwoli, że ją pożegnam, madame.

Kiedy wychodziliśmy z domu, Poirot zwrócił się do myjącej właśnie schody służącej:

— Czy to ty czyściłaś buty tej młodej pani na górze?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie, proszę pana. Nie wydaje mi się, żeby w ogóle były czyszczone.

— Więc kto je wyczyścił? — zapytałem, kiedy szliśmy już drogą.

— Nikt. Wcale nie trzeba było ich czyścić.

— Nocny spacer szosą czy ścieżką nie ubrudziłby ich, zgoda, ale po przejściu przez bujną trawę w ogrodzie buty musiałyby być powalane ziemią i poplamione.

— Tak — rzekł Poirot z tajemniczym uśmiechem. W takim wypadku musiałyby być poplamione, to prawda.

— Ale...

— Cierpliwości, jeszcze pół godzinki, przyjacielu. Wracamy do Mon Desir.

Lokaj wyglądał na zaskoczonego naszym powrotem, ale bez przeszkód ponownie wpuścił nas do biblioteki.

— Hej, to nie to okno — krzyknąłem, kiedy Poirot skierował się do okna wychodzącego na alejkę.

— Chyba to, przyjacielu. Popatrz tutaj.

Na wskazanej przez niego marmurowej głowie lwa widać było blady, wyblakły, rozmazany ślad. Poirot wyciągnął rękę i pokazał podobną plamę na wypolerowanej podłodze.

— Reedburn został uderzony pięścią między oczy. Upadł na wznak i uderzył się o ten wystający kawałek marmuru, a potem osunął się na podłogę. Następnie ktoś przeciągnął ciało pod drugie okno i tam je ułożył, ale jak wiemy z zeznania lekarza, już pod nieco innym kątem.

— Dlaczego? To zupełnie niepotrzebne.

— Wręcz przeciwnie, było to konieczne. Tu leży klucz do tożsamości sprawcy, który zresztą wcale nie miał zamiaru zabić Reedburne'a, trudno więc w tej sytuacji nazywać go mordercą. To z pewnością bardzo silny człowiek!

— Bo zdołał przeciągnąć ciało?

— Niezupełnie. To była ciekawa sprawa. Niewiele brakowało, żebym zrobił z siebie głupca.

— Czy to znaczy, że to już koniec, że wiesz już wszystko?

— Tak.

Nagle coś sobie przypomniałem.

— Nie — wykrzyknąłem — jest jedna rzecz, której nie wiesz!

— Co takiego?

— Nie wiesz, gdzie jest brakujący król trefl!

— Tak? To zabawne! To szalenie zabawne, przyjacielu.

— Dlaczego?

— Bo mam go w kieszeni!

Szerokim gestem wyciągnął kartę.

— Och! — powiedziałem nieco zbity z tropu — gdzie go znalazłeś? Tutaj?

— Nie ma w tym żadnej sensacji, po prostu nie wyjęto go razem z innymi kartami. Był w pudełku.

— Hmm! W każdym razie dało ci to do myślenia.

— Tak, przyjacielu. Jego Wysokości należą się wyrazy szacunku.

— I wróżce także.

— Tak, jej również.

— No dobrze, a co dalej?

— Wrócimy do miasta. Ale najpierw muszę odwiedzić pewną panią w Daisymead.

Otworzyła nam ta sama mała służąca.

— Wszyscy są teraz na obiedzie, proszę pana — chyba że chce pan mówić z panną Saintclair, ona odpoczywa na górze.

— Muszę zobaczyć się z panią Oglander. Proszę jej powiedzieć, że zajmę tylko kilka minut.

Służąca zaprowadziła nas do salonu. Kiedy przechodziliśmy koło jadalni, miałem przez chwilę okazję ujrzeć całą rodzinę w komplecie, bowiem teraz obecnych było także dwóch tęgich, krępych mężczyzn. Jeden z nich nosił wąsy, drugi wąsy i brodę.

Pani Oglander weszła do pokoju pytająco spoglądając na Poirota, który swoim zwyczajem złożył głęboki ukłon.

— Madame, my w naszym kraju darzymy matkę najwyższym szacunkiem, otaczamy ją największą czcią. Mère de famille, ona jest wszystkim!

Pani Oglander stała zdumiona tym wstępem.

— Dlatego właśnie przychodzę, by uspokoić matczyne serce. Morderca Reedburne'a nie zostanie schwytany, proszę się nie niepokoić, mówię to pani ja, Hercule Poirot. Nie mylę się, prawda? Czy może powinienem raczej uspokoić żonę?

Zapadła cisza. Pani Oglander zmierzyła Poirota przenikliwym spojrzeniem i wreszcie powiedziała cicho:

— Nie wiem, jak pan się o tym dowiedział — ale tak, ma pan rację.

Poirot ze smutkiem pokiwał głową.

— To już wszystko, madame. Ale proszę się nie martwić. Wasi angielscy policjanci nie mają oczu Hercule Poirota.

To mówiąc, stuknął paznokciem w jeden z wiszących na ścianie portretów.

— Kiedyś miała pani jeszcze jedną córkę. Ona nie żyje, madame?

Znów zapanowała cisza, i pani Oglander utkwiła wzrok w Poirocie. Potem odparła:

— Tak, nie żyje.

— Ach! — powiedział lekko Poirot. — No cóż, musimy wracać do miasta. Pozwoli pani, że włożę tego króla trefl z powrotem do talii? To był wasz jedyny błąd. Rozumie pani, grać w brydża przez ponad godzinę mając tylko pięćdziesiąt jeden kart — nikt, kto ma nawet mgliste pojęcie o tej grze nie uwierzy ani przez chwilę! Bonjour!

— Teraz, przyjacielu, pojmujesz już wszystko — powiedział Poirot w drodze na stację.

— Niczego nie pojmuję! Kto zabił Reedburne'a?

— John Oglander, junior. Z początku nie byłem pewien, czy zrobił to ojciec, czy syn, ale później wiedziałem, że to mógł być tylko syn — jest młodszy i silniejszy. To musiał być jeden z nich dwóch. Okno na to wskazywało.

— Jak to?

— Z biblioteki były cztery wyjścia — dwoje drzwi, dwa okna; w grę wchodziło jednak tylko jedno. W trzech przypadkach, pośrednio lub bezpośrednio, można było wyjść tylko od strony fasady domu. Należało więc urządzić wszystko tak, aby wydawało się, że cała tragedia rozegrała się przy oknie z tyłu, i że Valerie Saintclair znalazła się w Daisymead zupełnie przypadkowo. Niewątpliwie Valerie straciła przytomność, i John Oglander po prostu przeniósł ją do Daisymead na własnych ramionach. To dlatego mówiłem, że zabójca musi być bardzo silnym człowiekiem.

— Więc oni poszli tam razem?

— Tak. Pamiętasz wahanie Valerie, kiedy zapytałem, czy nie bała się iść sama? Poszedł z nią John Oglander, co jak sądzę, nie wpłynęło dodatnio na humor Reedburne'a. Pokłócili się, prawdopodobnie Reedburn ubliżył Valerie, i wtedy Oglander go uderzył. Resztę znasz.

— A brydż?

— Gra w brydża zakłada czterech graczy. Wymowa tego oczywistego faktu jest bardzo przekonywająca. Kto by pomyślał, że w salonie przez cały wieczór przebywały tylko trzy osoby?

Wciąż jeszcze nie wszystko było dla mnie jasne.

— Jest jedna rzecz, której nie rozumiem. Co mają wspólnego Oglanderowie z tancerką Valerie Saintclair?

— No, zastanawiałem się, jak mogłeś tego nie dostrzec. A tak długo przyglądałeś się temu portretowi — dłużej niż ja. Córkę pani Oglander rodzina uważa być może za zmarłą, ale cały świat zna ją jako Valerie Saintclair!

— Coo?

— Nie zwróciłeś uwagi na uderzające podobieństwo obu sióstr, kiedy ujrzałeś je razem?

— Nie — przyznałem — pomyślałem raczej, jak bardzo różnią się od siebie.

— To dlatego, że łatwo ulegasz wszelkim romantycznym złudzeniom, mój drogi. Rysy ich twarzy są niemal identyczne, podobnie jak i karnacja. Zaskakujące jest natomiast to, że choć Valerie wstydzi się swojej rodziny, a rodzina wstydzi się jej, to przecież kiedy w chwili zagrożenia Valerie zwróciła się o pomoc do brata, i sprawy nie ułożyły się dla nich pomyślnie, cała rodzina ze zdumiewającą solidarnością trzymała się razem. Tak, więzy rodzinne to wspaniała rzecz. Wszyscy Oglanderowie mają aktorstwo we krwi, stąd ten niezwykły dar udawania, którym Valerie posługuje się tak zręcznie. Wierzę w dziedziczność, podobnie jak książę Paul. Udało się im oszukać mnie! Gdyby nie szczęśliwy traf, no i moje pytanie, które wykazało sprzeczność pomiędzy zeznaniami pani Oglander i jej córki w kwestii miejsc, jakie zajmowały podczas gry, Oglanderom udałoby się pokonać samego Hercule Poirota.

— Co powiesz księciu?

— Że Valerie z całą pewnością nie popełniła zbrodni, i że wątpię, czy ten włóczęga zostanie kiedykolwiek schwytany. Poproszę również księcia, aby przekazał wyrazy mojego najwyższego uznania dla madame Zary. To rzeczywiście niesamowity zbieg okoliczności! Nazwiemy chyba tą małą przygodę „sprawą króla trefl". Co o tym myślisz, przyjacielu?

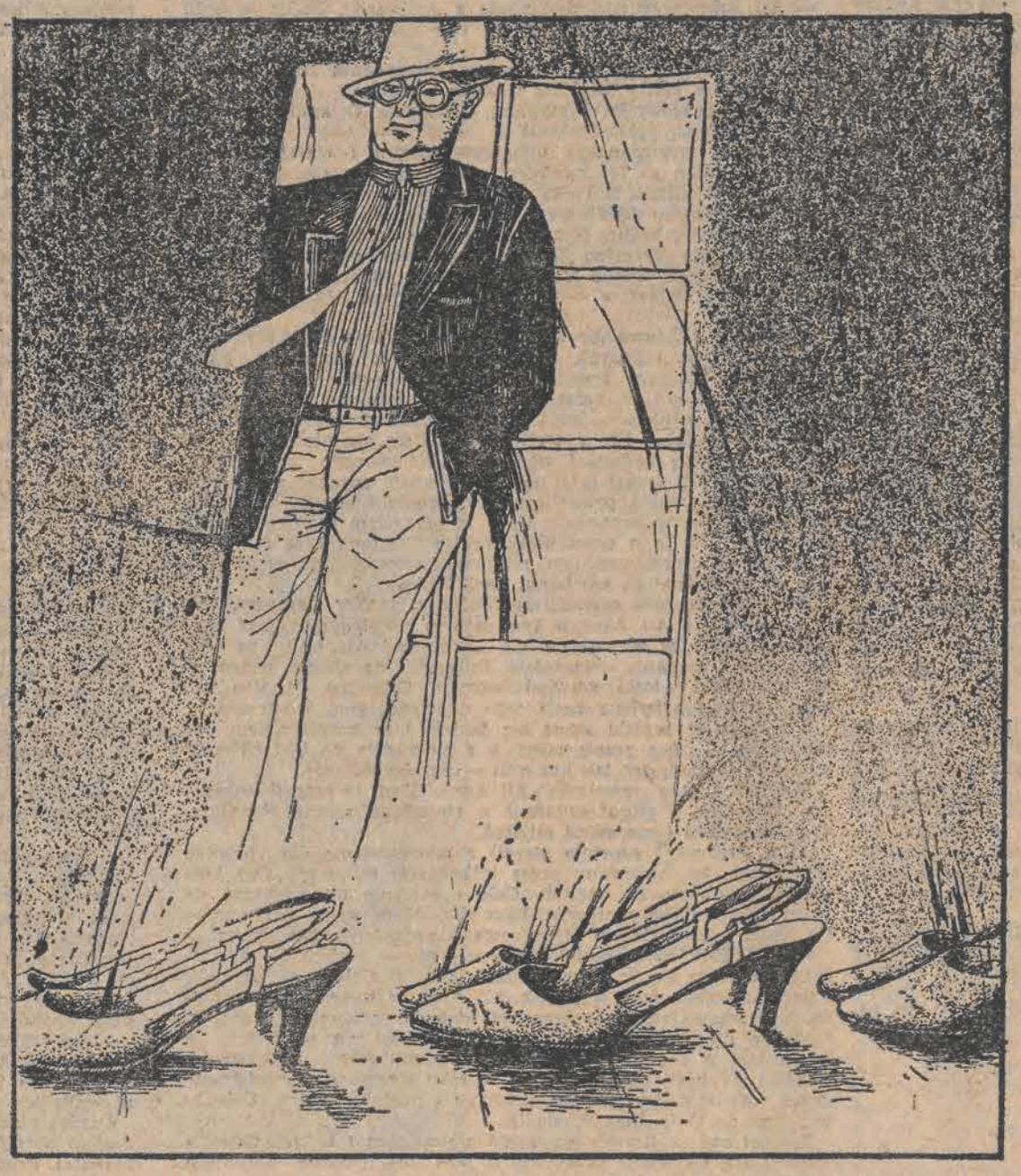

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Przełożył:
MACIEJ ŚWIERKOCKI

Sport

Egzekucja z opóźnieniem

1. Jest już po drugim etapie Mundialu '86. Osiem drużyn pojechało do domu, za kilka dni pojadą dalsze cztery. Taki jest los i każda drużyna musi się zastanowić nad tym, dlaczego to właśnie ona już pojechała do domu, a inni zostali? Po drugim etapie pożegnali się z Meksykiem: Polacy, piłkarze Maroka, Związku Radzieckiego, Bułgarii, Paragwaju, Włoch, Danii i Urugwaju. Jest się nad czym zastanawiać. W najbliższych meczach zobaczymy, jak zagrają ci, którzy zostali i kto będzie grał o medale.

Czy mam swoich faworytów? Jasne, ale boję się do tego przyznać. Mundial '86 nie jest wolny od niespodzianek i zaskakujących wyników.

2. Powrót do domu Bułgarów i Polaków był jakby pewny. Cud zdarza się raz i wystarczy. Zaskakujący jest natomiast niespodziewany raczej powrót do domu byłych mistrzów świata, piłkarzy Włoch. Przegrali dwoma bramkami z Francją, nie strzelając w decydującym meczu ani jednego gola. Chodzili po boisku niczym muchy w smole. Ktoś zapytał mnie nawet złośliwie, czy Włosi założyli sobie z góry, że ten mecz z Francją muszą przegrać? Tego nie wiem, ale na to wyglądało. Zresztą już ich pierwszy mecz z Bułgarią nie należał do najlepszych, ale stało się niedobrą tradycją, że na otwarcie Mundialu musi być remis. I był. Potem był również remis Włoch z Argentyną. Czyżby Włosi też byli źle przygotowani do Mundialu '86?

3. Po pierwszej turze rozgrywek eliminacyjnych w Meksyku miałam swoich faworytów. Wszystko wskazywało, że piłkarze ZSRR i Danii mogą odegrać dużą rolę. Niektórzy uważali, drużynę radziecką za kandydata do mistrzowskiego tytułu. Inni mówili o Danii jako o „czarnym koniu" Mundialu '86. Czyli też wskazywali na tę drużynę jako kandydata do mistrzowskiego tytułu. W każdym razie można było mieć nadzieję, że obie drużyny przejdą zwycięsko przez eliminacje i będą grały w finałach. A tu — proszę — niespodzianka. Obie drużyny pojechały do domu. To też temat do szczegółowych rozważań. O Duńczykach na przykład mówiło się, że niepotrzebnie pokonali — dla prestiżu zresztą — piłkarzy RFN. Franz Beckenbauer miał bowiem założyć sobie i drużynie, że *mecz z Duńczykami należy przegrać, gdyż daje to lepszego przeciwnika — Marokańczyków.*

Założenie spełniono, ale Maroko wcale nie było takim łatwym przeciwnikiem. Mam żal do walecznych piłkarzy z Maroka, że pozwolili sobie jednak strzelić bramkę, co dało zwycięstwo i awans piłkarzom RFN. Trzeba było tych doskonałych rzemieślników wyeliminować. Piłkarze Maroka i tak stali się sensacją Mundialu '86. A mogła być jeszcze większa sensacja. Drużynie RFN ciężko, oj, jak ciężko, szło z piłkarzami z Maroka.

Wspomnę tu jeszcze o walecznych Paragwajczykach, którzy zyskali moją sympatię, choć faulowali niemiłosiernie i o mało sędziego nie pobili. Ale fauli było więcej niż trzeba, niż to może być dopuszczalne, a sędzowie też się różnie zachowywali. To nie jest jednak powód, żeby zaraz bić sędziów na boisku. Po meczu też nie jest to zresztą wskazane, a raczej karygodne.

4. Niespodziewane wyjazdy do domów drużyn, które miały szansę odegrać w Mundialu '86 większą rolę, w niczym nie usprawiedliwiają naszej drużyny. A będą takie próby. Już teraz niektórzy usiłują przekonywać kibiców, że w pożegnalnym meczu zagrali dobrze. Dobrze to grali piłkarze ZSRR w meczu z Belgią — w poprzednich również. Była to walka dwóch równorzędnych partnerów, z których jeden musiał być lepszy o tę jedną bramkę. Był to też jedyny mecz z dogrywką. W pozostałych uporano się z rywalami w regulaminowym czasie 90 minut. Niewiele brakowało, a w meczu ZSRR z Belgią mogły być rzuty karne. Włosi ponoć przygotowywali się do rzutów karnych, ale to była albo legenda mająca przerazić Francuzów, albo całkowity brak krytycyzmu. Przez 90 minut Włosi nie potrafili strzelić nawet honorowej bramki.

Nie oszukujmy się zatem. Jeśli drużyna gra dobrze, to strzela gole. Jeśli daje sobie strzelić 4 gole, fauluje na własnym polu karnym, ma dziurawą obronę i żadnego ataku, to jak można mówić o dobrej grze? Po co się okłamywać? Komu to potrzebne? Przecież prawda jest taka, że Polacy w Meksyku strzelili tylko jedną bramkę i pozwolili sobie strzelić siedem goli!! Jak więc można mówić o dobrej grze? Gdzie i kiedy była ona dobra? To, że lepiej zagrali z Brazylią niż grali poprzednio niczego nie zmienia. I to poważni ludzie w poważnej gazecie piszą o dobrej grze Polaków na pożegnanie Mundialu '86. A gdzie krytycyzm, realizm i racjonalizm?

5. Po przegranym meczu z Anglią w studiu telewizyjnym w Monterrey podczas rozmowy z Antonim Piechniczkiem Janusz Pichlak zadał pytanie: — Było to przedłużenie egzystencji czy egzekucji? Trener polskiej ekipy nie odpowiedział. Pytanie zawisło w eterze i dopiero mecz z Brazylią miał udzielić na nie odpowiedzi. I oto mamy już tę odpowiedź Było to jedynie opóźnienie egzekucji. Gdyby nie piłkarze Maroka — nie zapominajmy o tym, bo lubimy na ogół o takich sprawach szybko zapominać — egzekucja za złe przygotowanie do Mundialu '86 byłaby już na polskim zespole wykonana przez Anglików. Tak więc stało się później to, co stać się musiało.

Nasi sprawozdawcy telewizyjni są jednak — może trudno się im zresztą dziwić — mało obiektywni. Dariusz Szpakowski, gdy Polska przegrywała z Brazylią czterema golami, mówił o dobrej grze polskiego zespołu. Andrzej Szeląg, gdy Dania przegrywała z Hiszpanią 1 do 5 — a więc też różnicą czterech goli — mówił o pogromie Danii. Jeśli tak, to Brazylia urządziła pogrom Polsce. Dlaczego to samo nazywać inaczej? Pachnie to trochę polityką Kalego.

6. Teraz posypią się gromy na głowy naszych piłkarzy. Po części zasłużenie, a po części nie. Otóż, żeby sprawa była jasna, warto wiedzieć, że obok 22 piłkarzy do Meksyku pojechały jeszcze 24 osoby towarzyszące. Byli to: Jerzy Domański — szef misji, wiceprezes PZPN do spraw organizacyjnych i wychowawczych, Jerzy Piątkowski — wiceprezes do spraw zagranicznych, Zbigniew Kaliński — sekretarz generalny, Henryk Loska — zastępca szefa misji do spraw szkoleniowych, Antoni Piechniczek — I trener, Bernard Blaut — asystent trenera, Piotr Czaja — trener bramkarzy, Karol Gębka — kierownik drużyny, Tadeusz Moszkowski — I lekarz, Zbigniew Lorek — masażysta, Marek Łaski — masażysta, Edward Kucowicz — skarbnik, Andrzej Białkowski — kucharz, Tadeusz Dobracki — operator sprzętu magnetowidowego, Edward Mikołajczyk — rzecznik prasowy, Leszek Jezierski — obserwator, Marian Szczechowicz — obserwator i Stanisław Eksztajn — obserwator.

Drugą grupę — 15 osób — stanowili prezesi klubów, trenerzy, działacze i zawodnicy, którzy pojechali do Meksyku w nagrodę za dotychczasową działalność. Byli wśród nich prezesi klubów: Lecha — Hilary Nowak i Górnika Zabrze — Marian Polusa, był Krzysztof Baran z ŁKS i trener Widzewa — Bronisław Waligóra. Na czele tej grupy stał dyrektor Biura PZPN — Andrzej Wójcik.

Mam nadzieję, że tak liczna grupa, która nie pojechała tylko w celach turystycznych, a — jak to powiedział Marian Polusa — miała „szczegółowo określone zadanie obserwacji poszczególnych spotkań i zabezpieczenia porządku na stadionie", dokona teraz opracowania swoich obserwacji, które złożą się na szczegółowy i wnikliwy raport o przyczynach naszych niepowodzeń. Mam też nadzieję, że nie będzie to raport w typie tego, co na Okęciu, po powrocie grupy 15, powiedział dziennikarzowi „Przeglądu Sportowego" trener Kazimierz Gurtatowski o przyczynach naszych niepowodzeń.

„Nie wnikając w szczegóły, wymienię tylko ogólne: zmiana czasu, temperatura, a właściwie szczególna wilgotność, a także ta nieszczęsna trawa, przypominająca siano i utrudniająca grę. Jeszcze jedno, niektórzy piłkarze narzekali, że w lidze nie grali mundialowymi piłkami Tango-Azteca".

Od razu przypomina się powiedzenie: „Złej baletnicy przeszkadza i rąbek spódnicy". Inni niby grali na innej trawie, w innym klimacie, inna była u nich wilgotność. A może po prostu lepiej byli przygotowani? Poważni ludzie wstydziliby się opowiadać takie bajki.

7. Nie ma powodu, aby rwać szaty i ogłaszać narodową żałobę. Miała kiedyś Polska trzecie *miejsce w światowej piłce nożnej. Miała je dwa* razy. Duży to sukces. Chciałoby się więcej, ale same chęci nie wystarczą. Przekonaliśmy się o tym nie tylko my. Dla dobrego samopoczucia społecznego przydałby się dobry wynik w Meksyku. Ale może to i lepiej, że będziemy musieli odważnie spojrzeć prawdzie w oczy niż nadal żyć złudzeniami.

8. Antoni Piechniczek w telewizyjnej rozmowie po meczu z Brazylią zapowiedział zmianę warty, czyli rezygnację z funkcji trenera reprezentacji Polski. Słuszna decyzja. Przypominam sobie cyrk, jaki wyprawiano podczas odejścia Jacka Gmocha po Mundialu w Argentynie. Niepotrzebne to było, bo nic polskiej piłce nożnej nie dało. Trzeba tylko wyciągnąć właściwe wnioski z przegranej w Meksyku, a nie udawać, że to trawa, wilgoć i czary przeciwników spowodowały przegraną polskich piłkarzy. Antoni Piechniczek nie bardzo lubi dziennikarską krytykę. Jego prawo. Ale chyba z opiniami fachowców powinien się liczyć. Mam na przykład na myśli uwagi Jana Tomaszewskiego, wypowiadane w telewizyjnym studio i publikowane na łamach „Dziennika Łódzkiego". Nie było się za co obrażać.

Bogdan Łazuka natomiast powinien zmienić początek swojej mundialowej piosenki. Zamiast śpiewać „Piechniku, Piechniku, co przywieziesz z Meksyku", powinien śpiewać: „Piechniku, Piechniku, co wiozłeś do Meksyku", bo to teraz aktualniejsze pytanie. Kto odpowie na nie? Zrymowało mi się, przepraszam, ale to pod wpływem mundialowych piosenek. Teraz chyba wszyscy, którzy je pisali, muzykę do nich komponowali i śpiewali, mają dużego kaca. Ano, cóż zdarza się. Nam się już zdarzyło podczas argentyńskiego Mundialu. Jakoś nie mamy szczęścia w przewidywaniu, a może umiejętności przewidywania. A może nie potrafimy być realistami?

9. Jan Tomaszewski zwracał uwagę na złe ustawienie polskiej jedenastki. Zwracali na to uwagę inni. Pięknie dziękujemy Włodzimierzowi Smolarkowi za jedyną bramkę, ale nie zmienia to faktu, nie był w najlepszej formie. Delikatnie mówiąc, Zbigniew Boniek podobnie. Antoni Piechniczek, jakby kochał się w zachodzących gwiazdach, a na ławce rezerwowych siedzieli młodzi, którzy nie mieli nic do stracenia, a wszystko do zdobycia. To nie były jednak kochane dzieci Antoniego Piechniczka.

10. Długo będziemy jeszcze rozpamiętywali porażkę w Meksyku. Ale ważniejsze od tego jest, aby wyciągnąć z niej właściwe, rzeczowe wnioski, ujawnić całą prawdę i przygotować się do mistrzostw Europy. Tym razem nie wolno nam odpaść!

19.06.1986 r.

BOGDA MADEJ

1

U fryzjera Nieregularnik felietonopodobny

Komputer w każdej szkole

— Co się ostatnio dzieje — rzekł wzburzony Literat w chwili, gdy wszedłem do zakładu p. Franciszka — nie mieści się już po prostu w głowie! Czy uwierzycie, panowie? Mój dwunastoletni bratanek zażądał wczoraj od rodziców, żeby natychmiast kupili mu mikrokomputer, bo jeśli nie, to zamiast do liceum, a potem na studia, pójdzie do zawodówki i zostanie zwykłym robotnikiem.

— I co? — zaciekawiłem się.

— Jak to — co? Ojciec odpowiedział mu kategorycznie, że komputera nie kupi, bo jest magistrem i go nie stać na kupowanie tak drogich zabawek. Poza tym uważa, że można się bez tego obyć i że to strata czasu i pieniędzy.

— A co szanowny tatuś ma przeciwko komputerom? — zapytał pan Franciszek, sadzając mnie na fotelu, po czym dodał:

— Ależ pan zarósł!

— *Nie o to chodzi* — odpowiedział Literat — ale żeby szczeniak tak szantażował rodziców, którzy ciężką pracą i wytrwałością sami doszli do jakiej takiej pozycji społecznej... Do czego to podobne! Jak uczyć się, czytać poezję i prozę, to nie ma czasu. A gapić się w komputer może godzinami! Ja też powiedziałem: do książek, do nauki! Najpierw niech zdobędzie wykształcenie. A robotnikiem może sobie zostać, jak będzie pełnoletni i sam zacznie decydować o sobie. Też się teraz tym małolatom zachciewa!

— A mój syn — pochwalił się Inżynier — należy do harcerskiego klubu mikrokomputerowego przy komendzie hufca w Śródmieściu. I uważam, że to bardzo dobrze. Spędza tam wszystkie wolne popołudnia, a nawet wolne soboty. Przecież lepiej, niż gdyby miał się szwendać gdzieś po ulicach. Zna już nieźle basic, teraz uczy się asemblera.

— Asem..., co? — przerwał mu Literat.

— Asemblera. To taki język komputerowy. Może mu się potem przydać na studiach albo w pracy. No, i myśli już nawet o pascalu...

— A, Pascal! Znam, znam. Czytałem.

— To też taki język komputerowy — wyjaśnił dobrotliwie Inżynier. — Aha, no i powiem wam jeszcze, że jak syn był na obozie koło Ostródy, to trudno ich było wszystkich zapędzić do wody, bo też mieli tam ze sobą sprzęt. Teraz sam zaczyna już pisać programy, dokonują z kolegami drobnych napraw, gdy się coś zepsuje. Jak więc pan widzi, kolego, kontakt młodzieży z techniką mikrokomputerową jest dla niej bardzo pożyteczny, rozwijający i twórczy.

— Tak, tak — wtrąciłem nieśmiało. — Teraz wszyscy stawiają na komputeryzację. Taki jest trend na całym świecie. I ponoć właśnie najlepiej już od dziecka...

— Bzdury! — zagrzmiał Literat. — W Ameryce komputer domowy kosztuje tyle, ile u nas lepsza lalka czy miś z pluszu. Ale co z tego, że dzieci się tym bawią na co dzień, jak potem nie potrafią nawet pokazać na mapie, gdzie leży Polska albo Francja. Wtórny analfabetyzm. Dzieci powinny uczyć się języka polskiego, biologii, fizyki, chemii, matematyki, a te różne asem...

— Asembler.

— No, właśnie. To sprawa specjalistów. Jeżeli już uczyć się języków, to lepiej chyba łaciny czy angielskiego. Każdemu inteligentnemu człowiekowi w życiu się przyda. A nie wszyscy przecież zostaną później informatykami.

— Oczywiście — przytaknął Inżynier. — Tylko że właśnie wykorzystując technikę komputerową doskonale można uczyć fizyki, chemii, matematyki, rozwijać wyobraźnię. Są do tego specjalne programy. A poza tym, w przyszłości wszystko będzie skomputeryzowane i dlatego z komputerem oswajać się trzeba już dziś, od kołyski.

— To moda, która minie, gdy wymyślą znów coś nowego. Zobaczycie. Te gry komputerowe zwłaszcza — jeszcze gorsze niż telewizja. A na przykład łacina... Ona jest wieczna.

— Nie, nie. Kolega Inżynier ma jednak rację — odezwał się milczący dotąd Działacz. — Komputery to przyszłość. I nasz rząd stawia na nie. Nie możemy pozostać w tyle. Stąd przecież hasło: komputer w każdej szkole.

— Piękne hasło — przerwał na moment strzyżenie pan Franciszek. — Na przykład u mojego siostrzeńca na wsi pod Lublinem jest już w szkole mikrokomputer. Podobno dar jakiejś firmy zagranicznej. Wyobraźcie sobie, panowie, stoi u dyrektora w gabinecie, a w przyszłym roku szkolnym będą go pokazywać uczniom.

— A nie mówiłem! — tryumfalnie zawołał Inżynier.

— Ale to jeszcze nic pewnego, bo jak dotąd ani nauczycielowi od wuefu, śpiewu i zajęć technicznych, ani nawet mechanikom z pobliskiego POM, który przoduje w gminie w naprawie kosiarek konnych, nie udało się znaleźć tego dynksu, co się nim włącza. Podejrzewają, że musi być zepsuty, z produkcji, która idzie na ichni rynek, a nie na eksport — dlatego tak lekką ręką dali. To co, ściąć jeszcze trochę grzywkę czy zostawić jak jest? Bo baczki to już chyba są dobre, prawda!

PAWEŁ TOMASZEWSKI

2

Zrób to sam

Przy naszym stanie wszelkiego rodzaju usług hasło: „zrób so sam" nie może nikogo przerażać. Byłem niedawno u znajomego, który sam zrobił meble do kuchni. Piękne to meble. Parę osób chętnie by takie meble kupiło, gdyby były w sprzedaży, ale nie ma ich i nie będzie. Przemysł drzewny — to znaczy fabryki mebli — z tego powodu nie popadną we frustrację, bo mało kto potrafi sam zrobić meble kuchenne, mało kto ma z czego, a w sklepach nie ma nadmiaru takich mebli w ogóle i szybko chyba nie będzie. Przemysł nie boi się więc konkurencji amatorów, nie boi się nawet konkurencji rzemiosła. Kto ma monopol, ten nie boi się konkurencji w ogóle. Usługi więc się nie boją.

Hasło: „zrób to sam" zmienia więc jakby swoją treść. To już nie jest konkurencja dla kogoś, to jest zastępowanie. Zrób to zamiast mnie. Przyszła do mnie Grażyna S. i śmiejąc się opowiedziała historyjkę, jaka zdarzyła się na krańcówce linii pośpiesznego autobusu „B". Jest to też krańcówka linii 55. Grażyna S. wraz z sporą grupą pasażerów autobusu „B" oczekiwała dość długo i daremnie na ten autobus. Przyjechało i odjechało 5 autobusów linii 55, a autobusu linii „B" jak nie było, tak nie było.

W tej sytuacji dysponent MPK, który dyżuruje na krańcówce na Widzewie Wschodzie, podjął jedyną rozsądną decyzję. Wziął do ręki tablicę z literą „B" i podszedł do kolejnego autobusu 55, który właśnie był nadjechał na krańcówkę.

— Zmieni pan trasę — powiedział do kierowcy i dał mu tablicę z literą „B". Kierowca długo się wykłócał, ale w końcu musiał ulec bądź co bądź przełożonemu.

Pasażerowie wsiedli do autobusu uradowani, że wreszcie pojadą. Ale spotkało ich niejakie rozczarowanie.

— Proszę państwa! — odezwał się bowiem kierowca autobusu "B", dawniej 55. — Czy państwo znają trasę linii „B"? — W autobusie zrobiło się cicho.

— Bo ja — ciągnął nadal niezrażony ciszą kierowca autobusu „B", dawniej 55 — tej trasy nie znam, nigdy nią nie jeździłem, jak zbłądzę, to wysadzam wszystkich i wracam na linię 55.

W autobusie było nadal cicho. Wreszcie odezwał się jakiś pan.

— To może w ogóle usiądzie pan z boku, a ja poprowadzę autobus.

Kierowca autobusu „B", dawniej 55 nic już nie powiedział i pojechał. Grażyna S. śmiała się srebrzyście.

— Z czego śmiejesz się? Co w tym śmiesznego?

— Jak to? — zdziwiła się. — Nie jest to śmieszne, że MPK niedługo będzie podstawiało autobusy, a pasażerowie będą sami je prowadzili? Zapisuję się na prawo jazdy. Zawodowe od razu!

Dla mnie nic w tym nie było śmiesznego. Jestem na przykład zdyscyplinowanym pasażerem i zawsze kasuję bilet. Ale zdarza się czasami, że kasownik jest niesprawny. Jeszcze nie spotkało mnie to szczęście, aby kontrolerzy sprawdzali mi bilet, gdy kasownik jest niesprawny. Może każą mi też zreperować kasownik?

Co miałem jednak poradzić Bogusławowi N., który poskarżył mi się, że na osiedlu Czerwony Rynek wszystkie trzy sklepy spożywcze zamykają o godzinie 18.00, bo w tym który ma być otwarty dłużej pochorowała się załoga. I ludzie wracają z pracy, pędzą do sklepu a tu kłódka na drzwiach.

— Ludzie mają prawo chorować — próbowałem tłumaczyć załogę wcześniej zamykanego sklepu.

— A ja mam prawo robić zakupy po godzinie 18.00 — nie ustępował Bogusław N. — A nie mogę z tego prawa skorzystać.

— To kupuj więcej w śródmieściu, albo w „Uniwersalu" na placu Niepodległości.

— Kiedy tam sklep spożywczy też zamknięty, remont. A teraz jest lato i wszystko szybciej się psuje. W radiu mówią, żeby nie robić zapasów, bo salmonella szaleje.

— To poskarż się samorządowi mieszkańców.

— Albo oni nie wiedzą, w innym osiedlu mieszkają?

Bezradnie rozłożyłem ręce. Chciałem, aby Bogusław N. też coś zrobił sam, ale jakoś nie wyszło. W końcu za sprawność handlu na Górnej w Łodzi odpowiada określony wydział w Urzędzie Dzielnicowym. Nie mam śmiałości proponować Bogusławowi N., aby robił coś zamiast pełnoprawnych urzędników. Byłaby to niewyobrażalna herezja i naraziłbym się na bezlitosną zemstę urzędników. A po co mi to?

ZENON POROWATY

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(6)

Z „EWANGELIARZA ELIASA"

Ostatnie minuty przed godziną „G".

Syreny zaczęły wyć, kiedy Rebby Courgan z torebką pod pachą wysiadła z autobusu na Osiemnastej Wschodniej między dwoma przystankami, nie opodal Banku Greenbauma. To było nad wyraz uprzejme ze strony tego kierowcy, że specjalnie dla niej zatrzymał się w tym miejscu, skąd zaledwie stumetrowy, prosty odcinek chodnika dzielił ją od supermarketu Sunrise. Coraz częściej spotyka się z podobnymi dowodami uprzejmości i z serdecznym traktowaniem, ale to naturalnie z powodu Szkrabulka.

Rebby tkliwie położyła dłoń na swoim kulistym brzuchu i powoli zaczerpnęła do płuc powietrza. Doktor Burns zalecił jej opanowanie techniki oddychania i nakazał uczęszczać na ćwiczenia dla przyszłych matek. „I jak najwięcej ruchu, pani Courgan, jak najdłuższe spacery. Piesze spacery. Trzeba wzmocnić mięśnie, podtrzymać ogólną sprawność fizyczną, a poza tym te miękkie siedzenia w samochodach to udręka dla kręgosłupa". No, ale od jej domu do supermarketu Sunrise jest za daleko nawet jak na najdłuższy spacer i Quent mógłby się niepokoić, gdyby jej nie zastał, kiedy wpadnie na lunch, mimo że na wszelki wypadek zostawiła dla niego wiadomość na karteczce przylepionej do lodówki.

— Halo, mogę dla pani coś zrobić?

Do krawężnika podjechał popielatosrebrzysty Pontiac. Znad opuszczonej bocznej szyby wychyliła się twarz mężczyzny około trzydziestki, gładko wygolona i o rysach niemal posągowo klasycznych. Jego opalone przedramię, które zwisało na zewnątrz wozu, opinały w przegubie grube ogniwa złotej bransolety z wygrawerowaną pod nazwiskiem grupą krwi.

— Proszę?

— Pytałem, czy mogę pani w czymś pomóc. Może podrzucić panią do domu?

— Och nie, nie do domu. To znaczy... Nie, dziękuję. Stąd mam już blisko do tego sklepu. Ta dzielnica nie jest lubianym terenem działania podrywaczy i raczej nie grasują tu zboczeńcy, ale tyle się słyszy o różnych osobnikach zaczepiających w niedwuznacznych celach kobiety ciężarne, że lepiej się wystrzegać rozmów z nieznajomymi, nawet jeśli wyglądają tak sympatycznie i niegroźnie i ofiarowują swoją pomoc.

— Przepraszam, ale dosyć mi się spieszy.

— Sądzę, że mój samochód rozwiąże ten problem.

— Nie, dziękuję. To tylko kilka kroków do tego supermarketu, tam prosto.

Mężczyzna rozciągnął wargi w uśmiechu dorównującym jego powierzchowności. Zęby miał idealnie utrzymane.

— Kiepska pogoda na zakupy, prawda? — podnosił głos w chwilach, kiedy modulowane wycie syren osiągało szczytowy punkt natężenia. — Chodzi mi o ten alarm. Od wczoraj obowiązują obostrzone przepisy i służba porządkowa bezlitośnie karze każdego, kto podczas trwania alarmu przebywa na ulicy lub w innym tak zwanym publicznym miejscu.

Dalekim echem odbił się w jej pamięci komunikat radiowy jednym uchem wyłowiony spośród muzyki chyba dwa dni temu po południu, kiedy krzątała się przy kuchni zajęta wypiekaniem kruchych ciasteczek dla Quenta. Mężczyzna w Pontiacu spostrzegł, że ona się waha, więc podjął spokojnie i niby mimochodem, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że nie usiłuje wywierać na nią nacisku:

— Dwie przecznice stąd jest schron publiczny, przestronny i wygodny. Przestronny i wygodny na miarę schronu publicznego. Mają w nim małą kafeterię, czytelnię, salę bilardową, miłą obsługę i dobrą klimatyzację. Można tam wypić koktajl owocowy albo spędzić tych kilkanaście minut przed telewizorem i przeczekać ten alarm w znośnych warunkach. Jadę w tamtym kierunku.

Rozglądając się niezdecydowanie Rebby wcisnęła torebkę głębiej pod pachę. Ten mężczyzna, elokwentny i swobodny w obejściu, w niczym nie przypomina filmowych gwałcicieli ani zboczeńców. No i na pewno nie jest zwykłym podrywaczem, tacy nie szukają przygód z kobietami w odmiennym stanie. Naturalnie pozory niekiedy mylą, ale przecież ktoś o takim wyglądzie może mieć tuzin kobiet na kiwnięcie palcem, a gdyby gustował w ciężarnych, to chyba nie brak mu pieniędzy, żeby zapłacić każdej jednej, bez względu na kolor skóry, wiek i stopień zaawansowania ciąży.

Mężczyzna, nadal uśmiechnięty, wysiadł z samochodu. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i harmonijną budowę ciała.

— Nazywam się Michael Tomashek — powiedział. — Niestety, nie noszę na piersi budzącej zaufanie gwiazdy szeryfa, ale pracuję w zespole adwokackim, zaczynałem od obrony klientów oskarżonych o napastowanie samotnych kobiet i osobiście wolałbym takiego oskarżenia uniknąć.

To ją wreszcie przekonało. Ten mężczyzna, Michael Tomashek, jest najnormalniej w świecie jednym z tych życzliwych ludzi, z których troskliwością spotyka się coraz częściej, i najnormalniej w świecie pragnie wyświadczyć jej przysługę. I ponadto jest taki przystojny, że dech zapiera! Rebby kazała rozwiać się swoim obawom i wsiadła do samochodu. Torebkę położyła na kolanach.

— W sąsiedztwie tego schronu — powiedział Michael Tomashek ruszając — znajduje się parking podziemny. Policjanci nie chcą być gorsi od pracowników służby porządkowej i wzmogli kontrolę kierowców. Upodobali sobie pewne marki wozów. Na stare i tanie modele nie zwracają uwagi, luksusowe i nowoczesne też ich nie interesują, ponieważ właściciele tych pierwszych przeważnie nie stać na zapłacenie wysokiej grzywny, a właścicielom tych drugich lepiej się nie narażać, chyba że są nimi jacyś bogaci Murzyni. Ale na widok Pontiaca wpadają w orgiastyczne podniecenie. Wczoraj wsolili mi pięćdziesięciodolarowy mandat za to, że po ogłoszeniu alarmu jeździłem po mieście bez tak zwanej „istotnej przyczyny i w sposób wskazujący na brak zamiaru udania się do najbliższego garażu lub schronu".

— To okropne. I... Och, zapomniałam się przedstawić. Po mężu nazywam się Courgan. Rebby Courgan.

Mężczyzna skinął głową.

— Ja panią znam — oświadczył.

— Doprawdy?

— Moja żona chodzi do szkółki sióstr Sacri-fer, razem z panią.

— Och! Pańska żona?

— Na ten kurs dla przyszłych położnic.

— Ach tak. — Rebby dokonała w myśli pobieżnego przeglądu kursantek, odrzucając po kolei te, których nazwiska były jej znane. — Audrey? — przypuściła niepewnie. Do Audrey pasowałby taki mąż, bo ona jest wysoka, postawna i chociaż nieco wyniosła, to bezspornie piękna. Nawet ciąża dodaje jej swoistego uroku.

Pan Tomashek ponownie się uśmiechnął.

— Sarah — rzekł.

— Sarah? — Sarah to jej przyjaciółka i jest tylko ta jedna Sarah wśród kursantek ze szkółki sióstr Sacri-fer. — Pani Michaelowa Tomashek? Ależ ona...

— Nie, nie. Sarah zachowała nazwisko rodowe: Jefferson. Bardzo je sobie ceni przez pamięć po przodkach, w których ja oczywiście nie wierzę.

Sarah Jefferson — a to dopiero! Nagle różne fakty zaczęły układać się w przejrzystą kompozycję. Często przez nią wychwalany mąż, wzięty adwokat, popielatosrebrzysty Pontiac podwożący ją pod budynek kongregacji Sacri-fer, taka sama złota bransoletka o grubych ogniwach na przegubie jej dłoni... Było nie było to się zgadza!

— Sarah nigdy mi o tym nie wspomniała. O swoich przodkach.

— Widocznie sama już w nich nie wierzy.

— No, ona nie musi mi mówić o wszystkim, naturalnie. To jej osobista sprawa. Ale tyle sobie zawsze opowiadamy, że wydawało mi się jakbym ją znała na wylot. Wiemy na swój temat mnóstwo, jak sądzę.

Bo Sarah Jefferson to osoba, o której nie można nie wiedzieć mnóstwa już w godzinę po jej poznaniu. Ona przed nikim nie ma żadnych tajemnic. Ze swoich kłopotów, radości i sekretów potrafi każdemu zwierzać się tak otwarcie i szczerze, jakby mówiła o kłopotach, radościach i sekretach bohaterki filmu. Ale mała, rozszczebiotana Sarah — o czym wiadomo wszystkim paniom z kursu — bynajmniej nie jest naiwna. Ta jej wylewność to wyraz lęku przed ostracyzmem. Ona zabiega o przychylność ludzi, których raz po raz zraża, kiedy wymawia się od wszelkich wizyt, przyjęć i wieczorów towarzyskich, żeby tylko nie wystawiać na pokusy tak przystojnego mężczyznę jak jej mąż. Trudno jednak mieć jej za złe, że jest o niego zazdrosna — zwłaszcza teraz w okresie dla młodej mężatki krytycznym i niebezpiecznym.

Michael Tomashek zahamował przed światłami na skrzyżowaniu, nie przestając się uśmiechać.

— I dzięki temu ja o pani także wiem sporo.

— Doprawdy? — Właściwie czemu by nie? Trzpiotowata Sarah Jefferson, kiedy wraca od sióstr Sacri-fer, z pewnością składa mężowi wyczerpujące relacje o tym, co się wydarzyło i jakie to nowiny posłyszała o znajomych paniach z kursu, żeby wyszczebiotując te ploteczki ześrodkować na sobie jego uwagę i zasłużyć na jego względy. Ale Rebby nie byłaby kobietą, gdyby nie powiedziała: — Mam nadzieję, że nie jest to nic, czego musiałabym się wstydzić?

— Przeciwnie, Sarah mówi o pani z uznaniem. Twierdzi, że pani jest nadzwyczajną dziewczyną i tak wspaniałą żoną, jaką ona nigdy nie będzie...

— Co jest ogromną, chociaż nad wyraz sympatyczną przesadą.

— ... podziwia pani gospodarność i konsekwencję w dążeniu do wyznaczonego celu.

— Mój mąż ma o mnie akurat odmienne zdanie.

— To powszechna wada mężów. Sarah na pewno nie starczyłoby cierpliwości, żeby dzień po dniu przez tyle miesięcy wytrwale zbierać znaczki premiowe i wlepiać je do okienek w karnetach...

— No nie! Nawet o tym panu powiedziała?

Michael Tomashek ruszył dodając gazu.

— Ach, rozumiem. Więc po to jest ten dzisiejszy wypad do supermarketu. Po odbiór tej premii. — Roześmiał się i skinął głową. — Tak, powiedziała mi nawet o tym. I jaka to będzie premia. Grająca lampa prawda?

Rebby odruchowo przesunęła dłonią po torebce leżącej na jej kolanach. I to jest ten moloch, wielomilionowe zbiorowisko ludzkie, w którym podobno można zniknąć bez śladu, w którym zatracamy indywidualne cechy, w którym podobno żyją same anonimowe jednostki, w którym podobno sąsiedzi rzadko znają nas z widzenia, a jeszcze rzadziej z nazwiska. I oto w tym wielomilionowym zbiorowisku ludzkim spotykają się dwie zupełnie przypadkowe osoby i jedna z nich odzywa się do tamtej drugiej jakby od dawna była z nią w dobrej komitywie, wiedziała o niej wszystko i... Och, wie nawet, że tamta druga ma w torebce plik karnetów z nalepionymi na nie znaczkami premiowymi w ilości tysiąca dziewięciuset pięćdziesięciu sztuk, dokładnie tyloma, ile trzeba, żeby z supermarketu Sunrise wynieść za darmo grającą lampę nocną wyposażoną w programator.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Jesteśmy na miejscu — powiedział pan Tomashek i zatrzymał wóz. — To tutaj — wskazał przez boczną szybę podziemne wejście, które po opadających w dół kamiennych stopniach wiodło do publicznego schronu.

— Dziękuję za podwiezienie — Rebby wetknęła torebkę pod pachę i ujęła klamkę z ociąganiem. Myśl, że to już koniec jazdy tym Pontiacem, napełniła ją melancholią. — Pan woli przeczekać alarm na tamtym parkingu, panie Tomashek?

— Może po prostu Michael, dobrze, Rebby? W gruncie rzeczy jesteśmy starymi znajomymi, prawda? A tamten parking jest niedaleko stąd i tak się składa, że budynek, który nad nim stoi, należy do firmy mojego klienta. Przy okazji załatwię parę spraw. To mi zajmie nie więcej niż kwadrans i po odwołaniu alarmu wracam tą trasą. Chętnie podwiozę cię do supermarketu. Sam jestem ciekaw tej lampy. Poza tym trzeba ją będzie przetransportować do twojego domu.

Michael Tomashek obszedł wóz, otworzył drzwiczki i pomógł jej wysiąść. Znowu obdarzył ją uśmiechem, a ona poczuła jak rozlewa się w niej fala ciepła, promieniując stamtąd, gdzie spoczywa Szkrabulek, który nagle dał znać o sobie słabym kopnięciem. No, jego twarz chyba w ogóle została stworzona po to, żeby obdarzać ludzi uśmiechem.

— To miłe z twojej strony, Michael. Ja teraz boję się prowadzić samochód i nie lubię korzystać z taksówek, bo ci kierowcy jeżdżą jak szaleńcy. A w autobusie, którym tu przyjechałam, porządnie mną wytrzęsło.

— A więc do zobaczenia, Rebby. Niewykluczone, że też kupię taką lampę i zrobię niespodziankę Sarah.

— Na pewno się ucieszy. Do zobaczenia, Michael.

THREEB'S

Skałę Gibraltarską i Abyle w Ceucie nazwano ongiś słupami Heraklesa i jeśli ktoś wymieni tę nazwę, od razu wiadomo, o co mu chodzi. Nikt, nie wyłączając geografów, nie będzie próbował wykazać jej umowności, aczkolwiek oba te cyple z mitycznymi słupami mitycznego Heraklesa mają tyle wspólnego, ile koktajl Bloody Mary ma wspólnego z jakąkolwiek dziewczyną o tym imieniu, nawet najbardziej krwawą. Ludzie poznają przedmioty, zjawiska, zdarzenia, pojęcia, elementy otaczającego ich świata i nadają im nazwy. Na formie tych nazw zwykle wyciska swoje piętno stereotypowość myślenia, dążność do komunikatywnych uproszczeń, inercja oraz automatyzm skojarzeń. Za dowód może tu służyć nazwa „Trójkąt Florydzki". Wprawdzie tereny zamknięte przez władze ze względu na powstałe tam zagrożenie dla życia rzeczywiście leżały w obrębie półwyspu florydzkiego, ale na mapach wojskowych (obwiedziono je tam misternym akantem oznaczającym gęste zasieki) kształtem nie przypominały trójkąta. Przypominały graficzny rzut bulwy ziemniaka na płaszczyznę poziomą. Słowo „trójkąt" zostało bezmyślnie zaczerpnięte z komunikatu władz, z fragmentu: „na zachód od trójkąta, który wyznaczają miasta Hialeah, Miami i Homestead" — dokonali tego dziennikarze i nazwa się przyjęła: brzmiała dobrze, była frapująca i budziła lęk przez analogię z Trójkątem Bermudzkim. A zresztą nikomu nie chciało się szukać trafniejszej.

Przede wszystkim lęk — do takiej konkluzji doszedł Brian B. Bliss studiując karty topograficzne, które z dokładnością map wojskowych przedstawiały „Trójkąt Florydzki" i jego okolice. Żarłocznym wzrokiem ślizgał się wzdłuż wschodniej linii brzegowej, gdzie piaszczyste plaże obmywają ciepłe fale Atlantyku. — Przede wszystkim lęk. Lęk jest wytrychem otwierającym ten sezam. — Było to dwanaście dni temu, kiedy Brian B. Bliss doszedł do takiej konkluzji.

Później odbył on długą naradę z obydwoma swoimi wspólnikami: Hughem Bentonem i Kuhnem Mannoury, i skontaktował się z senatorem Franklinem Vossem (byłym gubernatorem stanu Floryda, a niegdyś — sędzią sądu stanowego), który ułatwił mu dostęp do pewnych dokumentów w zamian za dziesięcioprocentowy udział w przyszłych zyskach. Było to jedenaście dni temu.

Jeszcze później Brian i jego dwaj wspólnicy, działający w porozumieniu, wybrali się — każdy osobno — z wizytą do trzech różnych banków wchodzących w skład trzech różnych konsorcjów i złożyli tam tę samą ofertę. Jeden z banków odrzucił ją natychmiast, dwa obiecały rozpatrzyć ją w ciągu miesiąca, co natychmiast odrzucił Brian, który przeczuwał, że uciekinierom z Florydy przyjdzie opamiętanie znacznie wcześniej. Dlatego powtórnie skontaktował się z senatorem Franklinem Vossem i poprosił go o poparcie w kołach wpływowej finansjery, podnosząc jego udział do piętnastu procent. Było to dziewięć dni temu.

Poparcie senatora Franklina Vossa sprawiło, że Brian został przyjęty przez małą damę w wielkim gabinecie, który należał do biurowych pomieszczeń małej ekspozytury wielkiego banku. Spotkanie specjalnie zaaranżowano właśnie tutaj, by uniknąć rozgłosu i nie dawać konkurentom Briana B. Blissa podstaw do snucia przypuszczeń mogących zaszkodzić całości interesów. Mała dama w wielkim gabinecie małej ekspozytury wielkiego banku raliczana była do ścisłej czołówki kierownictwa konsorcjum. Oświadczyła, że pomysł jej się podoba, jest śmiały i ryzykowny, ale ma wszelkie szanse powodzenia.

— Donoszą nam, panie Bliss — dodała — że inne firmy wpadły na niego także i już go wykonują.

— Pokładam w Bogu ufność, że nie zdążą wszystkiego zagarnąć dla siebie. Czas jest tu czynnikiem decydującym.

— Wiemy o tym i postaramy się to uwzględnić. Pańską ofertę wstawię w porządek dzienny najbliższych obrad zarządu. Odpowiedź otrzyma pan w połowie tygodnia.

Było to siedem dni temu.

Na razie — czekając na kredyty, które miał już prawie w kieszeni — Brian sięgnął do własnych rezerw finansowych i rozpoczął przygotowania. Zatelefonował do Hy Ethonova obracającego się w nowojorskich, szeroko pojmowanych kręgach artystycznych i raczej przy ich krawędzi, i zażądał świeżej dostawy. Ethonov od lat świadczył mu usługi wynajmując żywy towar.

— Nowe zamówienie, Hy. Potrzebuję zdolnych aktorów z twojej trzódki — powiedział Brian do słuchawki. — Mają być płci obojga, w różnym wieku i dowolnej rasy.

— Szykuje się grubsza operacja, co? Są jakieś szczególne wymagania?

— Przyda mi się trzech długowłosych, dwóch dziennikarzy, dwóch średniorozgarniętych plantatorów, jeden szykowny kurwiszon, bogaty czarnuch, stara wariatka, gangster, stuknięty prorok w rodzaju Eliasa i zapijaczona burdel-mama.

Ethonov gwizdnął cicho.

— Zamierzasz kupić całe miasto, Threeb's?

Brian B. Bliss cenił sobie to przezwisko. Taką nazwę nosiła jego firma i chciał, by ludzie utożsamiali tę nazwę z nim samym. Hy wiedział o tej jego słabości, a on z kolei wiedział, że Hy o niej wie.

C.D.N. ■

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".